

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 178.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

SERYA VI.

Kwiecień.

TOM II. — ZESZYT IV.

WARSZAWA.
w Drukarni Józefa Bergera.

Ulica Elektornina. Nr. 14.

Ukończono druk dnia 31 marca 1885 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Dwa rękopisy średniowiecznego zbioru praw kościelnych, gnieźnieński i krakowski. Opisał i ocenił Romuald Hube.	1
II. Liberalizm węgierski i reforma izby magnatów. Przez Wład. Gołębierskiego.	10
III. O ruchu państwowo-socyalistycznym w Niemczech. Przez Ludwika Żychlińskiego.	31
IV. O nieznanym dotąd poezyach Zbigniewa Morsztyna. Napisał Jan dr. Rzepecki. (Dok.).	40
V. O powieści H. Sienkiewicza „Ogniem i mieczem.“ Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Dok.).	60
VI. Przegląd wystawy Tow. Zachęty sztuk pięknych. Przez Karola Matuszewskiego. (Dok.).	75
VII. Hessa O'Grady. Pwiesć oryginalna, osnuta na tle stosunków obecnych w Irlandyi. Napisał Działosza. (Ciąg dalszy).	92
VIII. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. — Korespondencya Ad. Mickiewicza t. IV. — Nowy profesor języków i literatur słowiańskich p. Ludwika Leger. — Dzieło prof. Fustel de Coulanges: O własności u starożytnych germanów. — Edmund About i prof. Caro. — Pamiętniki Flottowa. — Dwóchsetletni jubileusz Holberga w międzynarodowém literackim towarzystwie. — Serapis, powieść archeologiczna Ebersa.	102
IX. Konkurs na projekt pomnika Mickiewicza w Krakowie. Przez Karola Matuszewskiego.	119
X. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
„Pan Tadeusz,“ A. Mickiewicza. — Studium estetyczno-literackie, przez d-ra Henryka Biegeleisena. — Warszawa, 1884. Przez Kazim. Kaszewskiego.	142
Teodor Jeske-Choiński: „Z miłości,“ opowieść jakich wiele. Kraków, 1884. Edward Lubowski: „Krok dalej,“ powieść. Warsz., 1885. Przez K. Kaszewskiego.	149
XI. Wiadomości bieżące, naukowe, literackie, artystyczne i społeczne. — Z powodu nagrodzonych modeli konkursowych pomnika Mickiewicza (159 — 161). — Artysta-samouk Szkrzyblak z Jaworowa na Pokuciu (161). — Fundacya Fr. Kochmana dla premiowania literatów polskich (161, 162). — Karta dawnéj Polski gen. Chrzanowskiego	

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



OGÓLNEGO ZBIORU TOM 178.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1885.

— 6000 —

Tom drugi.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
ulica Elektoralna, Nr. 14.

—
1885.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Марта 1885 г.

DWA RĘKOPISY

średniowiecznego zbioru praw kościelnych gnieźniński i krakowski.

OPISAŁ I OCENIŁ

Romuald Hube.

Oddawna jedném z głównych pragnień uczonych kanonistów było, zebrać i opisać liczne zbiory praw kościelnych, które wyprzedziły ułożenie w wieku XII Dekretu Gracyana (1150), tworzącego, jak wiadomo, pierwszą, a w pewnym względzie główną część t. zw. *Corpus juris canonici* kościoła rzymsko-katolickiego. Wiek nasz, który pod względem tego rodzaju badań, nietylko wstąpił w ślady swych poprzedników, ale środkami głębszej historycznej krytyki zajaśniał, jeszcze gorliwiej i skuteczniej zajął się rozwiązaniem zadania wyjaśnienia historii źródeł i licznych zbiorów prawa kanonicznego. Dziś chodzą nietylko o odszukanie wszelkich zbiorów praw kościelnych, dotąd ukrytych w cieniach archiwów i bibliotek, a mianowicie tych, które wyprzedziły Dekret Gracyana i oznaczenie czasu, do którego należą, ale przeważnie o wykazanie stosunku, w jakim jedne do drugich stoją, o wyjaśnienie ich między sobą filiacji i stopniowego rozwoju, czy to pod względem oderwanego ich naukowego znaczenia, czy też pod względem praktycznej ich użyteczności we względzie do czasu, w którym powstały, jedném słowem o najgruntowniejsze i najbardziej wszechstronne krytyczne ich ocenienie.

Słusznie więc i u nas zwróciło na siebie baczną uwagę dokładniejsze opisanie rękopisu starożytnego zbioru praw kościelnych, mniej nam znanego, a zachowanego w archiwum katedry gnieźnińskiej. Jakkolwiek bowiem, od dawniejszego już czasu, krążyły u nas wieści,

że w témże archiwum przechowywa się księga praw kościelnych, przyniesiona do Gniezna przez św. Wojciecha i jakkolwiek za dni naszych ś. p. ks. biskup Brodziszewski wystąpił w obronie tego przypuszczenia, dopiero przed kilku laty ksiądz Łukowski zajął się dokładniejszem zbadaniem rękopisu ¹⁾ i wyjaśnił, iż w zbiorze, który przedstawia, znajdują się powołane postanowienia, pochodzące z czasów późniejszych od św. Wojciecha, że zatem cała księga nie mogła być jego własnością, ani przez niego do Gniezna przyniesioną. Co więcej, idąc za dostrzeżoną w dziele braci Ballerinich ²⁾ wskazówką, bardzo trafnie wykazał, że podobny zupełnie rękopis, jak gnieźnieński, przechowyje się w Bibliotece watykańskiej i że jest zbiorem praw kościelnych, którego powstanie odnieść należy do końca wieku XI ³⁾.

Niezadługo potem pokazało się, że inny jeszcze rękopis tego samego zbioru zdobi archiwum katedry krakowskiej. Okoliczność ta, tém większą jeszcze, jak słusznie, obudziła ciekawość miłośników historii praw kościelnych. Ciekawość tę niebawem zaspokoił uczony ksiądz Polkowski w wydanym przez siebie cennym „Katalogu rękopisów kapitulnych katedry krakowskiej“ ⁴⁾, poświęcając dokładnemu i bardzo szczegółowemu opisaniu kodeksu krakowskiego i porównaniu go z rękopisem gnieźnieńskim aż blisko 20 stronic zwartego druku, wskazując zarazem źródła, z których, według zdania jego, miały być zaczerpnięte dwie pierwsze części całego zbioru i wyrażając zdanie, że byłoby do życzenia, aby niejaka część całego zbioru, dotąd mało znanego, mogła być drukiem ogłoszoną.

Pierwsze jednak te doniesienia nie mogły nas zaspokoić. Ważność przedmiotu skłoniła do przedsięwzięcia dalszych badań. Wątek do nich dostarczyła nam nowsza literatura kanoniczna niemiecka ⁵⁾.

Już w roku 1827 Savigny w znakomitým swým dziele: „Historia prawa rzymskiego w średnich wiekach,“ a następnie w drugim wyda-

¹⁾ Praca ks. d-ra Łukowskiego pod napisem: „Rzeczony Kodex św. Wojciecha,“ ogłoszoną została w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół nauk poznańskiego.“ Poznań, 1881.

²⁾ Dzieło Ballerinich nosi tytuł: „Disquisitiones de antiquis collectionibus et collectoribus canonum.“ Wydrukowane było jako dodatek do dzieł św. Leona w r. 1753. Mamy je obecnie powtórzone w „Patrologii“ ks. Migne w t. LVI.

³⁾ Kodeks watykański, który pochodzi z kolekcji rękopisów ofiarowanych Bibliotece watykańskiej przez Krystynę, królowę szwedzką, nosi w katalogu biblioteki nr. 973.

⁴⁾ Katalog ten ogłoszony został przez Akad. um. krakowską w t. III z roku 1884 „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“ na str. 61—78.

⁵⁾ Niewątpliwie w dawniejszej kanonicznej literaturze francuzkiej możnaby się spotkać z krytycznemi spostrzeżeniami nad naszym zbiorem, wyznajemy wszakże, iż zamało z literaturą tą jesteśmy oswojoni.

niu tegoż dzieła z r. 34 ¹⁾, podając przegląd najdawniejszych zbiorów kanonicznych, głównie pod względem zamieszczonych w nich wyjątków ze źródeł prawa rzymskiego, zwrócił baczną uwagę na nasz zbiór i powodowany ważnością przedmiotu, zajął się oznaczeniem stanowiska, jakie zajął w stosunku do współczesnych zbiorów przypisywanych św. Iwonowi, biskupowi karnoteńskiemu (Chartres), zmarłemu w roku 1115.

Po nim znany uczony ksiądz Theiner, w rozprawie o dekrete Iwona, postąpił jeszcze dalej w ocenieniu naszego zbioru, któremu przyswoił dotąd w nauce zachowywane nazwanie: „Collectio tripartita“ ²⁾. Nie zwracając tyle co Savigny uwagi na pomniki prawa rzymskiego w zbiorze zawarte, badał szczególnieź źródła kanoniczne, z których zbiór powstał.

Za nim wystąpił wysoce ceniony kanonista, prof. Wasserschleben i poddał znowu pod krytyczny rozbiór wywody Theinera ³⁾.

Podług ostatecznego zdania Saviniego zbiór nasz co do czasu powstania zajmuje pierwsze miejsce, drugie należy się t. zw. Panormii, dziełu prawdopodobnie Iwona, a trzecie dopiero t. zw. Dekretowi, przypisywanemu także Iwonowi.

Theiner utrzymuje, że pierwsza i druga część zbioru naszego wziętą jest z kolekcji Izzydora Merkatora w jej przeróbce galikańskiej, z niejakimi przekształceniami i dodatkami, a trzecia onego część, wyłącznie prawie zaczerpniętą z dekretu Burcharda. Co do stosunku zaś zbioru z dziełami Iwona twierdzi stanowczo, że Panormia Iwona bierze swój początek z naszego zbioru i popiera to zdanie szczegółowem zestawieniem odpowiednich części obu zbiorów. Dekret zaś odmawia bezwzględnie Iwonowi i przypisuje go innemu nieznanemu autorowi, który go ułożył już po śmierci Iwona.

Przeciwko wywodom Theinera, jak wspomnieliśmy, wystąpił Wasserschleben i porównując nasz zbiór z dziełami Iwona, dowodnie wykazuje, że część trzecia zbioru nietylko małe przedstawia powinowactwo z Dekretem Burcharda, ale że widocznie cała jest wziętą z Dekretu Iwona; przyczem zwraca jeszcze uwagę na tę okoliczność, że gdy w porównaniu naszego zbioru z Dekretem Iwona pokazuje się, że niektóre ustępy naszego zbioru są tylko skróceniem odpowiednich ustępów Dekretu, że zatem Dekret nie z naszego zbioru powstał, ale naodwrot, że zbiór nasz z niego wieździe swój początek.

Dotychczasowy rezultat krytyki niemieckiej co do źródeł, którym zbiór nasz zawdzięcza swe powstanie, tak się przedstawia. Zgo-

1) „Geschichte des römischen Rechts im Mittelalter.“ Wyd. drugie, 1834, str. 311, 317.

2) „Ueber Ivo's vermeintlicher Decret.“ Mainz, 1832.

3) „Beytraege zur Geschichte der vorgratianischen Kirchenrechtsquellen.“ Leipzig, 1839, str. 47—61.

da zdaje się panować między uczonymi odnośnie do źródła, z którego wypływały dwie pierwsze części zbioru, gdyż powszechnie uważają kolekcją Izydora Merkatora za główne ich źródło, ale co do tzećiej części zdania ich rozchodzą się. Prawdopodobieństwo wszakże przemawia za zdaniem Wasserschlebens. Przymtem jednak słusznie Walter, jeden z najgłębszych nowoczesnych kanonistów zauważył, że w obecnym stanie znajomości naszej źródeł kanonicznych i źródło, z którego zaczerpnięte zostały dwie pierwsze części naszego zbioru, nie może być jeszcze z zupełną pewnością oznaczone ¹⁾, w czém z nim zupełnie się zgadzamy, bo niewątpliwie między kolekcją Izydora a naszym zbiorem musiały jeszcze istnieć pośrednie kolekcye, które utworzyły przejście od Izydora do naszej kolekcji, choćby téż z tego tylko względu, że kolekcya Izydora dochodziła do roku 741, a trudno przypuścić, aby dopełnienie jej nie prędzej nastąpiło, jak dopiero ku końcowi XI wieku.

Pozostawiając na boku dalsze śledzenie za pochodzeniem naszego zbioru, zastanowmy się nad stanowiskiem jakie on zajął w rzędzie wcześniejszych i spóczesnych sobie zbiorów kanonicznych, to bowiem da nam dopiero pojęcie o rzetelnej jego wartości w stosunku do zbiorów, które wyprzedziły Dekret Gracyana i o znaczeniu, jakie mu słuszenie należy w dziedzinie nowoczesnej nauki.

Prawo kościelne nie jest tworem jednej chwili. Rozwijało się i w stałe normy składało przez wieki, w miarę coraz nowych i różnorodnych potrzeb społeczności kościelnej i coraz jaśniej wyrabiających się podjęć. Na podstawie Pisma Ś. i tradycji apostołskiej rozwijały je i określały stopniowo postanowienia soborów i koncyliów lokalnych, dekreta papieży z mocy służącego im prawa primatu i wyrzeczenia pierwszych świętych Ojców kościoła. I sobory i dekreta papieży, i dzieła Ojców świętych początkowo przechowywały się oddzielnie, jużto w oryginałach, jużto w odpisach. Dopiero, aby je w rozproszeniu zachować od zagłady i umozębnić ich powszechną znajomość, zaczęto tworzyć specjalne kolekcye soborów i lokalnych koncyliów. Za nimi powstały zbiory cząstkowe dekretów papiezkich. Nareszcie pojawiły się wyciągi z dzieł Ojców kościoła, o ile wyrzeczenia ich dotyczyły prawnego ustroju społeczeństwa kościelnego. Zbiory soborów i koncyliów w pierwszych czasach układały się wyjątkownie chronologicznie, przeciwnie w kolekcjach wyrzeczeń Ojców świętych przeważał zaraz układ systematyczny, podciągający pojedyncze wyrzeczenia pod pewne obmyślane z góry napisy, streszczające przedmiot do którego miały się odnosić, co dopiero w następstwie czasu zastosowano i do zbiorów soborów i dekretów, rozdzielaając je także na pojedyncze systematycznie ułożone materye.

¹⁾ „Lehrbuch des Kirchenrechts.“ Trzynaste wydanie, 1861, str. 204: „Die Quellen, voraus, die beiden ersten Theile gozogen sind, lassen sich nicht mit Gewissheit angeben.“

Jaki rzeczywiście kształt przybierały stopniowo zbiory praw kościelnych, nim doszło do naszej kolekcji, pokaże krótkie opisanie najcenniejszych zbiorów, jakie ją wyprzedziły.

Między niemi przednie miejsce zajmują dwa zbiory ułożone ku końcowi wieku V-go przez mnicha Dyonizjusza małego (*exiguus*), jeden obejmujący w sobie chronologiczne zestawienie soborów Kościoła, poprzedzony kanonami apostołskimi, drugi także chronologiczny zbiór dekretów papieżkich do włącznie Anastazego II zmarłego w r. 498. Zbiór ten pomnożony dodatkami ofiarował Adryan papież Karolowi Wielkiemu, jako zbiór autentyczny praw Kościoła rzymskiego.

Za nim pojawia się około roku 690 tak zwana *Concordia* biskupa afrykańskiego Kreskoniusa, wyłącznie na nim oparta, lecz systematycznie na trzysta tytułów rozłożona.

W połowie wieku VIII-go liczba zbiorów systematycznych wzrasta, znamy ich dotąd cztery. Cechą charakterystyczną odznaczającą je jest, iż podają nie całe oryginalne sobory i dekreta, lecz pojedyncze wybrane z nich części, często nawet w skróceniach ¹⁾.

W wieku IX-ym Izydor Merkator znany powszechnie pod nazwaniem *Pseudoisidora*, wraca do porządku chronologicznego, ale przez obfitość i pełność materiału który podaje, zdobywa sobie zaraz celną stanowisko w rzędzie innych kolektorów. Zbiór Izydora poczyną od skreślenia porządku w jakim odprawiają się koncylia, bezpośrednio zatem podaje kanony apostołskie, za niemi idą w chronologicznym porządku dekreta papieżów, poczynając od Klemensa aż do Euzebiusza (311), następnie postanowienia soboru Nicejskiego aż włącznie do koncylium drugiego hispaleńskiego z roku 657, wreszcie dekreta papieżów od św. Sylwestra aż włącznie do papieżów Grzegorza III i Zacharyasza (741). Cały zbiór nosi nazwanie: *Decretalium collectio* ²⁾.

Nadszedł wiek XI-ty, tak odznaczający się niezwykłym ruchem umysłowym i wydaje znaczną liczbę pierwszorzędných zbiorów kanonicznych. Między niemi pierwszy występuje Dekret Burcharda, biskupa wormskiego, ułożony między rokiem 1012 i 1022. Był to znowu zbiór systematyczny podzielony na dwadzieścia ksiąg. Czerpie materiał swój z Pisma świętego, z kanonów apostołskich, z soborów powszechnych i koncyliów miejscowych a szczególnież téż z pism Ojców kościoła. Materiały w każdym oddziale porządkuje nie chronologicznie, ale jak związek myśli wymagał ³⁾.

Drugie w kolei czasu odznaczające się miejsce, przyznać należy kolekcji kanonów (*Collectio Canonum*) podzielonej na cztery

¹⁾ Walter: *Lehrbuch* str. 186, 191, 192.

²⁾ Przystępna edycja Izydora ogłoszona w tomie CXXX *Patrologii*. Wydanie krytyczne sporządzone przez Hinsiusa profesora uniwersytetu w Berlinie, całkowicie w handlu wyczerpane.

³⁾ Nowe wydanie Dekretu Burcharda podaje tom CXL *Patrologii*.

księgi, a opracowanėj przez kardynała Deusdedit. Autor korzysta z poprzednich wzorów, głównie jednak celuje tém, że obdarza nas znaczną liczbą wyciągów z oryginalnych aktów złożonych za swoich czasów w archiwum lateraneńskim, które później bezpowrotnie zaginęły¹⁾, powołuje także często Liber pontificalis czyli kronikę papieżów, którą dopiero za dni naszych zamierzają wydać. Między różnemi aktami które wypisał, znajduje się ów dotąd jeszcze zagadkowy akt darowizny ziemi naszėj od Krakowa do Odry, zrobiony przez Dagome judex i Ote senatrix, a złożony Janowi XV-mu papieżowi, oraz ciekawy drugi akt Spitigniewa księcia czeskiego, w którym ofiaruje się płacić corocznie sto grzywien srebra stolicy apostolskiej, za co mu Mikołaj papież dozwala nosić mitrę²⁾.

Nareszcie ku samemu schyłkowi wieku XI-go spotykamy się z dwoma, wyżej już kilkakrotnie wspomnianemi zbiorami, przypisywanemi zwykle Iwonowi i z naszym zbiorem. Oba pierwsze zbiory Panormia i Dekret są zbiorami systematycznymi, zaczerpniętymi ze wszystkich podówczas w obiegu będących prawo kanonicznych materyałów, w części już użytych przez Burcharda.

Panormia jest podzielona na ksiąg ósm. Aby dać choć niejakie wyobrażenie o układzie całości przytaczamy: że księga pierwsza ma napis o wierze, o herezjach, o chrzcie (de fide, de diversis haeresibus, de baptesimo etc.), druga o założeniu kościołów i obowiązkach względnie nich wiernych, jakoto dziesięcinach, postach, trzecia o wyborze papieża, szósta o małżeństwie, ósma o zabójstwie jako najcięższemu przewinieniu dochodzonemu i karanemu przez Kościół³⁾.

Dekret składa się z siedmnastu części i w objętości przewyższa Panormią we dwoje. Pierwsza część traktuje o wierze i sakramencie chrztu, druga o sakramencie ciała i krwi, trzecia o kościele i rzeczach kościelnych, czwarta głównie o pismach kanonicznych, prawach i zwyczajach i odprawianiu synodów, piąta o primacie kościoła, następne o klerykach, mnichach, małżeństwach, nieprawnych związkach, zabójstwach, czarach, łgarstwie i krzywoprzysięstwie, złodziejach, lichwiarzach, pijaństwie, wyklęciu, pokucie, a część szesnasta o obowiązkach laików (de officiis laicorum). Ostatnia siedmnasta podaje wyciągi z traktatów Ojców świętych o wierze, nadziei i miłości bliźniego (de fide, spe et caritate).

1) Szczegółową wiadomość o archiwum i o bibliotece lateraneńskiej można znaleźć w wybornėj pracy znakomitego archeologa G. B. de Rossi w wydaniu peryodyczném: „Studi e Documenti di Storia e Diritto.“ Roma 1884, str. 337—347.

2) Pierwszo wydanie na nieszczęście bardzo mało krytyczne, nosi tytuł: „Deusdedit presbiteri cardinalis tituli apostolorum in Eudoxia Collectio Canonum e codice Vaticano edita a pio Martinucci praefecto altero Bibliothecae Vaticanae. Venetijs 1869.

3) Nowe wydanie Panormii znajdujemy w tomie CLXI Patrologii.

Nasz zbiór składa się z trzech części, z kąd bardzo słusznie nazwał go Theiner dla odróżnienia od innych: *Collectio tripartita*. Każda z tych części obrobioną została z innego materyału. Wskład części pierwszej weszły same dekreta papieży, do drugiej postanowienia soborów i koncyliów miejscowych, trzecią wypełniły głównie wyciągi z traktatów Ojców kościoła, z pism apostolskich, a drugorzędnie wypisy ze zbiorów praw rzymskich i kapitularzy karolowing-skich. Co wszakże nie należy uważać za właściwość naszego zbioru, gdyż i we wcześniejszych kolekcjach napotykamy na wyciągi z kodeksu Teodozjusza, z Nowel cesarza Justyniana, z Dygiestów, Instytucji a nawet wypisy z oddzielnych dzieł prawników rzymskich. W obrobieniu tych materyałów, dotąd nieznanemu autorowi, w pierwszej i drugiej części trzymał się metody chronologicznej, w trzeciej poszedł za wykładem systematycznym. Dekreta papieży poczynawszy od Anakleta idą włącznie aż do Urbana II, który zmarł w r. 1199. Postanowienia soborów i koncyliów rozpoczynają się soborem Nicejskim a kończą na drugim koncylium hispańskim odbytym w r. 618. Między częścią pierwszą a drugą rękopisy nie przedstawiają żadnego przejścia, tylko napis: Poczynają się postanowienia soboru Nicejskiego (*Incipiunt regulae Niceni concilii*). Za to na końcu drugiej części stoi podpis, tworzący zarazem przejście do następującej części trzeciej: „Dotąd ze zbioru kanonów, to co następuje są wyrzeczenia albo prawowiernych Ojców (*orthodoxorum patrum*), albo prawa królów katolickich (*regum catholicorum*), albo wyrzeczenia galickich lub germańskich biskupów (*pontificum*).

Część trzecia podzielona jest na dwadzieścia dziewięć tytułów, z których każdy rozdziela się znowu na pewną liczbę ustępów (kapitelów), dochodzącą w tytule ostatnim aż do dwóchset ósmdziesięciu czterech. Aby dokładniejsze dać pojęcie o układzie i treści tej trzeciej części, podajemy napisy wszystkich jej tytułów.

Tytuł I kap. 23, o wierze i sakramencie wiary i chrztu.

„ II kap. 27, o sakramentach kościelnych (*de sacramentis ecclesiasticis*).

Tytuł III kap. 34, o rzeczach kościelnych, ich czci i zachowaniu.

„ IV kap. 2, o zachowaniu dni świątecznych.

„ V kap. 5, o poście.

„ VI kap. 18, o zwyczajach kościelnych (*de consuetudinibus ecclesiasticis*).

Tytuł VII kap. 17, o zwyczaju (*de consuetudine*).

„ VIII kap. 9, o primacie kościoła rzymskiego.

„ IX kap. 23, o biskupach.

„ X kap. 53, o klerykach i ich sprawach (*de clericis et eorum causis*).

Tytuł XI kap. 14, o mnichach.

„ XII kap. 8, o zakonnicach (*de sanctimonialibus*).

„ XIII kap. 7, o mnichach i zakonnicach.

Tytuł XIV kap. 9, o dziewicach (de virginibus).
 „ XV kap. 105, o małżeństwach.
 „ XVI kap. 32, o kazirodnych związkach (de incesta co-
 pulatione).

Tytuł XVII kap. 1, o siedmiu stopniach pokrewieństwa.
 „ XVIII kap. 4 de nocturna illusione.
 „ XIX kap. 4, o kazirodctwie.
 „ XX kap. 57, o dozwolonych i zakazanych zabójstwach.
 „ XXI kap. 21, o czarach.
 „ XXII kap. 33, o łgarstwie i krzywoprzysięztwie.
 „ XXIII kap. 3, o krzywdzicielach i przestępcach.
 „ XXIV kap. 6, o lichwiarzach.
 „ XXV kap. 5, o łowczych (de venatoribus).
 „ XXVI kap. 9, o sprawcach ochromień (de truncatoribus
 membrorum).

Tytuł XXVII kap. 24, o ekskomunikowanych.

„ XXVIII kap. 18, o pokucie.

„ XXIX kap. 284, o sprawach laików (de causis laicorum).

Jako źródło, z którego powstała część pierwsza i druga naszego zbioru, można w części uważać kolekcją Izzydora, wszakże jak wyżej nadmieniliśmy, w jej późniejszym składzie wzbogaconym dekretami papieżów od Euzebiusza do Urbana II. Materiał do części trzeciej znalazł się w Dekrecie przypisywanym Iwonowi. Trzeba tylko jeszcze dokładnie sprawdzić czy w części tej nie znajdują się jakie dodatki, a przynajmniej czy odstępienia od Dekretu, dotąd za-
 uważane, nie noszą na sobie piętna stopniowo rozwijających się pojęć.

Jaką wagę przywiązywano w swoim czasie do naszego zbioru, pokazuje znaczna liczba egzemplarzy, w których do dni naszych zachował się, gdy ilość kodeksów Panormii i Dekretu jest bardzo ograniczoną. Obecnie znane są prócz dwóch naszych rękopisów gnieźnieńskiego i krakowskiego, kodeks watykański, cztery rękopisy biblioteki narodowej paryskiej, oznaczone numerami: 3,858, 3,858a, 3,858b i 4,282 ¹⁾, jeden berliński (nr. 197), pochodzący z klasztoru cysterskiego w Laach nad Renem, jeden z początku niekompletny w Wiedniu i jeden w klasztorze benedyktyńskim w Lambach, w wyższej Austrii ²⁾, co daje poważną liczbę dziesięciu rękopisów. Ważność i powagę Tripartów zaświadcza też i ta okoliczność, że znaczna część ustępów z nich wzięta, przeniesioną została przez Gracyana do jego Dekretu, jak to szczegółowo wykazał Theiner ³⁾.

¹⁾ Kodeksa watykański i cztery paryskie sami w r. z. rozpatrywa-
 liśmy.

²⁾ Pierwszą wiadomość o tym rękopisie podało pismo peryodyczne:
 „Archiv für katholisches Kirchenrecht.“ Mainz, 1864, w tomie VII, str.
 474. Porówn. Viollet: „Précis de l'histoire du droit français.“ Paris, 1884,
 str. 53.

³⁾ W części zaprzeczył temu Wassersleben. Rzeczywiście miejsca

Wyższość praktyczna Tripartitów w czasach, w których pojawiły się, polegała szczególnie na tém, że prawie w zupełności zastąpiły wszystkie ówczesne cenniejsze zbiory praw kanonicznych, tak chronologicznie jako i systematycznie ułożone. Zalecały się prócz tego w porównaniu do Dekretu, więcej przejrzystém i łatwiejszem do użycia ugrupowaniem przedmiotów, zawartych w ich trzeciej części.

Z tego względu, pozwalamy sobie twierdzić, że dzisiaj, gdy tak gorliwie zajmują się wydawnictwem zbiorów praw kościelnych, wydających Dekret Gracyana, byłoby wielce pożądaném, aby pojawiło się kompletne krytyczne wydanie Tripartitów. Na zachęcie do podjęcia podobnej pracy nie powinniśmy i u nas zbywać, gdy jesteśmy w posiadaniu aż dwóch rękopisów tego cennego ze wszech miar zbioru.

Stosunek zresztą, jaki zachodzi między trzema dopiero co opisanymi kolekcjami, nie wchodzić w niezłatwioną dyskusję, kto był istotnie autorem Panormii i Dekretu, niewątpliwie tak się przedstawia: że lubo wszystkie trzy odnoszą się do samego schyłku wieku XI, że co do czasu ich powstania, pierwsze miejsce przyznać należy Dekretowi, drugie naszemu zbiorowi, a trzecie Panormii, jako wielce zręcznemu i dobrze obmyślonemu skróceniu Dekretu. W tym stanie rzeczy, nic nie stoi na zawadzie, aby tak, jak to utrzymuje Theiner, przyznać ojcostwo Panormii Iwonowi, a odmówić mu autorstwa Dekretu, i tak Dekret jako i Tripartita przyznać niewyśledzonej jeszcze dotąd osobistości.

Wracając wkońcu do naszych rękopisów, dzięki udzielonym nam bardziej szczegółowym wyjaśnieniom przez ks. prałata Korytkowskiego i ks. kanonika Polkowskiego, możemy udzielić wiadomość, że rękopis gnieźnieński urywa się w połowie tytułu o zabójstwach i zatrzymuje na ustępie 101, zaczerpniętym z dzieła św. Augustyna de libero arbitrio ¹⁾.

Przeciwnie rękopis krakowski obejmuje w sobie nietylko całe trzy części Tripartitów, tak, jak je wyłącznie przedstawiają wszystkie inne kodeksa, ale wzbogacony jest bardzo obszernym dodatkiem treści prawno kanonicznej, wypełniającym aż sześć oktonów całego rękopisu. Okoliczność ta, zapewnia kodeksowi krakowskiemu wyjątkową ważność, tém większą w oczach naszych, że może przy dokładniejszym zbadaniu téj czwartej jego części pokaże się, jak na domniemanie to słusznie napada ks. Polkowski, że takowa jest wyrobem krajowym i winna być poczytaną za owoc pracy nieznanego nam dzisiaj kanonisty, przebywającego w Krakowie na początku XII wieku.

które weszły z Tripartitów do Dekretu Gracyanu, oznaczył starannie Richter w wydaniu swoim „Corpus juris Canonici.“ Leipzig, 1839.

²⁾ Por. Dekret w wydaniu Patrologii, str. 723.

LIBERALIZM WĘGIERSKI I REFORMA IZBY MAGNATÓW.

PRZEZ

Władysława Gołęmberskiego.

Żywotność narodów i wartość systemów politycznych, rządzących niemi, nie mierzą się ani doskonałością form instytucyi, ani zewnętrznią cechą systemów rządzenia; konserwatyzm i liberalizm, wedle popularnej nomenklatury, zarówno być mogą ocaleniem albo zgubą społeczeństw. Konserwatywnem i wolnomyslnem musi być społeczeństwo zarazem, jeśli się pragnie utrzymać na powierzchni dziejowej. Wartość zaś systemu rządzącego społeczeństwem w danej chwili zależy od siły twórczej, jaka się w niem zawiera, od zdolności i rzetelnej mocy w danych warunkach kształtowania form społecznych, odpowiednio do warunków rozwoju ludzkości, pełnych treści społecznej. System bezpłodny, choćby się liberalnym nazywał, staje się reakcją, tak jak konserwatyzm, który szuka swęj legitymacyi w zamięłowaniu skamieniałych produkcyi ludzkości lub zasad, jednostronnie pojętych, zdobywający się na czcze bez treści kreacye, jest tylko wewnętrzną anarchią społeczeństwa, wśród którego porządek zewnętrzny siłą materyalną się utrzymuje i która prędzej czy później zamieszczeniem wybuchnie.

W naszém społeczeństwie, powietrze pełnem jest okrzyków, że nadeszły czasy konserwatyzmu, reakcyi, jak inni nazywają. Okrzyki te rozbrzmiewają przedewszystkiém z Wiednia, z Pragi, w części z Berlina; a nie mało się przyczyniają do pobałanucenia naszych własnych kierunków, szczególniej zaś w Galicyi, gdzie tyle pod względem utrwalenia i rozwoju społecznego jest do zrobienia. Prawdy zaś w tych okrzykach tyle tylko wszakże, że liberalizm niemiecki w części

a liberalizm austriacki w całkowitości, stały się jałowemi, czyli rzeczywistą reakcją w sobie samych, jako też sprowadziły częściową reakcją w rządach wzmiankowanych państw. Poza granicami tych państw a właściwie samą jedyną Austrią, (Rosya do innej bowiem należy kategorii społecznej), nie widzimy atoli nigdzie bezwzględniego panowania konserwatyzmu. Czytelnik, przebiegłszy myślą państwa europejskie, znajdzie wszystkie, z wyjątkiem wspomnianym, pod rządami systemów mniej lub więcej liberalnych: w przeważnej części liberalizm ten z treści, jeśli nie nazwy, zbliża się raczej do radykalizmu. Francya, Włochy, Anglia, nie mówiąc o drobniejszych społeczeństwach, jak Norwegia, są dostateczną, mniemamy, dla twierdzenia tego ilustracją. Faktem jest tylko, że liberalizm, rządzący obecnie społeczeństwami, nie wszędzie a przynajmniej nie wszędzie jednak jest żywotnym, nie wszędzie posiada w sobie siłę twórczą, odpowiadającą zadaniom społecznym i zabezpieczającą mu względną trwałość. Jeżeli zgubnym więc jest na zewnętrznej formie systemu opierać przyszłość narodową i wierzyć w nią, jak w czarodziejską formułę ocalenia, o ileż zgubniejszym jest, jeśli ta wiara opiera się na złudnych okrzykach, wydobywających się z cudzych przepierań się—a będących wyrazem nieprawdy faktycznej.

Przed młodokonserwatyzmem, powstającym w naszym społeczeństwie, dziedzicze, ba zdziczałe leży pole czynu, czekające uprawy polityczno-społecznej. Pragnęlibyśmy gorąco, aby wschodzący czynnik, ożywiony rzetelnie myślą społeczną, ustrzegł się złudzenia, szerzonego dotąd interesownie przez jednych, a z rezygnacją przyjmowanego przez innych. Powierzaliśmy się na ślepo jednemu systemowi, przykrojonemu ze staro-austriacka, jak gdyby w nim leżała wszechpotęga, a zaś w nas samych istotna siła żywa: otwieraliśmy więc na rościęz wrota wpływom reakcji, bez względu na to, co ona znaczy w międzynarodowych stosunkach, a ona przez nas w ten sposób karmiona, okazała się dla nas na wszystkich polach jałową a jak świadczą szczególnie fakta smutnych doświadczeń w Galicyi, okazała się na tej ziemi—nawet faworyzowanej obrotem dziejowym i pewną harmonią z zasadniczą ideą państwową,—bezpłodną, bezpłodniejszą nawet może niż był liberalizm austriacki. Młodokonserwatyzm więc wolny od złudzeń, więcej na żywotnych siłach własnego społeczeństwa będzie musiał szukać oparcia i więcej liczyć na własną dzielność czynu, jeśli ma dokonać tej seryi przekształceń i nowoukształceń polityczno-społecznych, bez których wogóle sama trwałość narodu nasza nie jest zapewnioną!

Zadalekoby nas zawiodła dygresya na pole galicyjskiej polityki. Tyle wszakże uważaliśmy za konieczne powiedzieć tak dla związku przedmiotu wziętego przez nas za studyum z żywymi zadaniami społeczeństwa naszego, jak i dla dania należytego tła i oparcia samemu przedmiotowi.

Liberalizm, rządzący w tej chwili w Węgrzech, znajduje się

w pełnym rozkwicie! Fakt ten przy ścisłym monarchicznym związku Węgier z Austryą, to jest z tém jedyném wyjątkowém państwem, w którém na seryo mówić można o panowaniu bezwzględném wprost przeciwnego, to jest konserwatywnego systemu, jest godnym wszechstronnego zastanowienia dla każdego publicysty i polityka, ponieważ świadczy sam przez się tak o żywotności, jak o zakorzenieniu się w narodzie systemu liberalnego węgierskiego.

W arystokratycznym nawpoły dotąd społeczeństwie węgierskiem, nowoczesny liberalizm węgierski dawniej jest już stosunkowo daty. Zwyczajtvo jego, jako systemu rządzącego, odnosi się do czasów z przed 1848 roku. Zanim przyszedł do władzy w tym pamiętnym roku, wywierał już wpływ nieprzeparty na przekształtowanie instytucyi i porządków społecznych, aż nareszcie stanął samodzielnie jako potężny twórca nowych Węgier. Któż odmówi bowiem siły twórczej systemowi, który zniósł pańszczyznę i zaprowadził własność wolną gospodarzy, kosztem wyłącznym całego narodu, któż mu jój odmówi, gdy do rządu krajem wprowadził bezpośrednią reprezentacyą ludową, a zniósł przywileje osobiste, nie tykając swobody i praw wielkich korporacyi uznanych; gdy wprowadził system parlamentarny i odpowiedzialność rządzących ministrów; gdy usunął graminałną politykę ze stosunku z prawowitym monarchą i obwarował samodzielność rozwoju wobec innych krajów tegoż monarchy; gdy z pod ziemi wyprowadził armią w chwili potrzeby i oparł skarb węgierski na szerokich podstawach!... Wiele bardzo w tém wszystkiem było naśladowania rzeczy gdzieindziej już dokonanych, i kierowania się ideami dawniej gdzieindziej wyrobionemi, lecz więcej jeszcze oryginalności w zastosowaniu tych dzieł i idei do zasad i instytucyi wiekowém życiem narodu wyrobionych, w umiejętném a raczej natchnioném spojeniu nowych dążeń ludzkości z odwiecznemi podwalinami i zrębami społeczeństwa. To zaś, co dokonaniem zostało — dokonaniem pospiesznie, gwałtownie w ostatniej chwili swobodnego przekształtowania — żywem musiało być zaiste, żywotném i posiadajícím obfitą treść w sobie, boć wytrzymało próbę największego kryzysu w życiu narodów, wojny zewnętrznej z przemożnemi potencjami i rozgromu wojennego z idącą za nim bezwzględną, powszechną reakcyą!

Nieugięte moralnie stronnictwo liberalne węgierskie doczekało się końca reakcyi zewnętrznej, uznania praw narodowych przez dziedzicznego króla i ugody z Austryą. Przyznanie praw 1848 roku, zasankcyonowanych raz już przez króla Ferdynanda, mieściło w sobie niejako powołanie do władzy tegoż samego stronnictwa, mężów tegoż kierunku, którzy prawom tym zdobyli uznanie narodu i przyprowadzili je do skutku. Stronnictwo deakistowskie — deakistowskie nazewnątrz, to jest normujące stosunek z Austryą na podstawie ugody i przyznania pewnych spraw wspólnych, pod wszelkiemi innymi względami było stronnictwem liberalném z przed 1848 ro-

ku, jako takie przedstawiało się narodowi i za takie na zewnątrz chciało uchodzić, a zarówno wybory podwójne do sejmów podczas zawieszenia konstytucyi, jak wybory do parlamentu po ugodzie okazały, że ma ono zawsze większość narodu za sobą.

Liberalizm stronnictwa deakistowskiego okazał się równie jeszcze żywotnym, jak stronnictwa, które w r. 1848 przyszło do władzy. Siła twórcza pod względem polityczno-społecznym, nie wiem nawet, czy w zmniejszonej od r. 1848 mierze objawiła się w nim w chwili objęcia władzy na podstawie ugody, aniżeli w pokoleniu, które ono zastąpiło. Dzieła tych rozmiarów, jak oparcie żywego komitatu, t. j. kongregacyi municypalnych na całkiem nowych i nowoczesnych podstawach, stworzenie jedném słowem nowego komitatu samorządnego, pomimo istniejących w nim i teraz niedostatków administracyjnych, organizacya edukacyi publicznej przy nieznanym dotąd na szczeblach elementarnych współudziale państwa, nowa organizacya sądownictwa, organizacya autonomii wyznań przy przeważnym współudziale żywiołu świeckiego, armia honwedzka, prawo narodowościowe, — nie mówiąc o unormowaniu stosunku państwowego z Chorwacyą, są to dzieła mało co mniejszej doniosłości i niemniej przekształcające Węgry politycznie i społecznie co wielkie dzieła z r. 1848. W każdym razie stworzyły one szereg nowych instytucyi, niezbędnych do tego, aby Węgry jako samodzielne społeczeństwo żyć i oddychać mogły wśród zmieniających się stosunków cywilizowanego świata.

Nareszcie wielka fuzya stronnictw, jaka się dokonała w r. 1875, stronnictwa deakistowskiego z stronnictwem centrum, negującém dotąd ugodę, — fuzya, która się dokonała na podstawie programu liberalnego i wyraziła w nazwie połączonych stronnictw jako stronnictwa liberalnego, szukając w zasadach tego programu organicznej racyi połączenia, stanowi najwymowniejsze uznanie zasad rządzącego dotąd systemu i najwyższy zarazem wyraz jego żywotności.

* * *

Z objęciem władzy przez nowe, t. zw. stronnictwo liberalne, nie skończyła się bynajmniej działalność reformatorska systemu na wszystkich polach wewnętrznego życia narodu.

Mimo działalności reformatorskiej rządu i większości parlamentarnej, możnaby wszakże wyrazić odtąd przy porównaniu z przeszłością pewne powątpiewanie o pierwotnej świeżości potęgi twórczej liberalnego stronnictwa czyli o dalszej żywotności systemu liberalnego dla Węgier i na Węgrzech. Powątpiewanie to wyraziło się faktycznie w efemerycznej próbie wytworzenia stronnictwa konserwatywnego wśród parlamentu i wyraża się dotąd w konwulsyjno-opozycyjnych dziejach stronnictwa opozycyi umiarkowanej, stojącej na podstawie ugody. Podczas, gdy część tego stronnictwa znajduje popołu ze „stronnictwem niepodległości i 48 roku“ czyli opozycyą skrajną,

że system rządzący nie jest dość szczerze liberalnym, druga część stronnictwa bez publicznego przyznania działa—a raczej oponuje i agituje w kierunku nieudanej próby stronnictwa konserwatywnego: pojęcia polityki agrarnej, zyskujące sobie szersze uznanie w pewnych klasach narodu, niezaspokojone ani też zanegowane przez system rządzący, są dla tej mianowicie części opozycji pożądanym aliantem i narzędziem.

Zatrzymanie się istotnej twórczej działalności systemu było też, wedle naszego zdania, niewątpliwie niezależnie od chwalebnych dzieł reformy organizacyjnej, niezależnie, od wszechstronnej działalności meża tak utalentowanego i tak silnego politycznie a tak wybitnie liberalnego, jakim jest stojący u steru p. Tisza Kálmán. Potrzeba rachowania się z prądami oddziaływającymi w ostatnich latach w Austrii, potrzeba rachowania się z otoczeniem monarchy, zostającym w części pod wpływem tychże prądów, następnie zaś wciąganie w siebie przez system rządzący żywiołów roztropnych i szerszej patrzących z pomiędzy wyznawców polityki agraryjnej; te wszystkie czynniki zdawały się nawet sprzyjać wytworzeniu się jakiegoś nowego systemu, żywotniejszego być może od dzisiejszego, któryby ze świeżą siłą twórczą, niezbędną dla pomyślnego rozwoju narodu, objął spadek po dzisiejszym systemie rządzącym. Dla powierzchownych obserwatorów i polityków gabinetowych pojednanie się p. Tisza z br. Sennyey i powołanie tego ostatniego na godność pierwszego barona państwa (*Judex Curiae*) a zarazem przewodniczącego Izby magnatów, stanowiło świadectwo kapitulującego już w Węgrzech liberalizmu, a zarazem pierwszy wyraz może nowego rodzącego się porządku rzeczy. Pozorna to ocena wydarzeń i procesu wewnątrz narodu zachodzącego!

Powołanie to, o którym poniżej, jako fakcie wielkiego publicznego znaczenia raz jeszcze wspomniemy, odbyło się bezpośrednio po ogłoszeniu w W. Waradynie przez prezesa gabinetu, że w liberalizmie leży jedynie zbawienie Węgier, a współcześnie z przedstawieniem parlamentowi projektu reformy Izby magnatów, przekształcającego ją na żywotną Izbę wyższą parlamentu, czyli z nowym ożywieniem się rządzącego systemu, który przez tę reformę ma złożyć dziejowe świadectwo, że siła twórcza żyje w nim niewyczerpana.

* * *

Zanim naszkicujemy rysy tej reformy, wiążącej się całą swą istotą i trudnościami przeprowadzenia z gruntownymi zasadami i formalnym organizmem stronnictwa liberalnego, stosownym może będzie, dając opis ostatniej wielkiej manifestacji stronnictwa, jaka miała miejsce w przyjęciach noworocznych 1 stycznia 1885 r., przedstawić parlamentarny ster tego stronnictwa w sobie samym, a przez to dać możliwość poznać jego dążenia i jego obawy, a ocenić co jest dopuszczalnym i możliwym w przyszłych wypadkach za sprawą i przy współdziałaniu stronnictwa.

Zwyczajem dorocznym parlamentarne stronnictwo liberalne udało się w dniu tym corporative do pałacu prezydentury, aby tam złożyć panu Tisza, w jego podwójnym charakterze, przewodzczy stronnictwa i naczelnika rządu, powinszowania i życzenia noworoczne przez usta dezygnowanego naprzód mówcy. Okoliczności, o których tu mówimy, uczyniły akt ten w tym roku uroczystszy od poprzednich. Przeszło stu deputowanych znajdowało się w orszaku, na którego przyjęcie prezes gabinetu oczekiwał w galowym stroju narodowym na czele zgromadzonego gabinetu: ministrów Treforta, Paulera, br. Kemény, hr. Szapáry, br. Orczy, hr. Szechényi i br. Fejérvary. Mówca zbiorowej deputacji hr. Csáky Władysław, weteran walk parlamentarnych z 1848 r., podniósłszy działalność rządu i stronnictwa dla wzmocnienia sił narodu, wyraził, że działalność ta stanowi wskazówkę, aby stronnictwo i nadal poddawało się patriotycznemu i mądrym kierunkowi czczonego przewodzczy, „a gdy to też zarazem odpowiada naszym przekonaniom, z radością więc kupimy się około Ciebie i sztandaru naszej kardynalnej zasady liberalizmu, czynimy to zaś z tém większym uspokojeniem i zadowoleniem, że z Twój działalności wyciągnęliśmy przeświadczenie, że Ty i rząd Twój tém pozostajecie, czém byliście od lat dziesięciu, rządem liberalnym, popieranym przez wielką większość narodu!“

Prezes ministrów do téj właśnie nawiązał apostrofy swoje odpowiedź, aby znaczenie jój podnieść w dłuższej ponad wszelkie przemówienia ceremonialne, mowie. Z wyznaczenia hr. Csáky na mówcę deputacji prezes gabinetu i przewodca wziął asumpt, aby wystawić nieprzerwaną ciągłość stronnictwa liberalnego w narodzie, które zawsze tém samém pozostaje, które jest kontynuatorem kierunku, jaki kiedyś obok Bathány'ch, Andrásy'ch i Eötvös'ów gromadził mężów wszelkich warstw społeczeństwa węgierskiego około wiecznotrwałych dzieł reformy. Wchodząc zaś w bliższe określenie liberalizmu swojego stronnictwa dodał: „stronnictwa, które w tém szukało zawsze konsekwencji, że nie gubiło nigdy z przed oczu wytkniętego celu, ale nie w tém, aby się trzymać raz wydanych gołosłownych haseł i dróg praktykowanych, wtedy jeszcze, gdy wszystko się już naokoło zmieniło, stronnictwa, które jak tamto dawniejsze, cel swój widzi w tém, aby raz ugruntowane państwo węgierskie wzmocniać a w szeregu cywilizowanych państw zachodnich Europy na coraz wyższy podnosić stopień i rozwijać w kierunku liberalnym.“ Z ponownego zaś zwycięstwa stronnictwa na arenie wyborczej, pan Tisza wyciągnął wniosek naturalny ponownego sankcjonowania przez naród tego celu, jako też włożenia na stronnictwo ścisłego obowiązku, aby postępując nieustraszenie i nieugięcie nie dało upaść sztandarowi, pod którym z rozmaitych klas kraju powstał jeden naród—i przeszkodziło, aby jednolicie ukształtowany już naród pod jakimkolwiek bądź wpływami rozdzielał się znowu na różne klasy.“

Oto jest najwyższej urzędowe określenie liberalizmu węgierskiego, dane krajowi i światu wśród wyjątkowo uroczystej okoliczności. Nikt się nie omyli z pewnością, widząc w niem zarazem odpowiedź na obawy i powątpiewania, jakie się podniosły w ostatnich czasach co do ścisłej wierności zasadom przez dzierżącego sztandar kierunku, jako też co do trwałości i żywotności stronnictwa rządzącego w imię tych zasad w narodzie.

Pod tym ostatnim względem, nie można pominąć w milczeniu, że w stronnictwie samém, pomimo zupełnego oddania się przewodzczy, porusza się silnie poczucie własnej samodzielności—i poczucie to nigdy może od lat 10 nie wyraziło się z większą świadomością siebie, jak właśnie przy tej okoliczności powinszowań noworocznych. Jak gdyby w poczuciu, że oświadczenia przewodzczy i ministra, trzymające się najwyższych regionów myśli politycznej, nie mogą być wystarczającymi dla wszystkich i nie powinny maskować indywidualnej woli stronnictwa, inny mówca stronnictwa pan Falk w tej chwili, po przyjęciu u prezesa gabinetu, w imieniu téjże zbiorowej deputacyi, składając powinszowania i życzenia prezesowi Izby deputowanych, w obecności ministrów, którzy pospieszili stanąć w szeregu zwyczajnych członków, składających hołd prezesowi Izby, wskazywał spotęgowaną siłę konstytucyjną stronnictwa po nowych wyborach, zasobność jego w kapitał patriotyizmu, doświadczenia i zapału, z jakim odnowione w parlamencie stronnictwo może urzeczywistniać niezmiennie cele swoje. „Ów zaś znakomity przewodzca, powiada pan Falk, który sztandar tych celów dzierży w swój silnej dłoni i który go bez zmayı wśród trudnych utrzymał okoliczności, ten przewodzca, który taką armią rozporządza, nietylko wskutek swego charakteru osobistego nie do puści się, lecz także nie ma najmniejszej potrzeby szukać jakiegokolwiek obcego poparcia za cenę jakiejś rzeczowej ofiary, poparcia, które bez wierności i wytrwałości jego stronnictwa zostałoby bez wartości i skutku, przy tej zaś wierności i wytrwałości może być wprowadzie zawsze z gorliwością przyjętém, jeśli się dobrowolnie ofiarowyywa, ale nie jest tak niezbędnem, aby za cenę jakiejś ofiary zyskiwaném być musiało.

Oto jak rząd i stronnictwo systemu liberalnego na Węgrzech pojmują w tej chwili swe stanowisko i zadanie. Nic zaś nie było stosowniejszego wśród tej wielkiej manifestacyi, mającej za zadanie rozwiać powątpiewania i skupić szeregi obozu rządzącego z nową siłą, nic nie mogło być stosowniejszego, jak odpowiedź prezesa Izby deputowanych, pana Péchy, który z mocy urzędu swego dostojnego, stojąc na stanowisku podniosłém ponad stronnictwami, jakkolwiek wyszły z łona większości, do czynu i twórczości wzywał stronnictwo, wyrażając nadzieję, że pod tym względem stronnictwo liberalne będzie wzorem dla innych, gdyż ma obowiązek być początkującym i wyzywającym inne do współzawodnictwa na drodze pracy. Jako zaś praktyczny przewodzca prac

parlamentarnych, p. Péchy pozwolił sobie zrobić uwagę, że minął czas tonu elegicznego, który pewną chwilę obezwładniał prace Izby i minął czas, który potem nastąpił, gwałtownych starć i namiętności, a jakkolwiek starcia, które Izbę czekają, będą niemniej gwałtownymi od minionych, to podejmowane około praktycznych zadań wielkiego narodu, będących na porządku dziennym prawodawczym, zapewnią postęp i siłę państwu węgierskiemu.

W rzędzie tych zadań narodowych i tych prac Izby, nie nazwana przez prezesa deputowanych reforma Izby magnatów, zajmuje najważniejsze miejsce a bezpośrednio już pod względem chwil rozstrzygających. Zadaniem téj reformy jest: przy szacunku dla tradycyi historycznych instytucyi, odciąć od niéj to, co z postępem wieków obumarło w niéj lub stało się niezdolnym do pełnienia wysokich funkcyi, do jakich instytucyą tę przyszłość powołuje; otworzyć do niéj przystęp potęgom nowoczesnym, wyrobionym rozwojem życia społecznego; sprawić, aby niezawisłość członków nowéj Izby była podniesioną w każdym kierunku ponad wszelką wątpliwość; stworzyć nowy czynnik władzy prawodawczej, dający wyraz tak historycznemu rozwojowi Węgier jak i obecnemu stanowi stosunków społecznych, któryby odzwierciedlał w sobie wiernie czynniki i potęgę społeczeństwa, a jednak nie przeważał swoją wagą drugiego czynnika prawodawczego, oparte go na reprezentacji ludowej i przyjętego za podstawę rozwoju państwa; ustanowić regulatora tego ostatniego i nową rękojmią niezawisłości państwowej. Takie zadanie — nic dziwnego, że stanowi kamień probierczy zdolności twórczej i żywotności rządzącego systemu. I nic téż dziwnego, że dla Węgier zawisło bardzo wiele od tych chwil decydujących, w których ma nastąpić rozwiązanie zadania.

Przedstawiony Izbie deputowanych wkrótce po otwarciu parlamentu projekt rządowy reformy Izby magnatów, na nowoczesną Izbę wyższą parlamentu, składał się z następujących głównych punktów: 1) umarzał, a raczój zawieszał prawo zasiadania w Izbie wyższej tych wszystkich urodzonych magnatów, to jest szlachty tytułowanej, którzy nie opłacają 3,000 florenów podatku gruntowego od swych dóbr nieruchomych w Węgrzech; 2) umarzał prawo zasiadania w Izbie tych wszystkich magnatów, którzy chociażby opłacali 3,000 fl. z dóbr takich, lecz którzyby byli członkami władzy prawodawczej jakiegokolwiek bądź innego państwa (indygenaci); 3) umarzał prawo tytularnych biskupów katolickich do zasiadania w Izbie; 4) znosił prawo nadżupanów komitatowych należenia do Izby magnatów. Natomiast 5) powoływał najwyższych reprezentantów innych wyznań, uznanych w państwie, oprócz katolickiego i grecko-wschodniego, biorących udział w dzisiejszej Izbie magnatów, pomiędzy tymi zaś jedno miejsce dla reprezentanta izraelskiego wyznania zastrzeżono; 6) powoływał dalej przez nominacyą korony mężów zasłużonych na jakimkolwiek polu publicznego życia, których osobista pozycya byłaby niezawisłą z tém

zastrzeżeniem wszakże, że liczba mianowanych członków nie powinna nigdy przewyższać jednej czwartej części ogólnej liczby członków Izby; 7) baronowie państwa (7 wielkich dygnitarstw dworu) wraz z banem Chorwacy i wybieralną deputacją sejmu trójjedynego królestwa pozostawałoby i nadal członkami Izby z mocy prawa publicznego Węgier. 8) Współdział Izby wyższej w władzy prawodawczej pozostałoby jak dotąd powszechny; lecz aby zasada reprezentacji ludowej nie doznawała ztąd ujmy, inicjatywa Izby wyższej, tak płynąca od jej członków pojedynczych, jak wskutek wniosków rządowych, miała być wykluczoną przy sprawach dotyczących granic państwa, praw ugodowych z Austryą, przy sprawach finansowych i podatkowych, jakoteż organizacyi wojskowej. Oto jest treść projektu rządowego.

Projekt reformy od lat 10 przygotowywał się w opinii publicznej. Najznakomitsi publicyści Węgier, w tym rzędzie i ministrowie obecni, głos swój zabierali co do téj materyi przed opinią publiczną bądź ustnie, bądź w publikacyach drukowanych. Dyskusya była więc długą i dość szeroką; wśród której jednakże, rzecz godna zastanowienia, nie wynurzył się nigdy ani jeden projekt reformy Izby magnatów na zasadach więcej konserwatywnych, lub więcej jednostronnych od zaskwicowanego powyżej projektu rządowego, chociaż potrzeba reformy téj instytucyi, która ocalała z potopu czasów i wypadków, do dna kraj i naród przewracających, a pozbawiających Izbę magnatów wszelkiej treści, powinna była być najmocniej odczuta przez tych, którzy największą wagę przywiązywali do konserwatywnych zasad rządzenia społeczeństwem węgierskiem, w miarę właśnie przywiązywania wagi do tych zasad. Nie było też ani jednego głosu, któryby zaprzeczał niezbędności opóźnionej reformy; w samej Izbie magnatów najnatarczywiej przypominano tę zapóźnioną reformę, ale przytém na widok publiczny nie wystąpił ani jeden projekt sformułowany, któryby zreformowanej Izbie chciał nadać większe znaczenie w budowie państwowej niż jej nadaje obecny projekt rządowy.

Toż samo zjawisko powtórzyło się, gdy projekt rządowy, jako wniosek prawodawczy poddanym został rozbirowi parlamentarnemu Izby deputowanych. W komisyi do projektu reformy Izby magnatów deputowany Iranyi (stronictwo niepodległości i 1848 roku) proponował odrzucenie projektu, a całkowite oparcie Izby wyższej na podstawie wyborczej przez komitaty, deputowany Sziligyi, popierany przez Appony'ego (stronictwo opozycyi umiarkowanej) proponował usunięcie członków nominowanych i zastąpienie ich przez członków wybieralnych przez komitaty. Miasto Budapeszt petycyonowało, aby pierwszy burmistrz stolicy był zawsze członkiem Izby wyższej, inne mniejsze, aby w Izbie wyższej zasiadali wybrańcy komitatów, wszyscy zaś prawie członkowie komisyi byli za ograniczeniem prawa inicjatywy przyszej Izby w porównaniu z rozmiarami proponowanymi przez projekt rządowy, ani jedna wszakże nie pojawiła się propozycya, którą można nazwać konserwatywną; sam nawet opór przeciw powo-

łaniu biskupów protestanckich pochodził jedynie od zwołanych soborów i soborczyków tych wyznań i był motywowany obawą, aby biskupi nie stali się przez te nowe funkcje zależnymi od władzy, aby skromnością swych środków materyalnych utrzymania nie zawstydziła wyznania wobec książąt katolickiego i wschodniego kościołów, lub też, aby zanadto nie oddawali się sprawom politycznym. Jedynie episkopat katolicki, opierający się usunięciu tytularnych biskupów, których należenie do Izby spoczywa o tyle na podstawach historycznych, że podczas panowania tureckiego nad częściami kraju, biskupom tytularnym otwarto podwoje Izby magnatów,—kazałby wnioskować, że opozycja ta staje na stanowisku konserwatywniejszem, gdyby nie było jasnym, że opór ten jest czysto wyznaniowej a nie politycznej natury.

Skończyło się też na tém w komisji, że projekt rządowy wyszedł z niej niezmiennym prawie co do przyszłego składu Izby magnatów, a natomiast z mocno ściśnioną sferą dopuszczalnej inicjatywy Izby wyższej. Prawo dopuszczalnej inicjatywy w tej Izbie określono ściśle, nie ograniczając go, lecz wyliczając taxatim materye prawodawcze, do których się może odnosić, odmiennie zaś do projektu rządowego. W istocie rzeczy mimo nader długiej listy, wyliczającej zakres atrybucji Izby, inicjatywę tę pozostawiono jedynie w obrębie właściwej administracji i sprawiedliwości.

* * *

A teraz nasuwa się pytanie, czy los tak określonej reformy starodawniej instytucji Izby magnatów, tyle ważnego czynnika dla organizacyjnego rozwoju nowożytnych Węgier, uważać już można za zabezpieczony?

Nie ulega wątpliwości, że prezes gabinetu, nauczony doświadczeniem, jakie zrobił przy przeszłorocznych rozprawach w Izbie magnatów nad projektem do prawa o małżeństwach mieszanych, tylko w tej Izbie dopatrywał się skały podwodnej dla nowego projektu reformy i lękał się wywieszenia na tej skale sztandaru konserwatywnego, jako jedynego rzeczywistego niebezpieczeństwa, które mogło stać się spójnią moralną żywiołów opornych tej Izby. Aby nie dopuścić tego niebezpieczeństwa, dokonał czynu największej brawury taktycznej przez wprowadzenie na pole działania zjednanego dla projektu reformy barona Sennyey, dawnego naczelnika rządów wewnętrznych kraju (Tavernicus) z przed czasów ugody. Sennyey przypominał nader żywo istniejące niegdyś potężne stronnictwo starokonserwatywne, a to tym bardziej, że reprezentował idee konserwatywne, w odnowionej postaci, i był sztandarem oraz dezygnowanym przywódcą przyszłego stronnictwa konserwatystów. Baron Sennyey Paweł mianowany Judex Curiae t. j. najpierwszym baronem państwa, został tradycyjnym zwyczajem powołany zarazem na prezesa dzisiejszej Izby magnatów. Dla ułatwienia tej nominacji, odłączono przez oddzielne prawo godność tę od istotnego urzędu prezesa kurji królewskiej, czyli naczelnika sądu najwyższego i kasacyjnego.

Nie ulega wątpliwości, że tym środkiem taktycznym, został opór przeciw projektowi reformy skutecznie zaszachowanym przez powagę barona Sennyey: ani członkowie Izby, skłonni do bezwzględnie konserwatywnych zapatrywań, ani te nieobliczalne żywioły Izby, których nigdy w Izbie nie widać, a które łątwoby było niezawodnie przy jakimkolwiek staraniu pociągnąć do pojawienia się w dostojnym zgromadzeniu w imię obrony praw magnackich i odziedziczonych urzędów, nie znajdują wobec barona Sennyey dość poważnego i dość skrupiającego punktu oparcia. Nowy prezes Izby magnatów, zaznaczając w swój wstępnej mowie, że mimo objęcia urzędu zachowuje w pełni swe dawne przekonania i polityczne poglądy, bo ze strony liberalnego gabinetu nie żądano od niego żadnych pod tym względem ustępstw, dał zarazem nie dwóznacznie do zrozumienia, iż podziela przekonania rządowe co do reformy dostojnej Izby, że przeprowadzenie tychże w dzisiejszej Izbie postawił sobie za zadanie, i że przy tem wyrzeka się wszelkiej systematycznej opozycji przeciw dzisiejszemu gabinetowi.

Pod względem reformy, której br. Sennyey w swém przemówieniu najpierwsze nazaczył miejsce — oświadczył: „Mądrość naszych przodków nazaczyła w tej Izbie w organizmie naszej konstytucji stanowisko żywiołu miarkującego, warowni dla utrzymania konstytucyjnego państwa i interesów narodowości, żywego reprezentanta odziedziczonych tradycji i niezawisłego ducha, wyższego ponad wszelką walkę namiętności. W poczuciu godnie spełnianego dotąd takiego zadania, członkowie tej wysokiej Izby wykonują swój decydujący wpływ przy obradach nad projektem do prawa o reformie, przejęci wzniosłym, patriotycznym dążeniem, aby mająca się zorganizować Izba wyższa, była wiernym wyrazem i godnym spadkobiercą owego narodowego i politycznego typu, który jest najznamienitszą właściwością wysokiej Izby magnatów i aby nowe ukształtowanie na awitycznych podstawach oparte, lecz odpowiadające zmienionym stosunkom, posiadało warunki niezawisłości i trwałości, jakie właśnie powołaniami są zapewnić stale poważanie i wpływ konstytucyjny dla tej instytucji.“ Z każdego zdania tej utoczonej mowy w wysokich myślach politycznych pierwszego barona państwa przegląda parafraza nietylko idei reformy, lecz i samego projektu rządowego reformy.

Nie godzi się czynić ujmy konserwatyzmowi węgierskiemu, przez zaliczenie do niego anarchicznych żywiołów magnackich, które, doprowadzono do upadku materialnego, tém żarliwiej gotowemi są wyzyskać swój przywilej prawodawczy w jakimkolwiek bądź kierunku, przedewszystkiem zaś w kierunku przywileju i opozycji przeciw odmianie i przeciw innym klasom narodu. Żywioły te widzieliśmy w roku zeszłym wiążące się z żywiołami międzynarodowej reakcji, aby projekt do prawa o małżeństwach mieszanych między chrześcianami i izrealitami przywieść do upadku; żywioły te prawomocnie zaliczające się po

dzień dzisiejszy do ciała prawodawczego Węgier (jako pełnoletnia szlachta tytułowana), musiały być zwożone do stolicy staraniem tych, co nie chcieli wzmiankowanego prawa dopuścić, bo same nie miały już odwagi moralnej lub nie były w materyjalnej możności wykonywania już oddawna prawa swego. Dostojny episkopat katolicki, który wówczas z przyczyn religijnych przewodniczył całej opozycji, uważał za niezbędne dla swęj godności wyrzec się coprędzej wszelkiej solidarności z żywiołami, komenderowanemi właściwie wówczas przez zbytkujących okolicznościowo w Izbie magnatów młodych jokey-klubistów.

Nie można téż czynić ujmy konserwatyzmowi węgierskiemu, przez solidaryzowanie go z międzynarodową reakcją, austryacką lub inną. W témże wspomnianém powyżej zdarzeniu, gdy na posiedzenie Izby ściągnęli się, jakgdyby za jakąś tajemniczą komendą, indygenaci węgierscy, będący filarami towarzystwa reakcyjnego wiedeńskiego, z których jedni Węgier nigdy w życiu nie widzieli, a drudzy, choć ich nie widzieli, to jednak odznaczyli się na salonach i w gabinetach wiedeńskich niezyczliwością dla tego kraju i narodu, mężowie Izby magnatów i deputowanych, należący do opozycji, a zwłaszcza ci, których opinia zaliczać mogła do konserwatystów, wystąpili publicznie z potępieniem, wcale nie obwinieństwem w towarzyski jedwab' słów, z potępieniem groźném nawet karygodnego, jak się wyrażali, najazdu przez obcych sanctuarium prawodawstwa narodowego. Uchodzący wówczas za powiernika br. Sennyey, hr. Apponyi Albert, oprócz artykułów w prasie wiedeńskiej, zwrócił się nawet do prasy liberalnej wiedeńskiej, aby uczynić tém głośniejszém swoje osobiste potępienie najazdu.

Nie ma wątpliwości, że znajdzie się w Węgrzech poważny zastęp ludzi przekonań zachowawczych, osiadłych spokojnie na latyfundiach i pusztach węgierskich, a nawet w gronie uczonych towarzystw i publicystów. I w Izbie magnatów znajdzie się świetna falanga mężów wysokiego wykształcenia i talentu, którzy z niedowierzaniem poglądną na rozwój społeczny, niosący z sobą tyle krzywd i tyle nadużyć i tyle chorób społecznych nowoczesnych, mężów, pragnących szukać hamulca i lekarstwa w zasadach społeczeństwa wyprobowanych wiekami. To wszakże, coby można nazwać programem politycznym konserwatystów węgierskich, to tak dobrze jak nie istnieje, albo, mówiąc ściślej, jest tajemnicą osobistą br. Sennyey, nowego prezesa Izby magnatów.

Dawna falanga t. zw. staro-konserwatystów rozbita od lat 18:—dziś nikt nawet przyznać się do niej nie chce. Falanga ta zrosła się z grawaminalną polityką Węgier, a zasadzająca moc polityczną na szukaniu wpływu na dwór cesarski, który Węgry ocalił od podboju tureckiego i od rozpadnięcia się uchronił, ta falanga została pobita w r. 1867 przez obóz 1848 r. wraz z polityką grawaminalną, a rozwój dziejowy, stwarzając w tym roku nowe podstawy dla rozwoju państwa węgierskiego zepchnął ją w przeszłość bezpowrotną. Do

dziś dnia jeszcze sterczą dumnie postacie przewodzców dawniej falangi w Izbie magnatów, lecz one same unikają przypominania swęj nazwy politycznej, ponieważ współudział ich mimo znaczenia i wpływów osobistych, przynosi sprawie konserwatywnej raczej szkodę niż pożytek a to z powodu skopromitowanej przez nich politycznie nie tak dawniej przeszłości.

Jeden tylko br. Sennyey, wchodząc w r. 1872 nanowo w życie polityczne, jako deputowany, potrafił zaznaczyć swe odrodzone stanowisko. Przy pierwszej sposobności, wśród przepelnionej Izby i galerii, na odgłos, że przemawiać będzie, wystąpił z głośnym uznamiem ugody r. 1867, twierdząc, że to jest najmniejsza miara samodzielnosci Węgiei, którą roztropnie zastosowywać, umacniać i rozwijać potrzeba na pożytek Węgiei i dla potęgi monarchii. Zaprzeczył on także, aby był przeciwnikiem praw r. 1848; owszem, przeciwnie, dodał, dziś idzie mi o to, abyśmy te prawa rozwijali stosownie do wymagań praktycznych, a odpowiednio dla wzmocnienia społeczeństwa narodowego. Dwa zaś rzucił nowe hasła odradzający się mąż stanu odrodzonych Węgiei, które stanowią dotąd jakby księgi sybilskie nieujętego konserwatywnego obozu nowych Węgiei: 1) staranne porzucenie azyatyckich stosunków społecznych i szerszą myśl administracyjną, mającą wprowadzić Węgry na wyższy stopień rozwoju wśród społeczeństw europejskich; 2) zarząd kraju przez urzędników państwowych, mianowanych przez rząd, a nie wybieralnych jak dotąd, jedynie zdolny podług niego skonsolidować państwo węgierskie pod względem narodowym.

Dwanaście lat minęło od czasu wygłoszenia nowych zasad przez barona Sennyey a ani na krok jeden nie postąpiła sprawa nowego organizowania się stronnictwa konserwatywnego. Przez ten czas wszakże rzecz dziwna, rosła a nie malała moralno-polityczna powaga tego konserwatywnego męża stanu, pomimo że baron Sennyey przestał znowu brać udział w życiu publicznym — i faktem jest, że dopóki on żyje ani wbrew niemu, ani mimo niego, żaden poważny obóz konserwatywny polityczny na chwilę nawet istnieć nie może.

Świeżo mianowany *Judex Curiae*, obejmując krzesło prezydialne w Izbie magnatów, w przemowie swęj wstępnej, której znowu przepelniona sala słuchała w uroczystém milczeniu, zaznaczył przede wszystkim, iż na innych on stoi podstawach zasadniczych, aniżeli gabinet, który go mianował, że jego zapatrywania zasadnicze, jak je był wypowiedział (1872), w niczym się nie zmieniły, że ustępstw z jego przekonania nawet odeń nie żądano, lecz że w wielu sprawach, jakie właśnie rozwój dziejowy zbliża obecnie do rozwiązania, zapatrywania jego, z innych wychodzące przekonania jednoczą się z zapatrywaniami rządowymi i te popierać będzie.

Oto, jak dziś stoi sprawa konserwatyzmu węgierskiego.

W zapatrywaniach barona Sennyey, wyrażonych w 1872 r. trudnooby zaiste odkryć zasadnicze przeszkody, dla których nie miałyby

się on godzić z projektem reformy Izby magnatów nietylko takim, jak go rząd przedstawił, ale takim nawet, jaki wyszedł z obrad komisji z zgodą gabinetu. Poprawka zaś ta nastąpiła, dodać wypada, przed nominacją barona Sennyey na jego obecne pełne znaczenia stanowisko. Wobec takiego poparcia nikt też z pewnością w imię konserwatywnemu opozycji przeciw całości projektu nie podniesie, a powaga moralna prezesa Izby — jakeśmy to już nadmienili — skuteczniej jeszcze od powagi rządowej zabezpieczy reformę od swawolnych napadów bądź z zewnątrz, bądź z wewnątrz społeczeństwa, bądź przed rozpaczliwymi wysileniami tych, których przywilej, zrujnowany materialnym rozwojem kraju, ma być umorzonym.

* * *

Lecz czyż tylko z konserwatywnych pobudek możliwą jest niebezpieczna i doniosła w skutkach, opozycja przeciw zamierzonej liberalnej reformie?... Nie w imię zasad konserwatywnych, lecz w imię zasad liberalnych podnosili swe zarzuty przeciw projektowanej reformie członkowie opozycji Izby deputowanych w komisji Izby, a rzecz godna uwagi, że podniecili je, opierając się na historycznej ciągłości lub na autonomii społecznej.

Daniel Irányi, przewodniczący „stronnictwa niepodległości i 1848 roku,“ mąż wysoce szanowany w sferach parlamentarnych, w kraju popularny, a stojący do tej pory na gruncie w tradycji liberalizmu europejskiego z 1848 roku — nie mówiąc, że zasady węgierskiego liberalizmu z tego roku są dla niego i jego zwolenników rodzajem nietykalnej ewangelii narodowej, — wystąpił był w komisji przeciw projektowi rządowemu z projektem utworzenia wybieralnego senatu, jako Izby wyższej, wybieralnego na historycznej podstawie komitatowej czyli municypalnej, — widząc w takiej dopiero Izbie mocną twierdzę niezawisłości Węgier.

Ważniejszym objawem od tego projektu, gubiącego się w tradycjach przejścia z epoki awitycznej do epoki parlamentarnej, są poprawki wniesione w komisji przez pana Szilágyi Dezső, liberalnego przewodzcę opozycji umiarkowanej. — Koryfeusz ten nowożytnych Węgier nie chce dać udziału w Izbie wyższej członkom z nominacji, odrzucając tę zasadę, jako nieznaną w konstytucji węgierskiej. Proponował tedy, aby na miejsce dotychczasowych zasiadających w Izbie magnatów z urzędu nadżupanów, powołać do przyszłej Izby wyższej członków wybieralnych przez komitaty i większe municipia miejskie odpowiednio zgrupowane. Sposób ten uzupełnienia Izby dziedzicznej przedstawiał Szilágyi jako naturalny rozwój instytucji, zastosowany do nowych warunków bytu i jako najlepszą zarazem rękojmią tego, aby żywiły, które się własnym trudem i zasługą wybijają na wierzch społeczeństwa węgierskiego, dostawały się do Izby wyższej, nie tracąc nic ze swjej niezawisłości tak wobec rządu, jak wobec drugiej Izby i stawały się tam podporą postępu państwa na drodze kulturalnej, wnosząc do tej Izby

pojmowanie żywych wymagań społecznych. — Poprawka Szilágyi'ego, tycząca się składu przyszłej Izby, została odrzuconą w komisji, lecz bardzo wątpimy, aby miała w niej samą wielu przeciwników przeświadczonych o jej niestosowności na gruncie konstytucyi węgierskiej. — Odrzucenie jej można dotąd uważać za sprawę prostą karnośći stronnictwa większości wobec rządu, który poprawkę tę niespodzianie stanowczo odepchnął. Najsilniejszym argumentem, jaki nam się zdarzyło słyszeć lub czytać w organach, sprzyjających rządowi, przeciw tej poprawce było twierdzenie, że mieszanina zasady dziedziczości z zasadą wyborczą jest niestosowną teoretycznie i niemożliwą w praktyce, Twierdzenie nader śmiałe a argument niepomiernie słaby przy tworzeniu organów budowy polityczno-społecznej.

W ostatnich dniach ubiegłego roku wynurzyły się pogłoski, że p. Szilágyi ma porzucić w ogóle swe stanowisko opozycyjne i wejść do gabinetu Tisza, dla objęcia teki sprawiedliwości. Jakakolwiek jest waga rzeczywista tych pogłosek, nie świadczy ona przeciw żywotności pomysłu p. Szilágyi co do przyszłej organizacji Izby wyższej: gdyby się pogłoski sprawdzić miały w blizkim czasie, świadczyłyby one tylko, że niezrównany taktyk, jakim jest p. Tisza, umiał projekt doniosłej reformy, sięgającej w głąb społeczeństwa i tworzącej nowy filar normalnego rozwoju konstytucyjnego Węgier, zabezpieczyć od rozbicia przed jego zbudowaniem — zarówno przed atakami naprzód posuniętego liberalizmu węgierskiego, jak przez powołanie barona Sennyeya do steru Izby magnatów przed konserwatywnym oporem. Myśl Szilágyi'ego, żyjąca po wszystkich niemal komitatach i wielkich muniypiach miejskich, domagająca się uznania w imię wolności i ciągłości historycznej rozwoju Węgier, ta myśl wszakże nie zgaśnie przez to, lecz stanie się hasłem szerokiej walki.

Jeden z wpływowych członków liberalnego stronnictwa rządowego, br. Keglevich Stefaun, wkrótce po zamknięciu obrad komisji nad projektem reformy Izby magnatów, przy rozprawach nad budżetem w Izbie deputowanych wystąpił niespodzianie z przestrogą dla gabinetu, że wpośród wielkiej zręczności rządu przy przeprowadzaniu zadań bieżących znikają powoli w głębi sceny życia publicznego wielkie postulata obozu liberalnego, jakie stronnictwo rządzące krajem ma obowiązek zaspokoić, w samém zaś stronnictwie słabnie wiara w siebie. Młody koryfeusz stronnictwa czuł się zwyciężonym, mową zaś, jaką wyraził dla przewodnictwa rządowego, pragnął przywieść publicznie gabinetowi przed oczy moment krytyczny i przestrzedz go, że na drodze kompromisów mógłby się znaleźć kiedyś niespodzianie opuszczonym przez członków stronnictwa, w którychby zachwianą została wiara w spełnienie wielkich postulatów przez obecny gabinet. Tenże sam deputowany, br. Kaglevich, wytworzył też zaraz bezpośrednio w łonie stronnictwa liberalnego nową grupę nazwaną „zjednoczeniem liberalnym,“ która się zbiera na poufne narady pod hasłem ścisłego czuwania nad tém,

aby przy popieraniu gabinetu, wyszłego z łona stronnictwa, nie zrobić żadnego kroku odprowadzającego ich od kardynalnej linii wytkniętej przez zasady stronnictwa liberalnego. Epizod ten z najświeższych wypadków parlamentarnych, okazuje w przeobrażonych stosunkach, że w samym stronnictwie parlamentarném panuje ufność w to, że fale oportunistu polityki bieżącej nie odwiodą statku państwowego od prądu liberalnego, do dziś panującego jeszcze w stosunkach wewnętrznych społeczeństwa, jak również ufność do tego, że myśl, któraby w opinii publicznej kraju znalazła uznanie, jako organiczna i postępową, znajdzie także gorących obrońców w łonie stronnictwa, mimo żelaznej dyscypliny i skłonności rządu do kompromisu z trudnościami chwilowemi.

* * *

Cokolwiek stanie się nateraz z myślą uczestnictwa reprezentacji komitatów i miast w Izbie wyższej drogą wyborów, myśl ta ma potrzebny punkt oparcia w Węgrzech dzisiejszych, który jój wystarczy do niejedno poparcie parlamentarne. Tym punktem oparcia jest hr. Juliusz Andrassy, wyznający od czasów swojego ministerstwa zasadę, że Izbę magnatów trzeba odrodzić przez wybory. Jest publiczną tajemnicą, że poprawkę Szilagyi'ego hr. Andrassy wzupełności aprobeuje i że projekt rządowy, jakim się on dziś przedstawia, nie ma wcale zapewnionego poparcia z jego strony, że za błąd nareszcie uważa ze stanowiska gabinetu liberalnego szukanie poparcia dla przeprowadzenia projektu u przeciwnika zasad i podstaw parlamentarnych gabinetu na drodze kompromisu—a ściślej mówiąc, przez kapitulacją wobec niego, jak to się stało z nominacją barona Sennyey na prezesa Izby magnatów. Jeżeliby hr. Andrassy wystąpił otwarcie ze swoją opozycją przeciw projektowi rządowemu reformy Izby magnatów, gdyby wypowiedział w téjże Izbie, że uważa za zgubne dla rozwoju konstytucyi węgierskiej i sił społecznych narodu, powoływanie do téj Izby członków z nominacji, nie stojących w koniecznym związku z organizacją społeczną narodu, być może, że przez to jeszcze nie pociągnąłby za sobą większości Izby magnatów i przez to projektu rządowego nie przywiódłby do upadku; lecz to jest pewnem natomiast, że przez publiczne swe wystąpienie rozpołowiłby w jednej chwili parlamentarne stronnictwo liberalne w Izbie deputowanych, popierające rząd dzisiejszy, jak i to jest także prawie pewnem, że od téj chwili kraj w nim jednym, w Andrassym, widziałby uznanego reprezentanta liberalnego.

Gabinet broni się dotąd mimo wszelkich względów od myśli ustępstwa na punkcie nominacji i reprezentacji komitatowej w Izbie wyższej. Przyjęcie noworoczne samo było wyzyskaném przez prezesa gabinetu dla propagandy na rzecz myśli nominacji i dla podtrzymania niewzruszalności szeregów parlamentarnych stronnictwa. Argumenta p. Tiszy, tym razem były niestety, tylko pośrednie i polemicznej natury, a więc nie oddziały na wielkie prądy opinii.

Zaprzeczał on, i słusznie, aby przez nominacją dożywotnią wskazanęj części członków Izby wyższej, wpływ rządu na nią miał się stać większym niż na dzisiejszą Izbę magnatów, w której zasiadają nadzupani, odwołalni w każdej chwili z urzędu, choć nie zawsze jeszcze przez to z samej Izby magnatów. Nie wspomniał wszakże prezes ministrów, że zadaniem reformy jest stworzyć Izbę niezawisłą od wpływów gabinetu, a nie tylko nie pogarszać jej obecnych pod tym względem warunków. Powołując się również na świadectwo opozycji, która utrzymywała, że wpływ gabinetu na kongregacje komitatowe jest obecnie tak wielki, iż wybory przez nie prowadzić tylko mogą do wzmocnienia potęgi rządowej, pominął milczeniem tę okoliczność, iż to ewentualne wzmocnienie byłoby wszakże uwarunkowane wyborem, czyli zasadą parlamentarną. Jedyne argument zasadniczy, jaki podniósł p. Tisza w przemówieniu noworocznym na rzecz swego projektu jest ten, że nowa Izba wśród wszelkich stosunków i w obec wszelkich czynników, pozostać powinna stróżem i obrońcą węgierskiej idei państwowej. Z tym też jedynie argumentem wypadnie się rozprawić przeciwnikom zasady nominacji, a zwolennikom zasady municypalnej reprezentacji w odnowionej Izbie wyższej parlamentu węgierskiego.

Cokolwiekby się stanie w tej walce argumentów zasadniczych, niezadowolnienie hrabiego Andrassy z projektu reformy, przedstawionego przez gabinet, tworzyć będzie w każdym razie jeden z momentów ważnych w historii tej reformy. Stanowisko zaś, jakie zajął ten organizator nowych Węgier, sterczący ponad wszystkimi współczesnymi mężami stanu swojego kraju, ten dumny protektor obecnego gabinetu, stanowi niemięj cenną rękojmią, że nie wytworzy się żadna grupa zjednoczenia liberalnego wśród stronnictwa, że gabinet mimo wszelkich względów oportunistycznych nie zejdzie z drogi wytkniętej przez zasady liberalizmu narodowego. W sferze tych zasad musi bowiem szukać środków wypełnienia swojego rządowego zadania, lub gdyby ich tam znaleźć nie miał, czyli raczej gdzieindziej ich chciał szukać, od steru stronnictwa i rządu musiałby odstąpić.

* * *

Materyalna trwałość systemu rządzącego na Węgrzech zdaje się więc być zapewnioną przez gabinet obecny. Nie ma on wobec siebie przeciwnika równorzędnego z dążeniami konserwatywnymi, a sam nie może zejść z drogi, po której kroczy, bez zniszczenia współcześnie warunków realnych swęj władzy i swego bytu.

Poza szeregowanem w parlamencie i kraju stronnictwem liberalnym, na którym się ten gabinet opiera, istnieje jedno jedyne stronnictwo, zdolne do rządów w obecnych warunkach państwowych, bo stojące na podstawie ugody, tak zwana „opozycja umiarkowana“, złożona przeważnie z mężów przekonanych liberalnych. Dziś, gdy jak się zdaje, nadeszła chwila rozkładu tej parlamentarnej grupy, gabinet Tisza znajduje pożądaną sposobność odświeżenia się i wzmocnienia przez wciągnięcie do organizacji stronnictwa rządowego żywiołów wolnomyślnych tej grupy.

Na długie więc czasy panowanie systemu liberalnego na Węgrzech zdaje się być zapewnioném, pomimo że w sąsiadującej Austrii, związanej z Węgrami ugodą i wspólnemi instytucjami, rozwój stosunków politycznych wprost w przeciwnym kierunku się obrócił. Ale téż innym jest ten liberalizm węgierski od przeżytego w stosunkach austriackich. Ugruntowany w dziejach narodowych nawiązujący postęp i rozwój do instytucji odziedziczonych równie wyznaniowych, jak administracyjnych, tudzież towarzyskich, nie negujący żadnego żywotnego czynnika społecznego w państwie i pragnący je wszystkie rozwijać w duchu zasad swobody konstytucyjnej, dążący przedewszystkiém do budowy państwa europejskiego z cechą narodową węgierską, z któremby ludziom i instytucjom było dogodnie spełniać swe zadania społeczne; liberalizm węgierski dalekim jest od burzycielstwa i negacyi, wywołujących rozpadliny społeczne, jako téż okazał się dotąd niezdolnym do skostniałego doktryneryzmu. Idea państwa węgierskiego, którą tak wszędzie podnosi i na czoło swych dążeń wysuwa, pojmowaną jest — i pod tym względem obcy ludzić się nie powinni — w sensie siły na zewnątrz, siły wobec Austrii, siły wogóle w systemie międzynarodowym Europy, siły przedewszystkiém wśród krytycznych a gwałtownych przeobrażeń systemu międzynarodowego, przez jakie świat peryodycznie przechodzi, nie zaś bynajmniej w sensie siły gabinetu rządzącego i centralizacji administracyjnej. Liberalizm węgierski, jakim się on dziś przedstawia, jest nader podobnym do tego, co gdzieindziej przybiera nazwę młodo-konserwatyzmu, różni się wszakże od tego ostatniego przez istotne zamiłowanie zdobyczy liberalnych, przez część bezwarunkową dla praktyk i sposobów konstytucyjnych załatwiania interesów publicznych i przez czujną pieczołowitość, nigdy nie zapominającą o idei państwowej, jako łączniku wszystkiego, jako rzeczywistego klucza sklepienia całej budowy społecznej.

Jeżeliby kiedykolwiek ze strony bratniego państwa w monarchii t. j. Austrii, ogólne warunki ugody z 1867 roku zostały podkopane, bo nie sądzimy, aby to kiedykolwiek stało się w czasach spokoju ze strony Węgier, wówczas w Węgrzech przyszedłby czas znaczenia i rządów „stronnicstwa niepodległości i 1848 roku,“ które zresztą jest równie dynastyczném jak dwa inne. Stronnicstwo to identyfikuje się samo z liberalizmem pod względem dążeń społecznych, w istocie zaś odznacza się w swych dążeniach w porównaniu z liberalizmem dziś rządzącym, bądź przez wyższy stopień demokratyzmu pod względem wszelkich przeobrażeń społeczno-państwowych, bądź przez wyznawanie zasady zupełnej niezależności instytucji społecznych od władzy państwowej. Z przyjściem do rządów tego stronnicstwa, złagodniałby zapewne odrazu jego radykalizm, liczący się z faktami i potrzebami państwa pozostawionego w tych ewentualnych konjunkturach li własnym siłom, lecz dla rozwoju liberalizmu organicznego, nie da się zaprzeczyć, otworzyłaby się wówczas nowa zupełnie epoka rozwoju. Tak się przedstawia w całości przyszłość systemu dziś rządzącego Węgrami.

*

*

*

Ważniejszém ponad to zapewnienie trwałości panowania systemu liberalnego na Węgrzech wydaje nam się jego wewnętrzne ugruntowanie; zejście na drogi zapewniające nie panowanie ciągłe, lecz ciągłą żywotność w narodzie.

Wiadomo, że liberalizm kontynentalny, o ile nie przeszedł w radykalizm antyspołeczny, skończył prawie wszędzie na ubóstwianiu państwa, a raczej maszyny państwowej, rządzonej parlamentarnie. Ubóstwienie to, będące w gruncie rzeczy ultima ratio liberalizmu, posunięto tak daleko, że pod jego wpływem sam parlamentaryzm stał się martwym społecznie, czemś zupełnie odmienném od systemu reprezentacyjnego, z którego wyrósł i którego miał być wiecznie żywym kwiatem, wiecznie obfity owoc dającym. Szczęśliwa gwiazda ustrzegła liberalizm węgierski od wejścia na analogiczne drogi. Liberalizm ten oparł się nęcącym pokusom pod tym względem, a oprócz natury społeczeństwa, nie dopuszczającego w tym względzie zboczenia, wielką jest także, a przynajmniej dotąd była co do tego zasługa dzisiejszego prezesa gabinetu.

Pomimo że państwo węgierskie przedstawia się wszystkiemu patryotom jako summum dobrego, jako wyraz treściwy cywilizacji europejskiej i jako racya bytu narodowego; i tak przedstawiało się zawsze we wszystkich świetnych okresach dziejów narodowych, od Stefanów i Matyaszów Korwinów aż po czasy Kossuthowskie; pomimo, że przy dzisiejszym stanie społeczeństwa węgierskiego akcja państwowa w wielu razach musi zastępować akcją społeczną, jeśli stosunki nie mają się cofać, jak się wyraził br. Sennyey, w stan barbarzyński; pomimo tego hasła: wszechpotęgi państwowej i administracji jako narzędzia w ręku rządu, nie wyszło stronnictwo rządzące z obozu liberalnego. Hasło zostało poraz pierwszy rzuconém autorytatywnie przez br. Sennyey, przedstawiciela podniosłego konserwatyizmu, a p. Tisza przez czas jeszcze pierwszej połowy swych rządów, zaliczał się do najgorliwszych municypalistów, czyli obrońców samorządu. Prawda, że mężowie liberalni jak Grünwald Bela, wobec strasznych braków administracji węgierskiej, zwłaszcza pod względem politycznym, przemawiają za administracją państwową i za bezwzględną nominacją urzędników, widząc w tém jedyną rękojmię bezpieczeństwa państwowego; prawda, że wśród obozu liberalnego, na którym się rząd opiera, wielu bardzo, i to z pomiędzy najdystyngowańszych umysłów nauki politycznej, przemawia na rzecz zaprowadzenia administracji, opartej na nominacji; prawda, że sam gabinet obecny, który niegdyś po wielkiem zaledwie wahaniu się zaprowadził pierwsze spojenie po municypiach samorządu z władzą państwową przez komisye (Közizgazgatási Bizottságok), mające regulować, podniecać i prostować administrację autonomiczną, dziś coraz więcej może skłaniać się na stronę administracji od rządu zawisłej; pomimo tego wszystkiego jednakże ruch umysłów w społeczeństwie samém w innym odbywa się kierunku, a przywiedzeni tu reformatorzy administracyjni obozu liberalnego

wyrzekają się hasła centralizacyi lub negacyi samorządu, jako zarzutów, krzywdzących ich przekonania polityczne.

Nie słabięj, ale coraz silnięj staje w obronie samorządu komitatowego stronnictwo niepodległości i cała gentry krajowa. Ludność zalicza nietykalność instytncyi komitatowej do postulatów liberalnych, ostatnia restauracya urzędników w r. 1883, po uchwaleniu prawa kwalifikacyi odbyła się wśród niepamiętnego współudziału uprawnionych do głosowania, a wybory do kongregacyi komitatowych tyleż przedstawiały ożywienia co wybory do parlamentu. Teraz nareszcie z okazji reformy Izby magnatów, instytucya komitatowa przychodzi dobić się przez usta najwięcej znaczących reprezentantów liberalizmu węgierskiego, sankcyi nowoczesnej najwyższej, wyrażającej się przez współudział w prawodawstwie i w rządach parlamentarnych kraju.

Pojęcia o najlepszej administracyi, najbardziej odpowiadającej potrzebom kraju, będą się wyrabiać i sama sprawa utworzenia Izby wyższej, nie jest jeszcze sprawą skończoną; niewiadomo nawet jeszcze, jakie ona stworzy nowe objawy. — Fakt faktem wszakże pozostaje, że ocalenie komitatu wraz z należytem jego przekształceniem, odpowiedniem do zmienionych w państwie instytucyi, łączy się coraz bardzięj z programem liberalnym narodowym; a sam gabinet Tisza nigdy dotąd nie wyrzekł się publicznie i nie potępił samorządowego komitatu jako instytucyi, zawadzającej rządowi lub przeżytej.

Dwie bliższą gwiazdy w przeciwstawieniu na horyzoncie nowoczesnych Węgier: Kossuth i Andrassy—sprzeczności między nimi nie są do przejednania za życia tego pokolenia, choć obaj należą do wielkiego liberalnego obozu. Nie ma takiej sprawy politycznej w sferze praktycznych zadań, przy którejby zapatrywania ich nie rozchodziły się dyametralnie w przeciwnych kierunkach: ale Kossuth widzi przytęm w ożywieniu politycznym i podniesieniu w ogólności roli komitatu jedyny sposób, aby parlamentaryzm węgierski nie upadł i nie zamienił się w narzędzie dążeń narzucanych, nie mających nic wspólnego z dobrem narodu, aby stawał się wiernym wyrazem systemu reprezentacyjnego; Andrassy zaś właściwy twórca nowoczesnego komitatu i municypalności węgierskich, lecz dla którego Izba deputowanych, taka jaka jest, jest jedynym legalnym wyrazem opinii publicznej i jedyną podstawą ludową rządów narodowych, chce mieć wszakże te municypia obecnie w nowoczesnej Izbie magnatów, biorącemi udział pośrednio; lecz samodzielnie w prawodawstwie i w rządach i to nazywa: liberalną reformą Izby magnatów. Szerokie nader sfery działalności organicznej stoją jeszcze przed meżami stanu i patryotami węgierskimi, wyzywając ich działalność. Dobrą jest wszakże szansą dla Węgier, a zadatkami żywotności dla liberalizmu węgierskiego, iż w takiej właśnie chwili ten liberalizm — zupełnie inaczej niż to miało miejsce w innych państwach kontynentalnych, powraca do podstawy autonomii społecznej, nie gubiąc wcale przez to z oka zadań państwowych, mających wszędzie pierwszorzędne, a w społeczeństwach, narażonych na próbę

bytu, swojego najwyższą doniosłość pod względem spełnienia misji narodowej. Staje się on przez to tém, czém właśnie być powinien system liberalny: systemem rządów, czerpiących swą siłę w autonomii społecznej i w samodzielności obywatelskiej, a starającym się nadać obu tym czynnikom rolę właściwą, ożywiającą i wzbogacającą organizm państwowy, gwoli najlepszemu dobru narodowemu.

Wracając wreszcie myślą po tém studyum do tła, na którémśmy je oparli, winniśmy może dodać końcową uwagę, że byt i rozwój narodów nie zależy według nas od systemów niemi rządzących. Owszem przeciwnie, naród, któryby pod jednym tylko systemem żyć i rozwijać się potrafił, składałby świadectwo jakiejś niepełności w swoim organizmie wewnętrznym, a czegoś sztucznego w swém stanowisku międzynarodowym. Wracając do konserwatyzmu i liberalizmu, mniemamy, że u narodów, mających przyszłość przed sobą, konserwatyzm nie może być reakcyjnym, a liberalizm burzycielskim, czyli, że w konserwatyzmie narodowym musi tkwić żywotne i podniosłe zarazem pojęcie postępowości, jak w liberalizmie narodowym istnieć konserwatywny ideał narodowy. Gdy wszakże w gruncie rzeczy i żywotność tych systemów i żywotność samego narodu zależą od sumy żywych sił społeczeństwa tudzież od dzielności czynu u pojedynczych jednostek, ten system przeto będzie w każdój chwili najpomysłniejszym dla narodu, który najdzielniej skupia siły jego społeczne, którego rządy są moralnie silniejszymi od atrakcyi etnicznych, klasowych czy wszelakich innych, który zapewnia harmonijny rozwój instytucyi odziedziczonych, a przedstawia największą sumę potęgi twórczej, dla dzielności zaś osobistej otwiera wdzięczne drogi w służbie sprawy publicznej!

Pisałem w styczniu r. 1885.

O RUCHU
PAŃSTWOWO-SOCYALISTYCZNYM
W NIEMCZECH.

PRZEZ

Ludwika Żychlińskiego.

Czasopisma niemieckie rozbiegały w ostatnich czasach nader skwapliwie i wielostronnie zapowiedziane przez ks. Bismarka projekta prawodawcze w sprawie poważnych kwestyi socyalistycznych. Niektóre z nich, popierając widoki księcia kanclerza niemieckiego, zwracały uwagę publiczności na tę okoliczność, że w projektach prawodawczych, podjętych przez ks. Bismarka, nie ma nic tak dalece groźnego, gdyż duch, w którym kanclerz wziął się do dzieła, jest tylko wiernym echem pruskich tradycyi oraz idei państwa pruskiego, reprezentowanych przez Elektora W., Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka W. Pomijając powołane echa dawniejszych wieków, zatrzymamy się na artykułach powszechnego prawa pruskiego (Landrecht), które w części drugiej, tytule 19-ym opiewa co następuje: „§ 1. Państwa zadaniem jest dbać o utrzymanie tych, którzy się sami utrzymać nie mogą. § 2. Każdy, komu niedostaje środków i sposobu do zarobienia dla siebie i dla swojej rodziny na życie, winien otrzymać stosowną do swych sił i zdolności robotę. § 3. Tych, którzy nie biorą się do pracy z lenistwa lub innych nieusprawiedliwionych powodów, należy zmusić do pracy pod stosownym dozorem. § 6. Państwo ma prawo i obowiązek zabezpieczyć swoich obywateli od głodu. § 15. Rzeczą jest miejscowej władzy policyjnej zająć się wszystkimi ubogimi i niedomagającymi, dla których w inny sposób utrzymania wymyślić nie można.“ Myśl, pochwały godna ze stanowiska humanitarnego, przybrała tutaj formę jaknajdalej sięgającej dyrektywy państwa i tę pochwycił dziś ks. Bis-

mark, wypowiadając, „że państwo musi zacząć nieco zwiększać dozę socjalizmu, w dobrém jego znaczeniu.“ Nie tu miejsce wykazywać, że idea wszechmocy państwa była dotychczas źródłem, z którego płynęła potęga materyalna prusaczyzny: ona przewodniczy walce z Kościołem, ona podyktowała przymus i całą wewnętrzną, jaknajbardziej scentralizowaną organizacją szkół; ona ugruntowała w umysłach pruskich powszechny obowiązek służby wojskowej, niedopuszczający żadnych uprzywilejowanych wyłączeń.

Epoki Elektora W., Fryderyka Wilhelma i Fryderyka W., dzieli od czasów dzisiejszych przestrzeń bardzo wielką; ale energia ich idei monarchicznych nie słabła nigdy, aż wybujała znowu dzisiaj w rękę potężnego męża stanu w absolutyzm monarchiczny, który pragnie zagarnąć wszystkie siły ekonomiczne narodu pod twarde „bułt“ wszechpotężnego opiekuna i patriarchy państwa. Iskra aspiracji liberalizmu francuskiego wywołała w początkach wieku bieżącego oraz w latach późniejszych konieczne reformy w organizmie społecznym Prus, w stosunkach klas między sobą; ale ani rewolucja francuzka, ani późniejsze wstrząśnienia nie objawiły się w sposób, któryby świadczył o wydatniejszym indywidualizmie prusaków, jako społeczeństwa nowożytnego. Tymczasem rozwijały się w Prusiech stosunki ekonomiczne, a że zasady prawnej wolności i równości zyskały z postępem czasu także na sile, odezwało się i w Prusiech pewne przeciwieństwo między interesami ekonomicznymi a politycznymi. Ogromny wzrost produkcji i nierówny jej podział w różnych warstwach społeczeństwa całych Niemiec, oraz nowe formy, jakimi się nowsza kultura posługuje, pogorszył znacznie ową zachwianą równowagę między ekonomią a polityką. Wynalazek i zastosowanie siły pary, ogromny postęp w technice i w zastosowaniu machin, wszystko to zmieniło całkiem metodę produkcji i nadało wielkiemu przemysłowi coraz większą przewagę nad pracą jednostek. Pod takimi wpływami spadła siła robocza człowieka, której przecież odłączyć nie można od jego osoby, do poziomu towaru. W miarę jak nabierały znaczenia interesa przemysłu i większych miast, traciło na znaczeniu rolnictwo, za czém poszło wyludnienie wsi i mniejszych osad rolniczych. Robotnicy przemysłowi przenieśli się przedewszystkiém do wielkich miast, gdzie rażący zbytek i świecąca łachmanami bieda żyją obok siebie, gdzie z jednej strony widzisz potężnych Krezusów, dumnych ze swego kapitału i wiedzy, z drugiej zależne od nich masy proletaryatu. Rozpostarł się więc w Niemczech w ogóle, a w Prusiech w szczególności, choć późniéj niż we Francji i w Anglii, wielki przemysł i kapitalistyczna metoda produkcji z wszystkimi jej jasnymi i ciemnymi właściwościami. Straszliwe kontrasty stanęły sobie oko w oko. Kwęstya społeczna dzisiejszego czasu jest to pulsujące w coraz obszerniejszych kołach przeświadczenie o przeciwieństwie między ekonomicznym rozwojem a ideałem społecznego rozwoju wolności i równości. Podczas gdy liberalna szkoła ekonomiczna wynosiła pod niebiosa ogromny wzrost

produkcji, wyłaniała się z głębin społeczeństwa socjalna demokracja. Z jednej strony jadowite były jej głosy, z drugiej naukową starały się przybierać szatę. Zaczęto się zwracać myślą do państwa, zaczęto przebąkawać o potrzebie pomocy jego. Pierwszy, który wystąpił z wielką śmiałością w tym kierunku, był Lassalle. Z zasobem nie lada erudycji i w ognistych słowach powstał Lassalle przeciw uciemnieniu robotników przez kapitał i żądał czynnego w interesie robotników wystąpienia państwa. Przeciw Lassallowi i jego zwolennikom wystąpiły głosy takich ludzi jak Schultze z Delitsch, który potępiał mieszanie się państwa do swobodnej pracy jednostek, a zachwalał zasadę własnej pomocy, ideę asocjacji, opartej na solidarnej odpowiedzialności i obejmującej nie mały obszar potrzeb ekonomicznych. Wielka część tych asocjacji stanęła pod chorągwią walki przeciw przedsiębiorcom i przechwalała się niekiedy tryumfami łatwego zwycięstwa; ale nie potrafiła w żaden sposób podźwignąć całości klas roboczych z niewoli kapitału.

Wśród takich stosunków, wybuchnęła wojna Prus z Austryą, a potem całych Niemiec z Francją, pod hetmaństwem pruskiem. Zaledwie przebrzmiały okrzyki tryumfu niemiecko-pruskiego, zebrali się (w październiku r. 1872) różni uczeni niemieccy, będący zwolennikami umiarkowanej pomocy państwa, w mieście Eisenach i założyli stowarzyszenie społeczno-polityczne, którego formuła brzmiała: że istnienie przeciwnych sobie a tak nierównych co do siły interesów, nie zabezpiecza w niczym dobra ogółu, że wymagania ludzkości i prawo solidarności ważą bardzo wiele w życiu społecznym i że potrzebne tu jest umiarkowane w mieszanie się państwa w interesie całości. Wpływ, jaki to stowarzyszenie wywarło na dalsze koleje rozwoju społecznego w Niemczech, był bardzo wielki, a to głównie dlatego, że wywołał w sferze roztrząsań naukowych nadzwyczaj żywą agitację. Stowarzyszenie otrzymało w opinii nazwę socjalistów-teoretyków (Katheder-Socialisten). Staczano wprawdzie walki i w łonie samego stowarzyszenia, jak np. Smoller z Treitschkem (w r. 1874 i 1875) ¹⁾; ale w ogóle chcieli wszyscy w mieszania się państwa choćby do pewnego tylko stopnia, wśród tych zwaśnionych a namiętnością coraz większą ziejących interesów ekonomiczno-politycznych. Gromili stowarzyszonych liberalni ekonomiści, jak Bamberger i inni, którzy powołując się na ogromne zdobycze ery liberalnej, zapowiadali doskonałość jej wiecznotrwałą w sferze ekonomicznej.

Ks. Bismarck, będący najgłośniejszym wyrazem prusaczyzny, kładący zawsze jaknajwiększą wagę na misyą korony i przykrawający do jej miary pojęcie państwa, powziął myśl ześrodkowania prawa społecznej reformy klas roboczych w celu osiągnięcia moralnej korzyści dla

¹⁾ Treitschke: *Der Socialismus und seine Gönner*, 1874. *Die gerechte Vertheilung der Güter*, 1875. (*Preussische Jahrbücher*). Schmoller: *Ueber einige Grundfragen des Rechtes und der Volkswirtschaft*, 1875.

królestwu pruskiemu. Zgodnie z tym poglądem uznał tedy wzmieszenie się idei monarchii pruskiej do walki i pozyskanie stanowczej dla niej przewagi i na polu pracy ekonomicznej, za główne zadanie społeczne królestwu pruskiemu. „Monarchia i tylko monarchia — uczył — mająca na swoje zawołanie bezwarunkowo sobie oddaną armię, lud zadowolony materyalnie za sobą — jest filarem państwa pruskiego i cesarstwa niemieckiego. Wszystkie inne polityczne zasady i wiary są rzeczą poboczną, zmienną wedle czasów i okoliczności, raz pożyteczną, drugi raz szkodliwą.“ Na tej podstawie wystąpił ks. Bismarck o orędzie królewskie, które nazwać można magna charta państwowego socjalizmu, oraz podstawą najnowszego prawodawstwa społeczno-politycznego z potężną przymieszką socjalizmu, i wystąpił otwarcie z nim, jako z programem nowego cesarstwa niemieckiego, przed parlamentem niemieckim w dniu 17 listopada 1881 r. „Z tym większym zadowoleniem powitalibyśmy osiągnięte przez nas wielkie narodowe owoce — mówi wspomniane orędzie — gdybyśmy umierając, żegnać mogli naród niemiecki z tą wiarą, żeśmy ojczyźnie zostawili nie tylko nowe gwarancje pokoju, ale i obdarzyli klasy robotnicze większą pewnością egzystencji, do której mają prawo. W tym duchu przedstawiony wam będzie projekt do prawa zabezpieczającego klasę robotniczą w wypadkach nieszczęścia, oraz projekt drugi, uzupełniający, który ma na celu organizacją jednolitą kas dla chorych robotników. Wszelako i ci, którym wiek i kalectwo nie pozwala zarabiać na życie, mają prawo do większej dbałości o nich państwa aniżeli dotychczas. Jest wprawdzie trudną rzeczą wynaleźć na tym polu stosowne i skuteczne środki; ale mimo to nie przestaje sprawa ta być jednym z najważniejszych zadań każdego społeczeństwa, spoczywającego na podstawach moralnych życia chrześcijańskiego. Ścisłejsze połączenie się z warunkami realnymi życia ludu i skupienie, oraz zjednoczenie owych interesów i warunków w formie stowarzyszeń korporacyjnych pod tarczą państwa i z jego pomocą, umozębni, jak mamy nadzieję, rozwiązanie i takich kwestyi, którym sama władza państwowa z równą skutecznością podołaćby nie mogła.”

Prawo zabezpieczające robotnika przed skutkami nieszczęść, na jakie robotnik wśród pracy swojej często wystawionym bywa, oraz prawo organizowania kas dla chorych, uzyskały już pożądaną zgodę parlamentu. Zabezpieczenie natomiast robotników w starości oczekuje jeszcze gruntowniejszego rozbioru w najbliższej dyskusji. Pierwsze dwa prawa klasyfikują i porządkują, powiedziatbym nicomal, że kadastrują niejako zatrudnienia stanu robotniczego; trzecie zaś powinno dopiero uzupełnić całą organizacją. Wzięte jako całość, mają wszystkie trzy stanowić rodzaj zasadniczego zarysu prawa regulacyjnego i czuwającego nad całą sferą pracy robotniczej, aby polepszyć i zapewnić jaknajtrwalszą sytuacją ludności robotniczej.

Zgodnie z temi zamierzeniami monarchiczno-socjalistycznymi, występują także wszystkie inne akcje państwa, dotyczące polityki celnej i kolonialnej, obrony interesów rolnictwa oraz zakupu wszystkich

kolei na rzecz państwa, reorganizacji podatków i t. d. W szczerym zarysie nie możemy się zapuszczać w bliższą ocenę tych objawów, które wypływają po największej części z zasady państwowego socjalizmu, objawionej tak niedwuznacznie i będącej duszą obecnych usiłowań polityki ks. Bismarcka. Usiłowania, któreśmy powyżej wskazali i znaczenie ich treściwie określili, spotykają atoli bardzo licznych i nie mniej potężnych, bo wpływowych przeciwników, którzy nie w chęci opozycji, ale z samej zasady muszą zwalczać idee takiej omnipotencji państwa. W pierwszym rządzie występują tu katolicy, którzy chociaż jaknajwyraźniej krzątają się około podniesienia klas roboczych i tylokrotnie występowali z odpowiednimi projektami, nie mogą się pojednać z myślą wytworzenia społecznego prawa do pracy, chcącego skonfiskować na rzecz państwa dobroczynny wpływ Kościoła pod względem moralnego uspołecznienia, moralnego doskonalenia warstwy tak licznej a tak ruchliwej i tak poważne siły fizyczne i intelektualne reprezentującej w całym narodzie. Idee i cele ks. Bismarcka znajdują również zaciętych przeciwników w pojedynczych państwach niemieckich, które widzą w tego rodzaju centralizacji coraz większe osłabienie prowadzące do nieuniknionego zupełnego upadku swój pozornej autonomii. Niemniej przeciwni są usiłowaniom państwowo-socjalistycznym ks. Bismarcka stronnictwa lewicy liberalnej, chociaż im brak spistości i jasnego poglądu na cele i zamiary, płynące konsekwentnie z idei, które reprezentują. Widzimy w szeregach tej nadto szarej falangi doktrynerów w demokratycznych, uszkodzonych materialnie przez nowy zwrot polityki celnej i kolonialnej, wyznawców starej szkoły ekonomicznej, malkontentów, urzędników i t. p. żywo. — Wreszcie występuje przeciw ks. Bismarckowi cały zastęp naukowo rzecz traktujących socjalistów, czyli tak zwany socjalizm teoretyczny.

Kto dziś chce mówić o socjalizmie, musi zadania swoje jasno ograniczyć i ściśle zdefiniować. Socjalizm jest to bowiem zbiorowa nazwa dla mnóstwa różnych opinii i dążeń, które mają wszelako jeden punkt wspólny, t. j. antagonizm przeciw obecnemu, prawnemu porządkowi rzeczy. Ścisła analiza winna tymczasem zdobyć się na dokładniejszą definicyą przedmiotu w mowie będącego. Z sadniczniej tendencji socjalizmu, t. j. z walki przeciw dzisiejszemu społecznemu porządkowi rzeczy wyróżnia ściślejsza analiza stronnictwa dwa nader ważne i nader groźne momenta. Jeden walczy przeciw dzisiejszemu, drugi przeciw wszelkiemu prawnemu porządkowi rzeczy. Pierwszym jest socjalizm naukowy, drugim międzynarodowy anarchizm czyli nihilizm, płynący z głów moralnie zaniedbanych a zelektryzowanych bezładnymi wiadomościami ze świata zewnętrznego. Pierwszy żąda zupełnej zmiany prawnego porządku rzeczy i walczy przeciw socjalizmowi państwowemu w imię cywilizacji, która wymaga, wedle niego, socjalistycznego ustroju społecznego państwa. Pomijamy stronę krytyczną, jaka widnieje z socjalizmu

naukowego, a przyjrzymy się w krótkich zarysach pozytywnemu jego programowi.

Wszystko złe dzisiejszej ekonomiki, twierdzi socjalizm naukowy, wypływa z niesprawiedliwego stosunku kapitału do pracy ludzkiej. Wszelka wartość powstaje przez pracę, tymczasem nie otrzymuje nigdy robotnik pełnego owocu ze swój pracy, ale tylko częściowy; resztę, zaiste najpokazniejszą, chowa kapitalista do kieszeni. Masa nagromadzonego kapitału jest więc tylko skoncentrowaną pracą, kompleksem ogromnej ilości pracy niezapłaconej, zabsorbowanej przez przedsiębiorców. U małych posiadzicieli spoczywał pierwotnie w jednym ręku kapitał i praca. Ta forma znikła wskutek nieproduktywności procederu, ale z wyssania małych posiadzicieli powstał kapitaliści, a dalej rozpoczęli znów walkę więksi kapitaliści z mniejszymi. Ciągłe zwycięstwa pierwszych, ciągłe wyzyskiwanie słabszych przez mocniejszych, bezgraniczna konkurencja, bój zaciekły wszystkich przeciw wszystkim, oto skutki produkcji kapitalistycznej, oto zabójcze owoce wszechwładztwa kapitału na polu działalności ekonomicznej narodu. Tym sposobem znika coraz bardziej stan średni, a podnosi się zamożność pojedynczych kapitalistów, wytwarza się plutokracja obok coraz większej masy biednych.

Jakiż ratunek na to? Oto zniesienie („ablucya“ jak mówią apostołowie tej dokryny) kapitałów prywatnych. Dotychczasowi kapitaliści prywatni otrzymać mają dożywocie od państwa. Dla pojęcia kapitału prywatnego nie ma w prawodawstwie najnowszym żadnej opieki, a natomiast powstaje zbiorowy kapitał, będący kamieniem węgielnym państwa socjalistycznego; całość środków pracy i produkcji przechodzi do rąk społeczeństwa. Każdy człowiek staje się tym sposobem robotnikiem i tylko robotnikiem, ale każdy otrzyma taki udział w wspólnej produkcji, na jaki zasłuży wartość jego pracy. Rodzaj, zakres, kierunek i siedliska poszczególnych produkcji ustanawia państwo, owa wszechmoc nowoczesna, ów wszechwładzca nowożytnego zakonu, który z kataraktą materjalizmu na oczach, ogłasza się za personifikacją postępu—dodajmy—jaknajszybszego postępu ku niewoli. Własność prywatna i prawo spadkowe ograniczą się do sfery środków spożywczych i użytkowych. Płaca i procenta, handel i spekulacja ustana, pieniądz zniknie, a powszechną miarą wartości będzie czas „społeczny“, wyznaczony na pracę. Substancja wartości produktów spoczywać będzie w pracy społecznie koniecznej do wytworzenia produktu. Wszystkie te zmiany przyjść mają przecież zwolna, bez gwałtu i jakoby fatalnie ¹⁾.

System, o którym mówimy, rozgłaszany i zalecany na wszystkie strony i we wszystkich tonach, puścił się nawet na zaprojektowa-

¹⁾ Marx: Das Kapital. Lassalle: System der erworbenen Rechte. Schäffle: Die Quintessenz des Sozialismus, 1879. Kleinwächter: Die Grundzüge des sogenannten Sozialismus, 1885. George: Fortschritt und Armuth. Soziale Problema, 1884.

nie socjalistycznej religii-przyszłości. Największe niebezpieczeństwo w tym systemie stanowi ta okoliczność, że mamidła jego odurzają umysły niedojrzałe i niedouczone, pełne zarozumiałości i arogancyi półmędrków, którzy nietylko nie zawahają się przed straszną odpowiedzialnością burzycieli porządku społecznego, ale oczekują aureoli męczenników w walce o rzekomy postęp cierpiącej ludzkości. Kierunek ten staje się prócz tego jeszcze niebezpieczniejszym przez to, że wyznaje, iż godzina tryumfu jego nie wybiję jeszcze tak prędko, co wywołuje ten skutek, że usypia czujność narodu, którego podwaliny minuje!

Niepodobna w tém miejscu, gdzie chodzi tylko o charakterystykę całego ruchu socjalistycznego państwowego, dowodzić szczegółowo licznych niejasności i technicznych niepodobieństw, zawartych w owym systemie, lecz należy się jednak przypatrzeć jego zasadzie.

Fałsz konstrukcyjny socjalizmu naukowego łatwo wykazać postawieniem obok siebie intelektualnej i duchowej zasady rozwoju cywilizacji i postulatów, oraz urządzeń owego systemu. Przez cywilizacją rozumiemy przeciętny wśród danej epoki duchowy i materialny rozkwit społeczeństwa i osobników; musi więc system, pragnący uchodzić za postępowy, mieścić w sobie moment, zdolny podwyższyć stopień cywilizacji dzisiejszej oraz kultury powszechniej. Twierdzi wprawdzie socjalizm naukowy, że zbiorowa organizacja produkcji dostarczy stokroć tańszych i lepszych materialnych środków dla potrzeb ludu aniżeli dzisiejsza metoda produkcji, ale żaden z najgorliwszych wyznawców tej szkoły nie wskazał dróg i środków, zapomocą których dałyby się praktycznie urzeczywistnić marzenia tych nowożytnych ideologów — niebezpieczniejszych dla wolności od wszystkich dotychczasowych jej wrogów. Wreszcie, gdyby nawet wynaleziono potrzebne drogi i środki, to ztąd nie wypływa jeszcze, aby system ten zadokumentował także przez to energią pożyteczną swęj cywilizacyjnej siły.

Kwestye cywilizacji nie ograniczają się li tylko do kwestyi żądania, ale mieszczą w sobie i warunki duchowego rozwoju osobników, ich odpowiedzialność moralną, wyrobienie ich rozumu, woli i miłości, zdolność do samodzielnego czynu i potrzebę wolności. Ludzkość wydzwigała się krok za krokiem i wśród ciężkich walk, z niewoli, poddaństwa, kastowości, monopolów. a równocześnie nastąpiło i wyzwoleń wewnętrznej istoty. Tysięcy lat potrzeba było do wywalczenia tych nieprzedawnionych praw, które stanowią wspólną własność społeczeństw cywilizowanych państwowo urządzonych, na świętości rodziny opartych i których owocami są: wolna własność indywidualna, wolna praca, wolny wybór zawodu, wolność przesiedlania się i t. p. Wszystkie te krwawo wywalczone rękojmie bezpieczeństwa chce socjalizm naukowy uchylić, zburzyć, zbezczeszczyć, podeptać. Teorya socjalizmu naukowego niszczy wolność osobnika przez to, że żąda, aby każdy pracę swą zastosował do ułożonych przez władzę centralną interesów ogólnej produkcji, że odnawia pojedynczemu człowiekowi swobody pracowania dla swych spadkobierców, przez co rozluźnia do reszty związku familijne, że niweczy uszlachetniające człowie-

ka poczucie odpowiedzialności osobistój, że zamienia go w narzędzie jakiejś socjalistycznej władzy, która rządzi i zarządza wedle swój woli olbrzymiami zapasami zbiorowego majątku. Socjalizm naukowy głosi zatem teorię, która nietylko że nie posunie naprzód dzisiejszej cywilizacji, ale przeciwnie prowadzić konsekwentnie musi do stanu duchowego kretynizmu, w którym zniknąć musi wszelka indywidualność osobista, wszelkie cechy odróżniające w sposób szlachetny człowieka i obywatela od gromady jucznego bydła.

Po treściwej charakterystyce owego socjalizmu naukowego zobaczymy w jakim świetle przedstawia się ten socjalizm państwowy, który inauguruje ks. Bismarck? Ks. Bismarck ma władzę w ręku, dzierży ją w imieniu i z woli korony i dlatego nie potrzebuje wdawać się w szczegółowe, nadto drobiazgowo teoretyczne badania teorii, ani ekonomiki, ani nauki o państwie;—nie potrzebuje wskazywać dopiero na inny prawny porządek przyszłości, ale bierze żywcem obecny prawny stan społeczeństwa i nie myśląc o jakiegokolwiek zmianie natury ludzkiej, naucza (mowy ks. B. zawierają zawsze w sobie dużo pierwiastku dydaktycznego i to z wysokiego pięttra, dlatego pozwalamy sobie użyć tego wyrażenia) mniej więcej w ten sposób: „mieszając się nie będę do produkcji, gdyż nie mogę sobie wystawić, jakimiby środkami wkroczyć można w ten tak bardzo powikłany labirynt, jakby można znieść zwiększone technicznie siły natury, podzielić całą tę maszynę; lecz w chwili, w której produkcja wchodzi w stadium podziału między kapitalistę a robotnika, wystąpić winno państwo w roli cenzora. Stawiam się więc na stanowisku pośrednim między jednostronnością liberalnego ekonomicznego systemu a pretensjami socjalizmu „zbiorowego“ (sit venia verbo!).

Widocznym więc jest, że Bismarck uznaje do pewnego punktu krytykę naukowego socjalizmu, dotyczącą niesprawiedliwego podziału produkcji. Do jakich zaś przyszedł ostatecznie wniosków pokazuje się z tego, że wystąpił w imieniu idei państwa nowożytnego, którego najdoskonalszym wyrazem w oczach jego jest monarchia pruska z atrybucjami władzy cesarsko niemieckiej, że, mówię, ks. Bismarck wystąpił z projektami prawodawczymi, mającymi na celu wsparcie robotników na drodze uznania prawa do pracy, które mieści w sobie ze strony przedsiębiorców obowiązek koniecznego uzupełnienia niedostatecznej płacy.

Rzecz mniej więcej tak się teraz ze stanowiska przymusu państwowego przedstawia. Robotnik otrzymuje w formie płacy taki a taki tymczasowy udział w produkcji. Uzupełnienie tej płacy stanowi ma udział robotnika w społecznych prawach jego klasy. Te prawa klasowe stanowią ekonomiczną osłonę, niby arrièregardę egzystencji robotnika, mają go ustrzedz wraz z rodziną przed skutkami okaleczenia i choroby, oraz przed nędzą w starości, lub niedołąstwa czy to wiekiem, czy innych wypadków losowych spowodowanego. Płaca pieniężna ulegać musi, jak dotąd, zmianom, zależnym od każdorazowych konjunktur

chwili, natomiast stała i niezmienna ma być kwota udziałowa, jaka się należy robotnikowi ze stanowiska członka ekonomicznego praw swojej klasy. Przymus tutaj wielką naturalnie odgrywa rolę. Robotnicy będą się musieli zabezpieczyć; tak oni jak i przedsiębiorcy będą musieli należeć do korporacyjnie zorganizowanych nie stowarzyszeń, ale powiedziałbym prawie „obozowisk“, a funduszy dostarczą w części robotnicy, w części kapitaliści. Kasa państwa przychodzić zaś będzie w pomoc dopiero w razach niedostateczności funduszy korporacji poszczególnych.

W tych szumnych teoriach nie widać, potrzebnego usystematyzowania, nie widać teoretycznego całokształtu; pod względem praktycznym spostrzega każdy wiele momentów bardzo słabych; a jeśli pytamy, jak przyjęły te urządzenia i jak się na nie zapatrują klasy robotnicze, tedy faktem jest, że one widzą w programie socjalistycznym kanclerza cesarstwa niemieckiego i ministra ks. Bismarcka przede wszystkim przymus, obowiązek bezwarunkowego posłuszeństwa w obec wszelkich dyspozycji najpotężniejszego kapitalisty, jakim ma być państwo, a jak na dziś korona pruska. Francuzki ekonomista, Leon Say ¹⁾, podciąga próby państwowego socjalizmu Bismarcka pod kategorią filozoficznych niemieckich płodów. „Il n'est fait,“ — powiada — „ni pour les Anglo-Saxons, ni pour les Italiens. Il ne peut s'épanouir complètement qu'au nord des Alpes et à l'orient du Rhin. Legitime en Allemagne, il est bâtard partout ailleurs.“

Zgodzić się trzeba na to, że poczynanie dzisiejsze ks. Bismarcka w kierunku państwowego socjalizmu w dobrém, jak nazywa, rozumieniu, ma swoją genezę w duchu prusaczyzny. Duch ten przywykł był do wymaganja od ludzi, którymi rządził, zupełnego oddania się jego państwu; wytworzył on metodyczną pracą podstawę swój społecznej polityki, począwszy od elektora W. I dlatego téż uchroniły się Prusy, w przeciwieństwie do innych krajów, od przewrotów i od parcia narodu, które nowe, choć często tak pełne zawodów, wytwarza widnokregi.

Dyscyplina żołnierska i porządek przedewszystkiém! Długi czas przed tém, nim Kant wypowiedział w swym filozoficznym systemie t. z. kategoryczny imperativus, istniał on już jako racya stanu elektora W., Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka W., a dziś odzywa się w głowie Bismarcka.

Przedstawwszy w powyższém głównejsze pierwiastki ruchu socjalistycznego w Niemczech, możemy pominąć ideę socjalizmu a narchicznego czyli nihilistycznego, którego teorye eksplodują od czasu do czasu w różnych stronach świata; ale system jego nie wyszedł jeszcze całkowicie z kryjówek podziemnych — w samych jednak Niemczech mało rozgałęzionych.

¹⁾ Le socialisme d'Etat. Paris, 1884.

O NIEZNANYCH DOTĄD POEZYACH
ZBIGNIEWA MORSZTYNA *).

NAPISAŁ

Jan Dr. Rzepecki.

O Jerzym Morsztynie nie znaleźliśmy w źródłach historycznych żadnej wzmianki, dlatego nie możemy nic szczegółowszego powiedzieć o młodości syna jego, Zbigniewa. Zdaje się atoli, że Jerzy Morsztyn stosunkowo rychło umarł; Niesiecki zapisał przy imieniu jego r. 1632; będzie to prawdopodobnie rok jego śmierci. Nie ulega przecież najmniejszej wątpliwości, że wielu z pośród potomków starszego Krzysztofa poszło w rzeczach wiary drogą arianizmu. I tak w r. 1660-ym spotykamy się z dwoma Morsztynami na wygnaniu na Śląsku, w Prusiech zaś z trzema Morsztynami, którzy się tam osiedlili. Co więcej w r. 1650 urzęduje Stanisław Morsztyn jako pomocniczy kaznodzieja gminy aryańskiej w Gdańsku ¹⁾. Andrzej poeta, aczkolwiek katolik, protestuje r. 1643 go razem z Januszem Radziwiłem i innymi posłami sejmowymi przeciwko ostremu postępowaniu gdańszczan w sprawie kaznodziei Ruara i tamtejszych arianów ²⁾. Widzimy ztąd, że gałąź rodu Morsztynów idąca od Krzysztofa jaknajściślej"złączoną była z arianizmem.

Wśród takich to stosunków ujrzał światło dzienne Zbigniew Morsztyn, gdzie i którego dnia, niewiadomo. Nagrobki, które poeta swęj matce i obojgu rodzicom napisał nie objaśniają nas w tym względzie. Wiersz poświęcony „Macosze“ dowodzi tylko, że po śmierci pierwszój

*) Dokończenie—patrz zeszyt za miesiąc marzec r. b.

¹⁾ Bock: Hist. Socin. Pruss. p. 51.

²⁾ Lauterbach: Der Poln. Arian. Socin. p. 402.

żony a matki poety, ojciec jego w powtórne wszedł związki małżeńskie. Do rodzeństwa Zbigniewa zaliczyć trzeba z Niesieckim młodszego brata Jana, oraz dwie siostry Annę i Elżbietę, wydane za Kazimirskiego i Przytkowskiego. O rodzeństwie tém nie znajdujemy zresztą ani w pismach poety, ani gdziebądź indziej żadnej wzmianki. Przyjmując chwilę urodzenia poety na przeciąg czasu od r. 1620—1624 opieramy się na tém: 1) że Zbigniew od r. 1648—1657 służy wojskowo, 2) że żeni się w r. 1659, 3) że przyjaciel jego i towarzysz broni, Aleksander Mierzeński, rodził się 1627-go, jak to z nagrobku wiemy. Niepodobna prawie przypuścić, żeby się poeta miał później urodzić, jeżeli się zważy, że ojca stracił w r. 1632-im, matkę tedy (nie macochę) już przed r. 1630-ym stracić musiał, że już przed r. 1648-ym pracuje jako urzędnik w kopalniach wielickich.

O wychowaniu i sposobie wykształcenia, jak wogóle o młodości autora, brak nam pewnych szczegółów. Najprawdopodobniejszą atoli będzie, że Zbigniew nie uczęszczał do szkół publicznych, lecz zwyczajem wielu aryanów kształcił się w domu ¹⁾.

Zawód publiczny rozpoczął Zbigniew prawdopodobnie jako urzędnik w administracji żup wielickich ²⁾, i to w czasie od r. 1644—1648. Od czasów Jerzego Morsztyna w wieku XV-ym Morsztynowie ciągle zajmowali urzęda w żupach wielickich. Lubieniecki wyraźnie téż mówi: „Taceo Morstinios, rei salinariae ad Veliciam administratos.“ Około r. 1642-go np. jest bachmistrem Aleksander Mor-

¹⁾ Twierdzenie to opieramy na następujących danych: a) Łukasiewicz mówi ogólnie (w dziele: „Historja szkół w Królestwie Polskiem i W. Ks. Litewskiem“, Poznań, 1850 t. I, str. 436): „Związki Polski z Francją zrobiły w Polsce język francuzki niezbędnym w lepszym wychowaniu. Magnaci zaczęli sprowadzać francuzów na guwernerów i przestawać na domowym wychowaniu synów. Takie wychowanie od cudzoziemców odbierali między innymi: Morsztynowie, Rzewuscy, Jabłonowscy i t. d.“ b) Zdanie to o Morsztynach potwierdza Lauterbach w powyżej wymienioném dziele i miejscu, gdzie mówi, że Krzysztof, dziad poety Zbigniewa, miał w Raciborsku nauczyciela, który synów jego (zatem najmłodszych stryjów Zbigniewa) kształcił. Tenże Krzysztof żył jeszcze w r. 1639-ym, jakeśmy widzieli; bardzo tedy jest prawdopodobną, że dziadek zajmował się wychowaniem pozostałych po Jerzym sierot, a wnuków swoich i kazał ich w domu swym kształcić; c) Prócz tego trzeba i to uwzględnić, że w pobliżu dóbr morsztynowskich nie było w owym czasie żadnych szkół aryańskich (szkoła w Łukławicach powstała dopiero po r. 1638-ym), że ojciec Andrzeja Wiszowatego głównie dla wychowania syna kraj rodzinny, Podlasie, opuścił i w krakowskie do dóbr Morsztyna się przeniósł (Lauterbach, Der Poln. Arian. Socin., str. 324); że syna nie oddał do sławnej szkoły w Rakowie, lecz go w Raciborsku wychowywać kazał; wymowném to jest świadectwem o siłach nauczycielskich, które w Raciborsku pracowały.

²⁾ Sandius Bibl. Ant. Trin. str. 286.

sztyn ¹⁾, a w r. 1686-ym piastuje ten urząd Władysław Morsztyn, starosta kowalski ²⁾. Jeszcze w r. 1648-ym Zbigniew, jak się zdaje, czynnym był w Wieliczce, bo na elekcji Jana Kazimierza oddaje głos swój razem z sześciu innymi Morsztynami, jako obywatel województwa krakowskiego ³⁾. Być może, iż pewne dane o jego pobycie w Wieliczce zawierają akta miasta i kopalni Wieliczki, pochodzące z lat od 1639—1665-go r., a przechowujące się w manuskrypcie byłego krakowskiego Towarzystwa naukowego pod liczbą 180. Akta te były dla nas niedostępnymi, ponieważ się znajdowały w zapieczętowanych papierach zmarłego niedawno ś. p. prof. Szujskiego.

Rok 1648 tworzy ważną chwilę w życiu naszego poety, który zapewne wskutek rozpoczętych wojen opuszcza Krakowskie, idzie na Litwę i wstępuje jako żołnierz do oddziałów książąt Janusza i Bogusława Radziwiłłów, aby orężem bronić ojczyzny. Książę Janusz Radziwiłł był zwolennikiem kalwinizmu, ale popierał i aryanów potajemnie, gdzie tylko wpływ jego sięgał, bronił ich na sejmie warszawskim w r. 1638 i t. d. Pod jego opiekę udawali się też wszyscy akatolicy na Litwie. Książę Bogusław Radziwiłł natomiast był zwolennikiem aryanów; jako namiestnik Prus elektoralnych brał ich też potem w obronę przed stanami pruskimi, wstrzymując nawet wykonanie rozporządzenia elektora, wymierzonego przeciwko aryanom. Niedziw tedy, jeżeli niezbyt majątny Zbigniew Morsztyn tym właśnie magnatom usługi swoje ofiarował. Mówi on też dość często o Radziwiłłach w swych pismach, i to zawsze z jaknajwiększym szacunkiem i głęboką wdzięcznością. Swoje „Emblemata“ poświęca księżnie Radziwiłłowej z wdzięczności dla domu radziwiłłowskiego, mówiąc:

Przymiż o zaona Xiężno to od sługi
Czym płaci swoje niezliczone długi.

Na inném miejscu zaś, w dedykacji do pani Denhofowej, w słowach:

A iakom zacnego
Był sługą zawsze Rodzica twoiego
I scisła przyiazu między nami była
Przy boku będąc enego Radziwiłła,

sam powiada, że był w najbliższém otoczeniu księcia.

¹⁾ Katalog rękopisów Bibl. Zakł. Ossolińskich we Lwowie, Lwów 1881.

²⁾ Kochowski: Księgi liryków polskich. Księga IV pieśń 34, oraz Volumina legum, Petersburg 1859, t. IV p. 487. Wacław Potocki: Poczet herbów p. 63.

³⁾ Volumina legum tom IV p. 99.

Do tego czasu piastował tę godność służby wojskowej pod Radziwiłłami przypada widocznie jego nominacja na miecznika mozyrskiego, uzyskana zapewne za pośrednictwem jednego z książąt, jako zapłata za usługi, oddane ojczyźnie. W r. 1648 piastował tę godność jeszcze jakiś Stanisław Bułhak ¹⁾.

Więść o rozpoczętej wojnie Rzpltej z kozakami pod Chmielnikiem, zastaje Bogusława Radziwiłła we Francyi, gdzie był pułkownikiem. Powraca tedy do ojczyzny i zaciąga na Litwie kilka pułków ²⁾. Między młodymi wojownikami znajdujemy także Zbigniewa Morsztynę; pułk jego towarzyszy królowi Janowi Kazimierzowi pod Zborów i bierze udział w walkach pod Sokalem i Zbarażem. Poeta sam później mówi, że był w owych bitwach:

Nierazesmy się tego napatrzyli
W co się żołnierze dobrzy obrocili
Gdy z pod Zbaraza, Kamienca, Sokala,
Szli do Szpitala.
(Votum).

Uгода zborowska zaledwie na chwilę przerywa walkę, która z nową zaciętością wybucha. W następnym r. 1650 oddaje Bogusław Radziwiłł swe pułki bratu przyrodniemu, Franciszkowi Erdmannowi, księciu saskiemu, który walczy pod rozkazami Janusza Radziwiłła. Tym sposobem i Zbigniew odbywa całą kampanię r. 1651 pod Januszem, który idąc z Litwy od północy, zwycięża 6 lipca Nebabę pod Łojowym grodem, przechodzi Dniepr i zajmuje 4-go sierpnia Kijów. W zachowanym liście ³⁾ z Kijowa, z dnia 2 września roku 1651, opisuje Zbigniew Morsztyn chwilowe położenie wojsk polskich. Dnia 4 września łączy się Radziwiłł pod Wasilkowem z hetmanem Kalinowskim, idącym od Beresteczka, a cała wyprawa kończy się ugodą w Białejcerkwi.

Kłeska wojsk koronnych pod Batohem w r. 1652 wzniewa na nowo pożar wojny; Bogusław Radziwiłł, straciwszy w tej bitwie 20 pułków swoich, zbiera na Litwie nowe zaciągi. Oddział Zbigniewa rusza na wyprawę wołoską i walczy pod Kamieńcem i Żwańcem. Z ostatniej to bitwy przynosi poeta zdobyte przez siebie buławy, które

1) Volumina legum, t. IV, str. 115.

2) Żywot księcia Bogusława Radziwiłła. Poznań, r. 1840. Rok 1649 i następane.

3) List ten wydrukowany jest w dziele Ambrożego Grabowskiego, p. t.: „Starożytności historyczne polskie,“ Kraków, 1846, str. 399 i brzmi: „To tylko oznajmuję, że coraz to się bardziej potężni nieprzyjacieli już ma blisko 60,000 kozaków, ordy 15,000, a co gedzina z Krymu spodziewa się 30,000. Wojska się w tych dniach złączą, a jeżeli traktaty, na które się zanosi, nie dojdą, damy sobie dużo po łbu.“

później daje w podarunku przyjacielowi Mierzeńskiemu, mówiąc do niego:

Teraz w domowe dostawszysię sciany
 Rzucam do Ciebie praesent obiecany
 Ubogie wprawdzie, bom sam nie bogaty
 Nie mam nic nad ten Birkut i Bulaty
 Cwiczoney ręki Czerkiesina dziło
 Tak wiele się tesz pod Zwancem zdobyło.
 (Do Alex. Mierzeńsk., jadąc z Doilid).

Z owego to czasu mamy już kilka mniejszych utworów poety, który, jak się wnet przekonamy, w czasie wolnym od trudów wojennych puszczał wodze pegazowi i opisywał wypadki wojenne. I tak z powodu zdobycia Pawołoczy przez Janusza Radziwiłła, poświęca temuż „Dumę,” której początek tak się przedstawia:

Wyslawiay Polsko cnego Radziwiłła
 Z ktorego ręki nie iedna mogiła
 Kozacka lezy, ktorego miecz toczy
 Krew w Pawołoczy.

.....
 Krol wielki iako Ociec dobrotliwy
 Wabił do siebie Narod uporeczywy
 Y otwierał mu gdyby była cnota
 Do łaski wrota.
 Ale gdy się stał litosci niegodny
 Wzrok swoy od niego odwrocil pogodny
 Y puscil chmurę inszym dla przykładu
 Srogiego gradu.
 Mężnego Orla co grom iego nosi
 Zaył do tego, a ten nie nie głosi
 Lecz serce chciwe Marsowcy roboty
 Skacze z ochoty.
 Iusz trąby iego huczny odgłos daia
 Iusz się y pod Znak Szczęśliwy zieżdzaią
 A ty Kozacze jak się Pułki ruszą
 Zegnay się z duszą.

.....
 Zyize szczęśliwie, zyi wiek nieskonczony
 Wielki Monarcho y niczwycięzony;
 Niech ci Bog szczęscoi, niech ci Turozyn srogi
 Padnie pod nogi.
 Niechay ci zesle Bog szczęśliwe chwile
 Mężny Hetmauie Wielki Radziwilo
 Niech sława twoia dzieła ktore głosi
 Pod niebo wznosi.

Z obozu z pod Kamieńca stosuje autor poetyczne pożegnanie do swego przyjaciela Huryna, pokojowego ks. Bogusława Radziwiłła, kiedy tenże odjechał do Baru. Do owego czasu zaliczyć także trzeba dłuższy wiersz, p. t.: „Lament Gospodarowey Wołoskiej,“ wiersz oparty na wypadkach wołoskich z r. 1653. Morsztyn o tyle czuł się spowodowanym opiewać nieszczęśliwe losy gospodarowój, że była ona teściową Janusza Radziwiłła (który starszą jęj córkę Maryą pojął był za żonę), a ksiązę Bogusław jaknajusilniejsze robił starania, żeby nieszczęśliwą uwolnić ¹⁾.

Przytaczamy tu tylko początek tego wiersza:

Czemusz o Nimpho tu z Załamanymi
 Rękoma siedzisz na dzikiey pustyni
 A oczy Twoie
 Toczą łez zdroie?
 Czemu o zmorskiey powodzi zrodzona
 W tey tu dolinie siedzisz porzucona
 Kto cię tak srogi
 Odbiegł niebogi?
 Czemu, Bogini, twa sroga prawica
 Piers piękną tłucze, a wdzięcznego lica
 O iakie szkody!
 Szarpie łagody?

Roku 1654 rozpoczyna się wojna Polski z Moskwą. W onym to czasie wrócił był Morsztyn z pod Kamieńca do Doilid, gdzie, jak się zdaje, w czasie wolnym od wypraw wojennych zamieszkiwał. Początkowe zwycięstwa Janusza Radziwiłła pozostały bez skutku wobec przewagi Moskwy i braku posiłków. Morsztyn bierze także wkrótce udział w tęg walce i 23-go sierpnia widzimy go w bitwie pod Szepietowem, (Szepielowem), gdzie wojsko litewskie klęskę ponosi. Ze wspomnienia, jakie poeta potrzebie tęg poświęca, dowiadujemy się, że Morsztyn po dwakroć był w niebezpieczeństwie utraty życia, którego ocalenie zawdzięcza jedynie swemu znakomitemu rumakowi. Charakterystycznym ze względu na ówczesne stosunki w Polsce jest ostatni ustęp tego wiersza:

A wszystkoc przeszło, iako cien iak mara
 Ojczyźnie tylko oddana ofiara
 Y płonney sławie, lecz y ta ubiezy,
 Kto zabit lezy.
 A choc kto uszedł, kiedy nago z błota
 Wylazł, ustna do służby ochota
 Bo o czym będzie słuzył? czy nie o tych
 Czterdziestu złotych?
 Bysmy przynamniey od tych wdzięcznosc znali
 Za ktorychesmy krwią się oblewali

¹⁾ Życie księcia Bogusława Radziwiłła. (Rok 1653).

A kiedy na żołnierza co żywo
 Pogląda krzywo.
 Więc kiedysmy tak zli woiennicy
 Niechże się sami biją kapusnicy
 Miasto Ferezyey niech wdzieią Pancerze,
 A my Pacierze
 Z desperaciy zostawszy Mnichami
 Będziemy za nich mowic z ich zonkami
 Będziem po domach ich gospodarowali,
 Orali, siali,
 A w miękkich leząc jak oni pierzynach
 Będziem się także pytać o nowinach
 Czy jusz tam nasi Moskwę w pien wycięli,
 Czy Cara wzięli?

Pokazuje się także, że Morsztyn po sześćoletnich trudach wojennych sprzykrzył sobie stan wojskowy, że mu „ustała do służby ochota.“ Aleć Ojczyzna wołała o ratunek, prawy jój syn nie mógł jój w tój chwili opuszczać.

W r. 1655-tym walka z Moskwą stawała się coraz trudniejszą; nadomiar złego wkracza Szwed do kraju, a prawie cały naród poddaje się najezdnikom. Janusz Radziwiłł wzięty we dwa ognie cofa się wgłąb kraju; moskale zajmują Mińsk i Wilno. W końcu hetman litewski nie widząc wyjścia robi ugodę ze Szwedem i zamyka się w Tykocinie, gdzie go Sapieha, od Jana Kazimierza wysłany, oblega, i gdzie Janusz Radziwiłł podczas oblężenia umiera dnia 31-go grudnia. Książę Bogusław, który także szwedom był się poddał, jedzie do Prus i łączy się ściśle ze swym krewnym, elektorem brandeburskim.

Po poddaniu się Janusza Radziwiłła wojsko jego w znacznej części poszło w rozsypkę; gdzie mógł który natenczas się przytulić, tam szedł; każdy o sobie miał staranie ¹⁾.

Czy Zbigniew Morsztyn opuścił zastępy radziwiłłowskie już w sierpniu (po ugodzie ze szwedem) czy dopiero po śmierci Radziwiłła, tego nie wiemy. Prawdopodobniej jednak nie opuszczał go aż do zgonu, bo nie byłby się chyba później mógł odwoływać na przywiązanie do domu Radziwiłłowskiego i szukać schronienia w Prusach u ks. Bogusława. To tylko pewna, że nie złożył oręża i nie połączył się z najezdnikami, bo w roku 1656 widzimy go w szeregach walczących przeciwko szwedowi. W lecie tegoż roku kuszą się dwa oddziały szlachty polskiej o odebranie Krakowa; atoli generał Wirtz gromi je raz pod Mogiłą, drugi raz pod Tęczynem ²⁾. W jednej z tych potyczek, d. 20 czerwca Morsztyn dostaje się raniony do niewoli razem z rumakiem, którego w ten sposób wspomina:

¹⁾ Historia panowania Jana Kazimierza (z rękopismu) Poznań, 1840.

²⁾ Pamiętniki Mikołaja Jemiołowskiego, Lwów 1850.

Muzy, o piękne Muzy, nadobne Boginie
 Wszak wam y dzisiaj ten zdroj kryształowy płynie
 Ktory od wiekow w twardey opoce zakryty
 Lotny Pegas bystry wykował kopyty.
 Pomniac tedy na dary konia Skrzydlatego
 Wspomnicie y potomka iego Dropiatego
 Ktory choc Skrzydeł nie miał, ale jego biegi
 Takie były, ze kiedy wypadł więc na sniegi
 Przypruszony, tak po nich ręce zbierał nogi
 Ze po sobie najmniejszey nie zostawił drogi

.
 Nozdrza te zywe ognie pryskały, Szeroko
 Rozdęte, a wesole y wypukłe oko
 Uszko ostre, a głowka sucha, zaczesana,
 Na kształtney Szyi grzywa iak brew zamuskana
 Piers iak u owych dziewic co dzieciom ssac daia
 Z ktorey suche a gładkie nogi wyrastaią,
 Ani wielkich goleni, ani wysokiego
 Kuta, ani kosmate, ni rogu skąpiego i t. d.

Niewola była długą i dotkliwą z powodu ran jakie odniósł w potrzebie. Ówczesny stan swój oplakany opisuje nam poeta w „Dumie-opłakanéj,” którój kilka ustępów poniżej podajemy:

Ia spiewam, chociaz biedy
 Zgoła mizernego
 Ogarneły mię wszędy
 Więznia ubogiego
 Choc nie Szczęśliwy
 Ledwiem iusz zwywy.

Spiewamci ale moje
 Serce bez przestania
 Ciężkie ma niepokoie
 Gdy częste wzdychania
 Trapiąc mą duszę
 Wylewac muszę.

Ia Spiewam, choc Oyczyzna
 Matka utrapiona
 Ona tak kiedys zyzna
 Tak niezwyńcziona
 Nagle upada
 Szwed ią podsiada.

Ia spiewam a potoki
 Z krwi Polskiej zbieraią
 A Dymy pod Obłoki
 Z miast y ze wsi wstaią
 On kraj wesoły

Idzie w popioły.
 Ia spiewam a tak wiele
 Braciey mych kochanych
 Iednych miecz w boiu Sciele
 Drugich okowanych
 Rowną mey dolą
 Pędzą w niewolą
 Ia spiewam choc mizerną
 Dolą swoię czuię
 Choc mam załosc niezmierną
 Choc nie opatruie
 Konca niewoli
 Choc serce boli.
 Ia spiewam, a me siły
 Tak długim więzieniem
 Iusz się cale zwiątlily
 Zem iusz prawie cieniem,
 Mną gdy wiatr wieie
 Jak trzcina chwieie.
 Ia spiewam choc o wodzie
 Y o samym Chlebie
 Trwac muszę w takim głodzie
 W tak ciężkiesy potrzebie
 Patrzę azali
 Kto się uzali i t. d.

Ponownie wzdycha Morsztyn za odpoczynkiem i spokojem, ale tą razą postanowienie jego już zrobione: odzyskawszy wolność porzuci żołnierkę i założy sobie gniazdko rodzinne. Oto jego słowa:

Przeto was zegnam Woyska a przywitam moie
 Z dawna požadne wczasy y lube pokoie
 Iusz się zaciągnę pod znak łaskawey Wenery
 Wkroczę w nową z grzecznemi służbę Cavalery.

.
 Tobie Cyprydo gdy cię przyiazną uczuię
 Piękną białych gołąbkow parę ofiaruie
 Tobie zas dziewosłębia obiecuię Iuno
 Rowne miękkim iedwabiom podarowao runo.
 Asz y owieczkę zarzną pospołu z iagnięty
 Tylko mi pofortunni zamysł przedsięwzięty.
 A Ty za to ze w cieie mym nie iedna dziura
 Zły Marsie y starego nie godzienes kura.

(Na suknią niewolniczą p. 220 c.).

Z czasów, kiedy Morsztyn wystąpił ze służby wojskowej, pochodzi jeszcze kilka większych utworów, których tu pominąć nie możemy.

Należy tu komiczno-satyryczny wiersz „kosterowie obozowi,” w którym poeta kreśli obraz hulaszczego życia obozowego i rozpowszechnionej gry w karty i kości. Znajduje się w nim dłuższy dyalog w języku rusińskim, w każdym razie rzadkość w literaturze polskiej z owego czasu. Następnie wymieniamy tu „Pieśń sześciu Panien, które w obłęzeniu same sobie pęcak tłuc musiały,” wiersz bez wielkiej wartości poetyckiej; autor chciał w nim pokazać, że znajdzie około 70 wyrazów, zakończonych na a k u.

Rok 1657 stanowi zwrot w życiu poety. Odzyskawszy wolność po odebraniu Szwedom Krakowa porzuca stan wojskowy. Okryty sławą z zadowoleniem wewnętrznym, jakie daje spełniony obowiązek, wspomina minioną przeszłość, a z nadzieją szczęścia spogląda w ciemną przyszłość, nie czując dotkliwego ciosu, jaki nań miał spaść niezadługo. Ówczesny stan jego wewnętrzny dokładnie maluje się w pięknym poemacie, umieszczonym na czele zbioru, zatytułowanym: „Votum.“ Szkoda, że nie zachował się całkowicie.

Autor, spoglądając na minione trudy i niebezpieczeństwa, składa dziękczynienie Bogu, który sprawił, iż jeszcze żyje, że z licznych przygód wyszedł cały. Wykazuje następnie, że wszystko na świecie jest znikome, majątek, sława i zdrowie. Z tego też powodu porzuca poeta konia i zbroję a wchodzi w nowe, lepsze życie. Ważąc zaszczyty i honory życia wojskowego z jego dolegliwościami przychodzi do przekonania, że i w tym zawodzie nie zasługa prawdziwa ma wator, lecz majątek i urodzenie:

Dla tego znowu iusz was zegnam moie
Woyska, obozy, szyki, krwawe boje,
Zegnam Cię pole, witam spracowany
Domowe sciany.

Wolę tak w cieniu (będąc syt hałasu)
Zapadszy w ciszy zazywao tesz wczasu
Bydz sobie wolnym nie sluzyc nikomu
Osiadzsy w domu.

Będę swoy własny zagon plugiem krzywym
Orał, nie będę okiem zazdrosciowym
Patrzal na cudze przestronne Stodoły,
Zawsze wesoly

Zawsze bezpieczny na swoim przestaneę,
Nie będą moie mysli obłakane
Po cudzych gruntach szerokich latały
Dosc mnie moy mały.

W tém miejscu daje autor śliczny opis pór roku i życia wiejskiego, ciesząc się na dni zimowe „gdzie będzie mógł przy ciepłym kominku czytać dzisiejsze satyry i rozmawiać z martwymi bohaterami.“ Chodzi mu tylko jeszcze o „przyjaciela.“ (Na myśli ma tu towarzyszkę życia). Przy końcu zaś mówi poeta:

„A jako zeglarz gdy iusz w Porcie stanie
 Miło ma przeszłych bied przypominanie
 Miło mu pomniec na wichry, na skały,
 Gdy uszedł cały,
 Tak ia gdy da Bog w pokoju usiędę
 Przeszłe kłopoty przypominac będę,
 Wszystkie me biedy, trudy, troski, szkody
 Wszystkie przygody.
 Jakom skrzydłami niebieskiej obrony
 Z ostatnich toni bywał wydzwigniony,
 Jakom w najcięższe swe doznawał razy
 Angielskiej strazy,
 Lubo nie poras iusz Smierc srogą swoją
 Kosę na Szyję zakładała moję
 Nie raz jusz moie wstępowały nogi
 W podziemne progi.
 Co wszystko i dzis przy mym dziękczynieniu
 Ktore Boskiemu oddaę imieniu
 Wyznając jego niebieską obronę
 Y dzis wspomnionę.

Przy wyborze małżonki idzie Morsztyn za tradycją familijną i w r. 1659 żeni się ze Zofią ze Szpanowa Czaplicówną, córką Aleksandra Czaplica zamieszkałego na Wołyniu. Nie tu miejsce kreślić żywot ciekawy tego męża; znajdujemy go po poemacie „Pamiętka IMci Pana Aleksandra ze Szpanowa Czaplica.“ Dość powiedzieć, że Aleksander Czaplic był jedną z głównych podpór aryanów na Wołyniu, a wykształcenie jego i majątek stawiały go w rzędzie pierwszych przywódców téj sekty ¹⁾.

Przez ten związek skoligacił się Zbigniew Morsztyn z najpierwszemi rodzinami aryańskimi, i jak się zdaje, wziął także spory z żoną majątek, jeżeli później mógł mówić o straconym dobytku.

Do utworów poetycznych Morsztyna z owego czasu zaliczamy śliczny wiersz p. t.: „Na dobrą noc,“ poświęcony narzeczonej i kilka innych wierszy lirycznych. Niedługo atoli miał się poeta w spokoju cieszyć szczęściem domowém, bo już na rok przedtem wydał był król na mocy uchwały sejmowej dekret na aryanów, nakazujący im przejść na wyznanie rzymsko-katolickie lub opuścić granice Polski w przeciągu lat trzech. Następny sejm skrócił termin opuszczenia kraju jeszcze o rok i nazaczył go na dzień 10-go lipca r. 1660. Dekret ten położył koniec aryanistwu polskiemu. Aryanie ze stanów niższych przyjęli prawie ogólnie religiją katolicką, szlachcie zaś, trwającej przy

¹⁾ O nim to chodziło wówczas przysłowic:

Wolyń cały drugiego szlachcica
 Wyższego w onotę nie miał nad Czaplica.

swojém wyznaniu nie pozostało nic innego, jak pozbyć się za jakąkolwiek cenę majątków ziemskich i opuścić Polskę.

Straty materyalne wychodźców były niewątpliwie znaczne, bo kupców dobrych na majątki nie było wielu; tu i owdzie starano się ponadto umyślnie utrudnić arianom ich sprzedaż. Skończyło się na tém, że dobra ich poszły nieraz za dziesiątą część wartości, że wychodźcy zaskoczeni koniecznością, zniewoleni byli przekazać majątki innym, którym ufali i którzy ich mieli w środku pieniężne zapotrzącać. Zdarzało się często, że zaufanie to zdradzano i nowi nabywcy ziemię sobie przekazaną na własność zatrzymywali, nie myśląc wcale wynagrodzić prawego właściciela, który nie miał środków, żeby na drodze sądowej o własność swą się upomnieć.

Dekret królewski wykonanym został z nieznaną w innych razach dokładnością i surowością, zwłaszcza, że go odnawiano w r. 1661 i 1662-gim; tak wielką była nienawiść ogółu katolickiego do arianów, którzy przez bratanie się ze Szwedem nie bez racji uchodzili za zdrajców. Nie robiono żadnych ustępstw i wyjątków. Nie obroniły nikogo ani majątek ani znaczenie ani urodzenie. W r. 1660-ym idzie cała szlachta aryańska na wygnanie do Siedmiogrodu, na Śląsk, do Prus książęcych lub dalej na zachód Europy.

Losowi temu ulegli téż wszyscy Morsztynowie arianie, a z nimi i poeta Zbigniew. Pod znanym nam listem wygnańców aryańskich z Kluczborka ¹⁾ na Śląsku, z dnia 17-go czerwca 1661-go r., znajdujemy znane nam już nazwiska Szlichtyngów, Mierzeńskich, Przypkowskich, Orzechowskich, Gosławskich, Moszkorowskich, Wiszowatych, Widawskich, Taszyckich i innych. Podpisani są także: Gabryel i Tobiasz z Raciborska Morsztynowie, z których pierwszy był stryjem Zbigniewa, a drugi bratem poety Andrzeja. Jeden z Czapliców, major w pułku Andrzeja Morsztyna, szukał schronienia u Chrystyana, księcia lignickiego, z którym panowie polscy w bliższych zostawali stosunkach. Posiadamy list ²⁾ Andrzeja Morsztyna do tegoż księcia z dnia 19-go sierpnia r. 1660-go, w którym tenże dziękuje księciu za opiekę daną kuzynowi, majorowi Czaplicowi i uprasza księcia o przychylność, „pour un misérable et malheureux,“ dodając: *Il l'est seulement parce qu'il ne veut pas croire ce que pourroit sauver.* Inni z Morsztynów szukają przytułku w Prusiech książęcych, gdzie mimo trudności stawianych arianom przez stany pruskie zdołali się oni utrzymać i stale osiedlić. a nawet dostać do rady namiestnika Prus, księcia Radziwiłła, jak np. Przypkowski Samuel i Schlichting ³⁾. Szczegóły ciekawe o nich

1) Lubieniec. Hist. Reform Polon. Freistadii, 1685 str. 303.

2) August Mosbach: Wiadomości do dziejów polskich z Archivum prowincyi śląskiej: Wrocław 1866 str. 351.

3) Dr. M. Töppen: Geschichte Masurens. Danzig, 1870, str. 330 i 331.

znajdujemy w dziele Samuela Bocka ¹⁾ na str. 82, 87, 88, 89 i 106. Bock wie o trzech Morsztynach, którzy za jego czasów mieszkają w Grisen (w Marchii), w Kobylinie i Rudówce (w Prusiech). Prof. Kętrzyński ²⁾ podaje nam pięć posiadłości, które w w. XVII i XVIII należały do Morsztynów, a mianowicie: Łogdowo i Ostrowite (powiat dąbrowski, dziś ostrudzki), Stawka (pow. niborski), Kobylin (pow. łecki) i Rudówka (pow. oryński dziś jańsborski). Zbigniew Morsztyn był także jednym z tych, co szukali schronienia w Prusiech pod opieką księcia Bogusława Radziwiłła, który od r. 1658 był namiestnikiem Prus książęcych, a którego sympatyje dla arianów oddawna znane, na nowo teraz miały się okazać. Morsztyn ufał, i nie bez słuszności, że właśnie przez Radziwiłła, pod którym służył, uda mu się jaknajprędzej znaleźć pożądany przytułek i spokojną egzystencją. Przyjęty w Królewcu do otoczenia księcia Radziwiłła, używany był przez niego do rozmaitych posług w sprawach Prusy obchodzących. W nagrodę tego, w bardzo krótkim czasie, bo dnia 22-go października r. 1663-go, odbiera od elektora 20 włók ziemi we wsi Rudówce, na czas życia swego i swjej małżonki, a we dwa dni później mianowanym został radcą elektorskim ³⁾.

Po śmierci Morsztyna przeszła Rudówka na prośby wdowy po-

1) Hist Socin. Pruss. Regiomonti 1754.

2) Kętrzyński: O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich, Lwów 1882.

3) Odnośne dokumenta, znajdujące się w archiwum królewickim, zawdzięczam radzcy archiwalnemu p. Drowi Philippi, który łaskawie nie szczędził zabiegów, aby zebrać z archiwum królewickiego wszystkie materyały dotyczące naszego poety. I tak zapis elektora brzmi:

a) Kurfürst Friedrich Wilhelm etc..., wie Zbigneus de Raciborsko Morstyn etc., bei ihm anbringen lassen: dass er entschlossen, unter Kurfürstlichem Schutz in Preussen zu wohnen, und um einige wüste Huben, im Dorfe Rudowka, Amts Rein, gebeten, so verschreibt und verliecht er ihm 20 wüste Huben, auf sein und seiner Ehegattin Leben. Doch nach Beider Tode fallen die Huben heim. Königsberg, 22 October 1663.

Eigenhändige Unterschrift und Siegel.

(Hausbuch des Amts Rein
Nr. 334 fol. 34).

Nominacya Morsztyna „na radzcę elektoralnego“ zanotowaną jest w księdze gruntowej urzędu ryńskiego w tych słowach:

b) Derselbe nimmt den Herrn Zbigneous de Raciborsko Morstyn, Glädiferus Mozyriensis, dessen gute Qualitäten ihm commendiret worden zum „Diener und Rath von Hause aus“ an, verspricht ihm seinen Schutz und jo nachdem er sich comportiren wird, fernero Gnade. Datum Königsberg 24 October 1663.

Eigenhändig unterschrieben und unterschiegelt.

Hausbuch des Amts Rein
Nr. 334 fol. 38.

został, pod temi samemi warunkami, w posiadanie spadkobierców i krewnych, na mocy reskryptu księcia Fryderyka z r. 1698-go ¹⁾. Ponieważ około r. 1750-go, jak Bock powiada, w Rudówce Morsztyn mieszkał, więc przyjąć należy, że posiadłość ta ostatecznie przeszła na własność potomków poety.

Ale wróćmy jeszcze do r. 1660-go. Ostatnie dolegliwości losu, wyrwanie Morsztyna z grona krewnych, przyjaciół i znajomych, utrata znacznej części majątku i gwałtowne przerwanie jego tak krótkiego szczęścia domowego, nie pomiernie wpłynęło na umysł i serce poety.

Wpływ ten odbija się jasno w utworach Zbigniewa z owego czasu. Krzywda, jaką poniósł od rodaków, mimo przysług wyświadczonych ojczyźnie, ożywiła w nim poczucie religijne i kazała mu stanąć w szeregach walczących o wolność wyznania. To też poezye jego z pierwszych lat wygnania noszą cechę poważną i głęboko religijną; niektóre z nich zdają się wręcz być napisane w celu propagandy na rzecz wyznania aryańskiego. Przedewszystkiem zaliczyć tu musimy piękny utwór we formie psalmu, zatytułowany „Pieśń w ucisku,“ który później w r. 1671 wyszedł z druku.

Poeta w błagalnej prośbie zwraca się do Wszchemocnego i skarży się na niesprawiedliwość ludzi, którzy w prawa boskie się wdierają i chcą rozstrzygać w kwestyach sumienia i serca; kreśli następnie wielkie nieszczęście, rozpacz biednych wygnańców i podziwia miłosierdzie boskie, które tak długo wzbrania się wymierzyć sprawiedliwość pokrzywdzonym. Z drugiej strony kładzie autor przycisk na zachowanie wierności dla zasad wiary i wyraża przekonanie, że wygnańcy ujrzą jeszcze kiedyś swą ojczyznę. W końcu z oburzeniem odpiera zarzut robiony arianom, jakoby oni bluźnili Chrystusowi; równocześnie atoli wsuwa zrećnie zasadę nauki aryańskiej, w miejscu gdzie mówi o Chrystusie:

Na ktorego bez miary Świętego spłynęła
Moc Ducha, y w postaci Bozej postawięła

¹⁾ Odnośne miejsce u Bocka: Hist. Socin. Pruss na str. 87 brzmi:

Ad Rutoviensem quod attinet agrum paucis notandum: hunc ab Electore Friderico Gvilielmo, Consiliario electorali, Zbignaeo de Raciborsko Morstinio, Gladifero Mosiniensi (sio), intuitu officiorum ab ipso fideliter praestitorum (quorum memoria huius loci non est, ut renovetur), a. 1663, die 22. Octobris, ad dies vitae ipsius et coniugis suae sub conditionibus, quas in Actis legere licet, esse concessum. Hoc vero Morstinio defuncto ad sup-
plices praeces viduae relictae, eundem agrum cum eodem iure Sereuissimus Princeps Fridericus in defuncti heredes et patruales transtulit vi Rescripti Coloniae ad Spream a. 1698 die 3/13 Septembris dati.

Z powyższych słów wynikałoby, że w aktach królewiockich, z których Bock czerpał, da się wynaleść, za jakie to usługi Morsztyn Rudówkę otrzymał, i pod jakimi warunkami.

W ten sposób stara się poeta przekonać braci swych o krzywdzie im wyrządzonej i osiągnąć cel swój agitatorski.

Ten sam cel propagandy miały też pewnie tłumaczenia kilku utworów poetyckich Samuela Przytkowskiego, który także w Prusiech żył, będąc właścicielem wsi Kozinowo (Andreswalde) o 6 mil od Rudówki odległej, który należał do rady namiestnika Radziwiłła, był także radcą elektoralnym i ze Zbigniewem Morsztynem w ścisłych musiał żyć stosunkach. Niedługo atoli, jakeśmy już widzieli, trwał dla poety stan niepewności i niepokoju, bo już w r. 1663 znajduje on bezpieczny przytułek na wsi w Rudówce, a ciesząc się łaską namiestnika i samego elektora, korzysta z niej, tak w celu polepszenia swych materialnych stosunków, jak i ulżenia losu nieszczęśliwym i prześladowanym przez stany pruskie współwyznawcom ¹⁾. Doczekał się nawet téj pociechy, że się stał podporą swych braci wyznaw-

¹⁾ Podajemy tu odnośne dokumenta z archiwum królewieckiego:

c) Zbigneus Morstin de Raciborsk manu propria Ill. et magn. Do Daniel Tettav capitaneo Distr. Bittet ihn und Genossen gegen das vom Preussischen Landtage bewirkte verbot „Conventikel zu halten,“ das mit der Unduldsamkeit der Päbstischen in seinem Vaterland übereinkomme, zu schützen. Dat. Jagodnae 20 April 1666.

Eigenhändiges Original mit Siegel.

d) Daniel v. Tettau Amtshauptmann von Lützen sendet das Schreiben nr. 3 dem Kurfürsten berichtet, dass er die drei pfandweise in seinem Amt wohnenden Männer verhört und nichts wider sie vorzunehmen finde. Empfiehlt sie wegen ihres friedlichen Verhaltens dem Mitleid. Lützen, 6, 5, 66.

Original zur Oberrathsstube.

e) Zbigneus Morstin de Raciborsk petitionirt um Ersatz seines in der Bewirthschaftung der wüsten Hufen erlittenen Schadens und um Concession zur Anlage einer Mühle und Kruges. Ohne Datum. Deutsch nur gerechnet. Beilage: Abschrift der Verschreibung von 22, 10, 63.

f) Der Amtshauptman G. C. Finck berichtet auf Rescript vom 24, 1, 69. dass Morstin in Königsberg sei er daher nicht mit ihm wegen seiner Petition habe Rücksprache nehmen können. Die Anlage einer Mühle habe wegen Mangels an Wasser gar keine, der Krug wegen Concurrenz sehr geringe Aussichten. Dat. Rein, 13 Febr. 1669.

Original zur Oberrathsstube.

g) Der Kurfürst assecurirt dem Zbignous Morstyn de Raciborsko 3000 fl. poln. Entschädigung für Capital, das er in die wüsten Hufen gesteckt, falls er, seine Gemahlin oder Erben aufgeben müssten, bowilligt ihm auch Anlage einer Mühle und eines Kruges auf den Hufen, doch dass die angesetzten Bauern bleiben und mit den Hufen nach Morstyns Tode heimfallen. Dat. Königsberg, 27 Februar 1669.

Aus einer dem Amt eingesandten Copie auf Befehl in das Hausbuch fol. 91/92 eingetragen am 17 August 1669.

ców w Prusiech, bo, chociaż elektor w r. 1679-ym na naleganie stanów wydał edykt, zabraniający arianom wolności wyznania i swobodnego pobytu, to osady Rudówka i Kozinowo (Andreswalde) zatrzymały przywileje swobody religijnej ¹⁾.

W obu tych miejscowościach koncentrował się ruch i działanie polskich arianów; tutaj były ich szkoły i kościoły, tu się zbierano na synody, tu urzędowali jako pastorowie i nauczyciele, taki Trembecki, Koncki, Andrzej Łabencki, Taszycki, Crellius, Wiszowaty, Szlichtyng, Arciszewski i inni ²⁾.

Tak schodziły Morsztynowi spokojnie lata wśród zajęć gospodarskich i literackich na wsi, lub służbowych w Królewcu, wreszcie na podróży w sprawach urzędowych, w charakterze radcy elektorskiego ³⁾. Z dworem Radziwiłła miał stosunki aż do jego śmierci; miał nawet własne mieszkanie w zamku królewieckim ⁴⁾. Liczył też znajomych między urzędnikami Prus, o czém świadczą poezye okolicznościowe, dotyczące Królewca, o których już wyżej była mowa.

Ważną dla ocenienia stosunków i wewnętrznego usposobienia poety jest „Kolęda z Królewca“ z dnia 2 stycznia 1674 r., dla żony napisana. Przebija się w niej szczerą miłość dla towarzyszki doli, do której tak się odzywa:

Tobie gwoli iedynie ukochana Zono
Drogi moy Przyiacielu, głowy mey Korono
Ten wiersz na miłosc piszę ktoryc po kolędzie

¹⁾ Gmina arińska w Kozinowie (Andreswalde) istniała do r. 1803, poczem się rozwiązała. W r. 1838 były w Prusach tylko dwie starsze wiekiem osoby, wyznawające zasady arianizmu, i to Morsztyn i Schlichting. (Porówn. Krasieński Waleryan: Geschichte der Reformation in Polen. Leipzig 1841, str. 327). Morsztynowie jeszcze dziś mieszkają w Prusach wschodnich, jak nas zapewnia p. Sembrzycki, redaktor „Mazura.“

²⁾ Bock: Hist. Socin. Prus. p. 85.—Töppen: Geschichte Masurens, Danzig, 1870, str. 330, 331, 332.

³⁾ Wyciąg z akt królewieckich:

h) Pass der Oberräthe für den Kurfürstlichen Rath v. Morstein, der auf eigenhändigen Befehl in grösslichen Angelegenheiten nach Grodno verschicket, „von Amt zu Amt bis nach Luck. Er reist in einer Carosse mit acht Pferden, und erhält einen Postwagen mit 4 Pferden nebenbei.“ Dat. Königsberg. 7/10 1681. Concept.

⁴⁾ Z akt królewieckich:

i) Der Kurfürst verfügt, dass der Rath Zbigneus Morsztyn die Logementer, welche er bei des seligen Statthalters (Fürsten Radziwill 31 December 69) Lebzeiten in der Märkischen Kanzlei (auf dem Schlosse) innegehabt, noch ferner bewohnen und auch seine Pferde bis Weiteres im Marstall vor dem Krewithore stehen haben soll. Dat. Cöln a S. 17/1. 1670.

Original Rescript mit Unterschrift u. Siegel.

Na wieczną iey pamiętkę niech oddany będzie,
 Zdrowiac zycząc dobrego, Szczęśliwosci trwałych
 W długie lata, y wszytkich pociech doskonałych,
 Tobie ktoras przyczyną naydoskonalszego
 Po tym który mi cię dał iest szczęścia moiego,

O sobie samym mówi poeta:

Bogu Chwała, ze ia iusz wiecey nie zegluię
 Ze stanem zycia mego tak się kontentuię,
 Y tak to szczęście moje Szacuię wysoko,
 Ze się y na naywyższe nie zapatrzy oko.

Na inném zaś miejscu mówi:

. . . . a przecię zyię iakkolwiek na swiecie
 Maią ¹⁾ y sztukę chleba y suknią na grzbiecie
 Więcey nie pragnię ²⁾

.. . . .
 Ia nietylko podobnych uciskow nie czuię
 Lecz się boję ze pono nazbyt obfituię.
 Stworcę tedy wiecznego dusza moia sławi,
 Ze mi choc niegodnemu wielce błogosławi.

Na mocy powyższych danych twierdzić możemy, że starość poety minęła spokojnie i szczęśliwie.

Jedną jeszcze stronę w żywocie Morsztyna uwydatnić nam trzeba, a mianowicie to, że jako wygnaniec nigdy nie zapomniał o swęj ojczyźnie. Przeciwnie, z utworów jego wynika, że w ustawicznym stał związku z Polską i Warszawą, że utrzymywał stosunki z dawnymi znajomymi i że go wypadki w ojczyźnie wielce obchodziły. Dowodem tego wiersze okolicznościowe, dotyczące bankietów Kłokockiego, dowodem tego nagrobki, pisane dla krewnych i zmarłych znajomych, dowodem wreszcie emblemata religijne, pisane z polecenia księżnej Radziwiłłowój. Obszerny ten utwór ukończonym został w r. 1674 i wręczonym księżnie krótko po wstąpieniu na tron Jana Sobieskiego. Na tenże czas przypada drugi z kolei co do objętości utwór epiczny, p. t.: „Sławna Victoria pod Chocimem,“ napisana po zwycięztwie Sobieskiego nad turkiem w r. 1673. Sto kilkadziesiąt osób wspomniał tam autor „competenter et honorifice“ od najwyższych hetmanów i wodzów, aż do prostych towarzyszy pancernych; szczegóły pojedyncze bitwy opisuje dokładnie. Wynika ztąd, że Morsztyn miał bardzo dokładne relacye o tój bitwie i że utrzymywał ciągłą łączność z krajem rodzinnym.

Oba te utwory przypadają na czas od r. 1673—75 i zamykają

¹⁾ Ma być: maią.

²⁾ Ma być: pragnę.

nieomal działanie poetyckie Morsztyna. To, co później napisał, nie odznacza się, z małym wyjątkiem, ani oryginalnością ani pięknnością. Są to po większej części tylko wiersze przygodne mniejszych rozmiarów. (Wyjątek stanowią napisane już po r. 1675 *Treny na śmierć Anny ze Szpanowa Błędowskiej*).

Działanie autorskie Morsztyna jako poety przypada tedy na okres od r. 1650—78.

O czasie zgonu poety nic nam pewnego nie jest znanem; przypuścić jedynie możemy, że Zbigniew Morsztyn umarł krótko przed r. 1698, bo w tymże roku przechodzi Rudówka w posiadanie jego żony a czas między śmiercią a nadaniem wsi przez elektora spadkobiercom, nie był zapewne długim. Pewniejszą datę podają może akta królewskie, które jednak w tej chwili były dla nas niedostępne.

Kończymy na tém nasze wywody o „*Muzie domowej*“ i jej autorze, Zbigniewie Morsztynie, bo rozbiór wartości estetycznej jego utworów, oraz znaczenia tego poety w literaturze XVII wieku nie może być wyczerpującem, dopóki nie mamy wydania „*Muzy domowej*“. Nie pozostaje mi tedy jak zakończyć ufnością, że obecny posiadacz manuskryptu nie pozwoli na to, żeby ten zbiór poezyi miał zaginać, jak tyle innych pomników przeszłości naszej; spodziewamy się owszem, że albo sam zajmie się wydaniem „*Muzy*“, albo pozwoli ją wydać któremu z badaczy historii literatury naszej.

(Dołączamy na następnej stronie tablicę genealogiczną rodu Morsztynów dla dokładniejszej informacji czytelników).

GENEALOGIA
RODU MORSZTYNÓW

PODEŁUG NIESIECKIEGO.

Stanisław na Raciborsku Morsztyn.

- | | |
|---|--|
| <p>1. Erazm.
Jego syn, bezdzietny.</p> <p>2. Krzysztof,
Star. filipowski.</p> <p>3. Floryan,
Kaszt. brzeski.</p> <p>4. Franciszek</p> | <p style="text-align: center;"><i>Elżbieta,</i>
za Faustem Socynem.</p> <p>1. <i>Krzysztof</i>
Starosta filipowski i
przewalski.</p> <p>2. Adam,
bezdzietny.</p> <p>3. Samuel,
bezdzietny.</p> <p>4. Jakób,
bezdzietny.</p> <p>5. Tobiasz,
bezdzietny.</p> <p>6. Andrzej
Hieronim,
Poeta, kanonik krakowski.
Floryan, bezdzietny.
Jan.</p> <p>Piotr</p> <p>Jan.</p> |
|---|--|

- | | | |
|--------------------------------|---------------------------------------|--------------------------------|
| 1. Mikołaj. | | Katarzyna. |
| 2. Zygmunt | Jan | Franciszek kaszt.
radomski. |
| | Katarzyna za Potockim. | 6 córek. |
| | Zofia za Widawskim. | Michał † 1683 |
| 3. <i>Stefan</i> , | Anna za Lubienieckim. | pod Wiedniem. |
| Star. kowalski. | Hieronim, bezdzietny. | Aleksander, bđzt. |
| | <i>Władysław</i> , starosta kowalski. | Ja k ó b, wojew. |
| | Michał, kasztelan zawichostski. | sandomierski. |
| | Jadwiga za Widawskim. | Andrzej. |
| 4. Jan. | Aleksandra za Błędowskim. | Stefan. |
| | <i>Paweł</i> † pod Batohem. | Chryzostom. |
| | Krzysztof | Jan Kazimierz, |
| 5. Adam, bezdzietny. | Stanisław, poeta, chorąży | pułkownik. |
| | zatorski. | Antoni, wojew. |
| | Z b i g n i e w, poeta, miecznik | inflancki. |
| | mozerski | |
| 6. Jerzy † 1632 | Jan. | |
| | Anna za Kazimirskim. | |
| ... | Elżbieta za Przyppkowskim. | |
| | Anna za Gosławskim. | |
| | Maryanna. | |
| 7. <i>Gabryel</i> | Barbara za Schlichtyngiem. | |
| | Bogumiła za Schlichtyngiem. | |
| | Zofia. | |
| | <i>Stefan</i> , bezdzietny | Stefan. |
| | <i>Bogusław</i> | 5 córek, jedna |
| 8. <i>Samuel</i> , bezdzietny. | | za Schlichtyn- |
| | Zofia za Czaplciem. | giem. |
| | Konstancya za Arciszewskim. | |
| 9. Seweryn | Sześciu synów: Faustus, Tobiasz, | |
| | Seweryn, Marek, Jerzy, Teofil. | |
| 10. Teodor | (Mikołaj. | |
| | (Teodora za Błędowskim. | |
| 11. Stanisław. | (Krzysztof. | Andrzej. |
| | (Samuel. | 5-u synów. |
| 12. Teofil bezdzietny. | | |
| 13. Małgorzata za Wiszowatym. | | |
| 14. Zofia za Taszyckim. | | |
| 15. Elżbieta za Mierzeńskim. | | |
| 16. Zuzanna. | | |

- | | | |
|-----|----------------------------------|------------------------------|
| | <i>Tobiasz</i> , bezdzietny. | |
| .. | Stanisław | Helena za Tarłą. |
| | Andrzej, poeta, podskarbi | Comte de Chatenville. |
| | w. koronny. | Ludwika Marya za Bielińskim. |
| | | Izabella za Czartoryskim. |
| | | Teresa. |
| ... | <i>Feliks</i> , podkoniuszy lit. | |
| | Aleksander. | |
| | Krzysztof. | |
| | Franciszek. | |
| ... | Andrzej | { Floryan. |
| | | Józef. |
| | Dorota za Rupnowskim. | |
| | Piotr. | |
| | Aleksander. | |
| | Zygmunt. | |
| | Hieronim, poeta, stolnik | { 3-y córki i 4-ch synów. |
| | bielski. | |
| ... | Maksymilian. | |

O POWIEŚCI
HENRYKA SIENKIEWICZA
„OGNIEM I MIECZEM”

PRZEZ

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego ¹⁾.

II.

Gdyśmy rozważali powody niezwykłego powodzenia powieści Sienkiewicza, doszliśmy do tego rezultatu, że powieść ta, mierzona wyłącznie według miary powieści rodzajowej albo zwyczajnej powieści historycznej musiałaby się wydać rzeczą nieudaną; z drugiej strony zaznaczyliśmy równocześnie, że powieść ta uczestniczy w piękności wyższej, że treścią swoją sięga do dziedziny poezji epicznej, że budzi w czytelniku piękne wrażenie właściwe bohaterów opowieści, podziw niezmierny, współczucie z cnotą heroiczną i świętą grozą, że posiada słowem zalety, od których publiczność nasza od wielu już lat odwykła. Powieść nie przemawia głosem tragedji, nie dobywa tonów najwyższej patetycznej namiętności. Przebija w niej, począwszy od pierwszych rozdziałów, pewien lekki odgłos dobrego humoru, z którego wnet zdasz sobie sprawę z tego, że poeta sam wie dobrze, że czyniąc użytek ze swego przywileju, baje i wymyśla, że nie żąda tego, by jemu wierzono na słowo, że sam się podśmiechuje, patrząc na figle własnej wyobraźni. Mówiąc językiem innej sztuki, mimo wielu okropności, cała symfonia zestrojona na es dur. Dlatego czytelnik od początku pewny, że powieść skończy się dobrze, o ile się prywatnych ludzi tyczy. Gdyby się Skrzetuski

¹⁾ Dokończenie—patrz zeszyt za marzec r. b.

nie ożenił z kniaziówną Heleną, gdyby ta para kochanków utonęła pośród krwawej powodzi, raziłby koniec powieści, skrzypnąłby jak jaki haniebny dyssonans, i każdyby z niesmaku odłożył książkę, którąby wprawdzie był do końca z największym zajęciem przeczytał.

Niesmaku powodem nie byłaby sama tylko, wielce niemiła zmiana nastroju całego utworu, ale także charakter bohatera i bohaterki powieści. Oboje są o wiele nadto dobrymi istotami. Cnota niewzruszona niczem Skrzetuskiego, niezamącone niczem wdzięki kniaziówny, stoją na zawadzie temu, byśmy z nimi współczuwali tak silnie jak to być powinno. Obie postacie stają się niebawem obcymi prawie i zimnemi. Interes właściwy powieści oddala się od nich. Dbamy więcćj o księcia Iremiego i nawet o Bohuna. Zapomniano w powieści o starodawném Arystotelesowém prawidle, stanowiącém, że nie powinno być w poezyi postaci zbyt doskonałych. Malarstwo i rzeźba przedstawiają rzeczy, które są i trwają jakby pośród wieczności. Przez nie tworzone obrazy powinny być doskonale i spokojnie pięknymi. Winny być takimi, abys długo z rozkoszą patrzył na ich nieruchomość. Poezya prawi o tém, co się dzieje, co powstaje i przemija, co ujęte w ramy czasu i przemienności. To doskonałym nigdy nie bywa i być nie może. Utwory poezyi opowiadającej wtedy tylko budzą w nas zajęcie, kiedy jesteśmy świadkami wewnętrznej także walki bohaterów, duchowych także dziejów ich żywota. Wtedy tylko wiemy, że mamy do czynienia z ludźmi żyjącymi.

Skrzetuski jest od początku do końca wzorem polaka rycerza. Dzieje wewnętrzne jego duszy ograniczają się na tém, że się raz zakochał na samym początku powieści, i że blisko jeszcze tegoż początku skamieniał z bólu, i chodził po kartkach jak posąg skamieniały, zimny, a przeto prawie dla nas obojętny. Skrzetuski zajmuje czytelnika naprawdę prawie w dwu tylko chwilach, w których jakaś przecie walka wewnętrzna toczy się w jego duszy: raz podczas pierwszych bojów wojsk koronnych, kiedy się spodziewa napewne zwycięstwa, a musi jako jeniec patrzeć na klęski bezsilnie; powtóre wtedy, kiedy się przedziera przez straszne trzęsawiska dokoła Zbaraża, kiedy zwątpienie dostaje się przecie także do jego żelaznej duszy.

Kniaziówna Helena pozostaje zawsze dość niewyraźną postacią. Duszy i uczuć jej nie poznamy bliżej. Zaglądamy do jej serca wtedy tylko prawie, kiedy pisze ów przedziwnie naiwny list do pana Skrzetuskiego, prawdziwe arcydzieło, z którego wygląda mistrzowsko ujęta prostota dziewicy polskiej XVII stulecia. Dbamy o nią dlatego, że piękna i młoda, i dlatego że Sienkiewicz, wzorem poetów XVI wieku dodaje jej wdzięku za pomocą pewnych środeków niezawodnych. Przebiera ją dwa razy po mężku, raz za giermka, to znowu za chłopskie pachole, wiodące ślepego konika; raz każe jej usnąć czarodziejskim snem; bardzo dokładnie opisuje jak to jej karabela włosy ucięto; jedném słowem stara się o to, ażeby strona, że tak rzekę, cielesna dziewicy wystąpiła jak najwyraźniej.

Obie postaci są jak to już powiedziałem, tak pozbawione wszelkiej winy, że gdyby je spotkał los straszny i tragiczny, nie uczulibyśmy grozy, nie ujrzelibyśmy przed sobą rozumnej a sprawiedliwej mocy Bóstwa, co pokonuje nadludzką, a jednak w części występłą, namiętność półbogów, a uczulibyśmy niesmak i oburzenie, i odwrócilibyśmy się ze wstrętem od występłego Przeznaczenia, co rozdeptało ofiary, które niczem na to nie zasłużyły. Niestanęłoby przy nas bóstwo, co władnie poezyą i co dzierży w ręku wagę i miecz poetycznej sprawiedliwości; wydałoby nam się, że tu władnie wśród opowieści ślepy tylko przypadek, co nie bogiem żadnym a tylko jakąś wstrętną i wszechpotężną nicością. Nie każdy czytelnik może powiedzieć, dlaczego czuł od początku powieści, że Skrzetuski poślubi kniaziównę Helenę; ale każdy wie, że inny koniec zepsułyby powieść ze wszystkim.

Wspomniałem, i na początku tych wykładów i teraz znowu o tém, że pan Sienkiewicz posłużył się w ciągu powieści nie jednym środkiem, przekazanym mu przez poetów odrodzenia. Mogę pójść dalej: mogę bez niesprawiedliwości twierdzić, że cały arsenał przygód i epizodów, którym pan Sienkiewicz rozporządza, że niemniej sama główna treść powieści, żywcem zapożyczone u poetów odrodzenia. Może kto pomyśli, że czynię tém samém najcięższy zarzut, jaki może spotkać poetę, że przeczę oryginalności pana Sienkiewicza, że twierdzę, że jest plegiatorem tylko, naśladowcą, przepisywaczem obcych utworów. Zastrzegam się stanowczo przeciw takiemu rozumieniu słów moich a niechaj mi będzie wolno na chwilę odstąpić na pozór od przedmiotu niniejszych odczytów, i znowu wystąpić przeciw jednemu z rozpowszechnionych dzisiaj kacerstw estetycznych, przeciw błędowi popełnianemu dziś nieustannie nietylko przez krytykę pisaną, ale także przez tę powszechną krytykę codzienną, która żyje w rozmowach wykształconych ludzi.

Żądamy od wszystkich artystów zupełnej oryginalności, a z dziwną niekonsekwencyą odstępujemy od tego żądania przy jedném budownictwie, i domagamy się od budowniczych wbrew przeciwniej rzeczy, niewolniczego naśladownictwa. Jeżeli kto z nas ma wydać swój sąd o jakim nowym gmachu, mierzy jego wartość podług tego, o ile go postawiono w tak zwanym czystym stylu; pyta się przedewszystkiem o to, czy to gmach Gotycki czy Romański, Grecki czy Rzymski, czy wreszcie Renesansowy? Domaga się tego, aby mury i sklepienia były ściśle odtworzone na modłę starodawnych wzorów, krytykuje bezwzględnie każde zboczenie od powszechnie znanych prawideł, nazywa każdą oryginalną myśl budowniczego grubym błędem estetycznym, dowodem ignorancyi albo zupełnej nieudolności.

A ilekroć znów przystąpimy do krytyki powieści lub obrazu, domagamy się jakiejś niebywałej niemożliwej oryginalności. Żądamy, aby pisarz albo malarz nietylko tworzył postacie, jakich dotąd nie było, ale także, aby je tworzył zapomocą metody dotąd niepraktykowanej.

I przy budownictwie i przy innych sztukach błądzimy podobno ciężko. Niewolnicze odtworzenie gmachu, powstałego w innym wieku i najczęściej pod innem niebem, będzie zawsze ilustracją tylko, modelem rzeczy dawniej, a jeżeli zechcemy to naśladowanie zastosować do potrzeb praktycznego życia, jeżeli zechcemy gmach grecki postawić pod czterdziestym ósmym stopniem szerokości północnej i gmach ten zamienić w przybytek parlamentaryzmu najnowożytniejszej formy, w którą przelano życie publiczne nowożytnych narodów, stworzymy coś nieudolnego a połowicznego, rzecz, w której forma będzie w jawnej niezgodzie z treścią, rzecz, będącą czem innem naprawdę, a czem innem napozór, świątynią nazewną, a nawewną wielkie nagromadzenie biur urzędowych. Architekt powinien znać wszystkie motywa architektoniczne, uswiewcony już i wypróbowany przez sztukę wieków ubiegłych i jeśli ma się zamienić w samoistnego twórcę, powinien wiedzieć, które motywa dadzą się z pewnością łączyć w harmonijną całość. Stojąc na niczem niezachwianej podstawie, puści się na artystyczne odkrycia i znajdzie niektóre piękne modyfikacje tych danych już motywów. Popróbuj odmiennego nieco, a zgodnego z potrzebami dzisiejszych pokoleń, połączenia znanych już dawniej części pięknej budowy. Znając całą przeszłość swojej sztuki, będzie tę sztukę doskonalił.

Architektura dzisiejsza zamieniła się prawie w martwy popis archeologicznej wiedzy. Nie ma własnego życia. Szuka nie nowej drogi, tylko starych wzorów. Gdy budownictwo żyło, gdy bywało treścią duchową narodów, nie budowano tuż obok siebie gotyckiego ratusza, greckiego parlamentu, rzymskiego teatru i weneckiego uniwersytetu. Wszyscy się trzymali jednego kierunku sztuki, ale każdy duch samoistniejszy usiłował panujący styl wydoskonalić i starał się o to, by pójść o krok naprzód w obranym kierunku i w ten sposób powstawały motywa nowe i z czasem nowe arcydzieła.

Prawdziwy poeta i malarz wielki postępuje zupełnie tak samo, jak architekci wieków ubiegłych. Dzieciństwem jest odwracać się od tego wszystkiego, co wyśpiewano i odmalowano w wiekach ubiegłych. Zarozumiały głupiec tylko powie o sobie: „Oto nie pójdę do szkoły żadnego z poprzedników moich, tylko sobie będę zawdzięczał wszystko, co zrobię: zacznę od początku.“ Ktoby sobie tak naprawdę poczynał, tenby szukał dawno już zbadanej drogi poemacku, tenby chyba zaczynał tam, gdzie zaczynali niegdyś przy wielkim zimowym ogniu pierwsi ludowi bazarze, tam, gdzie zaczyna łowiec dziki, który nieforemną postać wilka nakreśli na rogu ubitego jelenia. Wszystkie a wszystkie środki sztuki dawniej powinien znać prawdziwy artysta. Niewolno być poccie nieukiem, niestanie mu własnego natchnienia. I Homer stary znał tysiąc podań, obrabianych już poetycznie, zanim mógł stworzyć Iliadę i Odyseję, Wiemy wszyscy, że Szekspir obrabiał stare powieści i stare tragedye, gotowe sytuacje i silnie już zarysowane charaktery i z cudzych rupieci tworzył własne

arcydzieła. Wyobraźnia poprzedników bywa pomocą dla wyobraźni prawdziwego poety. Jego oryginalnością nowe życie, które wleje w rzeczy nieraz tak stare, jak świat.

Pan Sienkiewicz miał do wyboru pomiędzy rutyną powieściopisarzy dzisiejszych a metodą artystów odrodzenia; pomiędzy drobnotkowym realizmem a bohaterską śmiałością. Matejko stanął u nas przed podobnym zagadnieniem, namyślał się długo, wahał się nieraz, a dzisiaj, posiadwszy w pełni moc swojego geniuszu, stąpa śmiało po drodze ukochanej niegdyś przez malarzy odrodzenia i czyni dobrze, skoro podobnie jak oni maluje heroiczne obrazy. I Sienkiewicz zaszedł tym razem na szlak starodawniej sztuki i to mu się chwali!

Nie chciałbym, aby mnie kto posądził o to, że szczędzę pochwał dla powieści, o której mówię. Z całego serca oddaję hołd należyty i nadzwyczajnemu talentowi i wysokiej intencji pisarza. Uczyniwszy to, należy mi się jednak śmiało przystąpić do pytania, czy Sienkiewicz spełnił naprawdę w zupełności zadanie, do którego przystąpił, czy narysował żywy, heroiczny i nieznikomy obraz dawnych bohaterskich zapasów, czy osadził już na wieki w mowie polskiej opowieść o czynach nadludzkich i cierpieniach bohaterskich? Czy słowem „Ogniem i mieczem“ jest już naprawdę epepą? Czy jest w piśmiennictwie naszym tém, czém jest w malarstwie Hołd pruski Matejki? I odpowiem zgóry, że ktoby tak twierdził, tenby niebaczenie, albo niegodziwie pochlebiał poecie. Mamy przed sobą powieść niesłychanie zajmującą, przez to właśnie, że uczestniczy w wyższym pięknie epepei; mamy przed sobą typy doskonałe, z których jeden przynajmniej godzien przeżyć wieki; nie mamy jeszcze przed sobą nieśmiertelnego dzieła epicznego poety; a żal nam z serca, że musimy tak mówić; bo zaiste jest w powieści nieraz zakrój na rzeczy nieśmiertelne.

Mówiłem o formie koniecznej dla powieści rodzajowej i dla powieści historycznej. Epepea ma także formę sobie właściwą. Rycina, przedstawiająca wielkie dziejowe wydarzenie, może być piękną, nie może jednak być obrazem heroicznym. Jeżeli zobaczymy w ramach małych, właściwych rodzajowemu obrazowi, scenę z biblii, z mitologii albo z dziejów powszechnych, nazwiemy utwór szkicem, pomysłem wielkiego obrazu, a nie dziełem heroicznego malarstwa. Miniaturowy model Jowisza Fidyaszowego może być cackiem prześlicznym, nigdy nie może być wiernym i zupełnym odbiciem owego na całą starożytność sławnego obrazu najwyższego bóstwa. Najlepsza kopia Mojżesza, Michała Anioła, nie da wyobrażenia o piornnującym kolosie rzymskim, jeśli będzie wykonaną w pokojowych rozmiarach, tak, aby mogła stanąć na stole, albo na półce.

W poezyi nie chodzi tyle o rozmiar rzeczy, ile o zestrojenie formy z treścią. W dziełach malarstwa i rzeźbiarstwa pewne wielkie zalety mogą się uwydatnić tylko przy wielkich rozmiarach obrazu albo posągu; takimi zaletami są: śmiałość rysunku, pełnia kolorytu, wielkość kompozycji. W poezyi wiązana tylko mowa nadaje całemu

przedmiotowi rytm i zwarte w sobie piękno, które wynoszą wszystko ponad poziom zwyczajnych zdarzeń ziemskich, wszystko uniesmiertelniają i uwieczniają.

Użyję jeszcze innego porównania: obraz, ujęty w złociste ramy, winien mieć barwę o wiele pełniejszą od barw rzeczywistych, winien jaśnieć, jakby klejnot jaki, tak, jak jaśnieją dzieła starych mistrzów wewnętrzną siłą kolorytu, przenoszącą Madonę lub Wenerę z ziemi na niebiosy. Podobnie wiązana mowa poematu powinna stanowczo pół-boskie postacie odgraniczać od ziemskiej powszedniości. Gdy bohaterowie mówią prozą i to zwyczajną prozą, choćby najpiękniejszą, czujemy, że ich bohaterstwo bajeczne jakiegoś i nieprawdopodobne. Tylko wiersz może opowieść lub sprawę wynieść w jakiś świat boski, w którym najwyższe bohaterstwo nie dziwi, w którym drobna miara zwykłych ludzi rzadkim wyjątkiem. I niedość na tém. Wiersz zmusza pisarza do tego, aby mowę swoją doprowadził do najwyższej doskonałości, aby każdy obraz, każdą myśl wykończył i wytoczył, aby im nadał formę ostateczną, w której mogą przechodzić z ust do ust, z pokolenia na pokolenie. Dlatego-to tak tragedia jak epopea domagają się mowy wiązanej, dlatego-to obie mogą się doczekać niesmiertelnej sławy wtedy tylko, gdy w rytm ujęte mogą się zamienić w pieśń, wtedy tylko, gdy ład słów i jasność liczb dodadzą uroku opowieści. Poemat, prozą napisany, zawsze tylko kartonem, zawsze tylko mniej więcej wykończonym szkicem, którego wartość nigdy się nie da mierzyć miarą utworów doskonałych.

Na początku naszego stulecia powstało kilka poematów pisanych prozą, którym nie można zaprzeczyć, że są skończonymi dziełami. Proza tych poematów jest jednak nadzwyczaj rytmiczną. Jest to t. zw. proza biblijna. Rytm zdań i myśli zastąpił rytm słów i zgłosek. I ta forma mowy ujmuje myśl poety w niezużyte ramy. Zdania przeto, wypowiedziane w Anhelim i w Irydyonie, wydają się także ostatecznie skryształizowanymi. Wartość prozy biblijnej nie równa się jednak wartości wiersza. Forma ta, właściwa językom wschodnim, wydaje się w językach europejskich sztywną, nienaturalną, pompatyczną. Opowiadanie, przyobleczone w jej szaty, nigdy nie ożyje i ma zawsze w sobie coś spektralnego. Mimo całej głębokości myśli Irydyona, nie możemy się pozbyć wrażenia, że to utwór, po którym chodzą zimne, choć marmurowe posągi, a nie ludzie. Proza biblijna to tedy forma w naszych językach niewłaściwa, moda tej prozy przeminęła w bardzo krótkim czasie i już pewno nigdy nie powróci. Proza właściwa, we właściwym sobie zakresie, stoi nierównie wyżej od tego kompromisu pomiędzy wierszem a potoczystą mową. Jednak rytmiczna hebrajska proza może nadać kształt ostateczny pewnym rodzajom epopei i dramatu. Epopea zwłaszcza, napisana zwyczajną prozą, wyda się szkicem tylko, choć może szkicem genialnym.

To też „Ogniem i Mieczem” tak samo nie jest epopeją, jak nie jest rodzajową albo historyczno-rodzajową powieścią. Byłoby prostym

awanturycznym romansem, gdyby nie pewne wysokie zalety, które przypominają epopeę. Co więcej, niech to będzie powiedziane na pochwałę romansu, mieszczą się w nim wspaniałe obrazy i poetyczne sytuacje, tak piękne, że nie podobna odżałować, iż ich nie odtworzono wierszem, że ich nie uczyniono częścią składową wielkiego narodowego poematu. Ale co się stało odstać się już nie może, i wszystkie skarby nagromadzone w powieści Sienkiewicza, nie doczekają się już w narodzie téj nieśmiertelności, którą wiersz nadaje myśli poety, a na którą zresztą ze wszech miar zasługują. Gdy czytelnik sobie zda ostateczną sprawę z wrażeń, których doznał, czytając książkę, wyzna, że miał w ręku szkic do wspaniałej epopei i tego nie odżałuje, że to szkic tylko.

Gdy się przypatrzymy bliżej całej budowie powieści, przekonamy się jeszcze dowodnie, że mamy tu do czynienia nie już ze szkicem, ale ze szkicem, którego szczegóły nieobmyślane z góry, cisnęły się potem same pod pióro autora w miarę tego, jak się rozwijał tok zdarzeń. Założenie powieści podwójne, jedno prywatnej, drugie publicznej natury. Powieść prywatna w pomysle swoim jaknajprostsza i zupełnie staroświecka: Rycerz na dworze księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, zwierciadło wszelkiej rycerskiej cnoty, zapłonął nagle strzelistym afektem dla kniaziówny Heleny Kurcewiczówny, potomka dawnych książąt ruskich, więzionego w zapadłej wsi przez zawiśniętą stryjenkę i nieokrzesanych braci stryjecznych. Stryjenka przeznaczona kniaziównę, z powodów wcale nieszlachetnych, na żonę kozakowi Bohunowi, któremu także nie wiele braknie do tego, aby był wzorem rycerza z hiszpańskiego romansera. Autor każe nam jednak trzymać ze Skrzetuskim. Kniaziówna rycerza polskiego kocha, kozaka nienawidzi. Wtém zrywa się straszliwa burza wojenna. Zgraja czerni i pohańców zalewa Ukrainę. Bohun morduje stryjenkę i trzech z pomiędzy braci kniaziówny; pali jej rodzinne Rozłogi i chciałby dziewczę porwać, ale wybawił Helenę szlachcic rubaszny, mistrz we wszystkich fortelach, wzór polskiego Falstafa. Imci pan Zagłoba jest bez najmniejszej wątpliwości najznakomitszą postacią, jaką stworzył pan Henryk Sienkiewicz i jedną z najbardziej udatych postaci w całej — nietylko polskiej literaturze. Od jego zbawczego czynu zaczyna się długa i misterna gonitwa za kniaziówną Heleną, ciągnąca się przez 4 sporych tomów. Kilka razy rozchodzi się wieść, że kniaziówna już nie żyje. Raz odnosi ciężką ranę w pierś i popada na rok cały w moc Bohunową; kozak obchodzi się z nią jednak z rozczulającą a rycerską czcią, a oddaje ją tylko w ręce ukraińskiej czarownicy. Wyraźnie widać, że gonitwa za Heleną nie miała zrazu w myśli autora trwać tak długo. Powieść miała mieć tylko trzy tomy, a tomy miały być znacznie krótszemi niżli są w istocie. Zdawało się p. Sienkiewiczowi, że jest już bliskim końca wtedy, gdy uderzył na swój lutni o struny czarnej grozy, i gdy rycerz Skrzetuski klął na gruzach Rozłogów pełen rozpaczliwej myśli, że jego kochanka popadła w ręce

sprośnych pohańców. Do zrozpaczonego rycerza przystępuje sługa Boży—i Skrzetuski powstaje po długiej modlitwie, podobny do posągu ze spiżu, pomny już odtąd tylko obowiązków w obec ojczyzny i tak wzorowy i tak niezachwiany niczém, i już dla świata umarły, że wydaje się prawie nieczułym dla losów bogdanki. Gdyby Skrzetuski przez kilka rozdziałów tylko trwał w tym skamieniałym stanie, a potem raptem sam, orężną dłonią wybawił kniaziównę Helenę z jakiegoś śmiertelnego już niebezpieczeństwa, wrażenie grozy, pozostające w pełni i niezatarte znużeniem, byłoby się zamieniło cudownie w owe rozkoszne uczucie tryumfu, którego się domagała powieść, i zapewne nie inny był pierwotnie zamiar p. Henryka Sienkiewicza. Tymczasem rzecz urosła w nieskończoność. Taka moc przygód zrodziła się w głowie autora, tak się może i rozkochał w przedziwnej postaci Zagłoby, że Skrzetuski przez znacznie większą część powieści zostaje żyjącym posągiem, i że tém samém interes żywy zamiera prawie dla właściwego bohatera romansu. Natomiast — trzy inne postacie występują na pierwszy plan. Są to przyjaciele Skrzetuskiego, coś nakształt trzech muszkietierów Dumasa. A najpierw staje przed nami p. Zagłoba, stary już a jowialny szlachcic, dobrej tuszy i lepszego humoru, który się ciągle z prawdą mija; niby tchórzem podszyty, a w samej rzeczy odważny, gdy się trafi okazya, a wreszcie gotów zawsze uwierzyć, że każdy na świecie sukces jego sprawą osobistą; niby tylko o własne okrągłe trzewie dbały, a jednak gdy kogo ukocha do najwyższych poświęceń gotowy; niby wielce dla chamów srogi i dziwujący się niebu, że im dobrego miodu daje, a jednak gotów na chłopskiém weselu, zastąpić ojca pana młodego i zawsze do litości skłonny, typ naprawdę prawdziwy i nieśmiertelny! Obok niego widzimy długiego niezmiernie litwina, Longinusa z Myszykiszek Podbipięta, herbu Zerwikaptur, śmiesznego olbrzyma, przywiązanego do śmiesznie długiej szabli, od niedźwiedzia nieco mocniejszego, człowieka, co czynił votum czystości aż do chwili, w której wzorem swego antenaty, trzem pohańcom jedném cięciem łby poucina i który dotrzymując ślubu skrupulatnie, wzdycha tymczasem strzeliście do siódmego sakramentu. W trzecim wreszcie tomie wychodzi gdzieś z poza trzeciego planu, wywijając serpentynką, mały pan Wołodyjowski, pojedyńkowiec wielce kochliwy i małe podkręca wąsiki, i baczy kogo ściąć zdoła, a w razie potrzeby nie zleknie się ani diabła ani nawet Bohuna i w pojedyńczym boju powali dzielnego watażkę. Mały to rycerz o niechybném cięciu. Obok tych trzech wreszcie staje czwarta lubo podrzędniejsza figura, pacholę Skrzetuskiego, młody szlachcic Rzędzian, wielce dbały o swój klejnot, a niemniej przeto wielce żądny podarków, o które się nieustannie przymawia. Z głupia to frant, któremu wreszcie i ukraść nie trudno, albo przynajmniej nie trudno podzielić się zdobyczą nieprawą z czernią, którą zresztą z serca nienawidzi. A w procesie z sąsiadami — Jaworskimi Imci Rzędzian nieprześlągany; nie dopuści tego, aby

Jaworscy zbierali owoce, które spadną z pogranicznej gruszy na wspólną miedzę; nie spocznie póki Jaworscy nie pójdą z torbami.

Ci czterej tedy gonią po całej Rusi za kniaziówną Heleną, pośród przygód nieustannych, a godnych bajecznego rycerza Amadysa Galskiego i owego księcia Władysława Białego Gniewkowskiego, którego po romansach średniowiecznych przezwano królem Lancelotem. To dobiegają, to znowu tracą z oka przedmiot swojej pogoni. Przygody ich tworzą jakby łańcuch pereł wschodnich najczystszej wody. Nie łatwo dopatrzysz ścisłego związku organicznego pomiędzy poprzednią a następną przygodą. Powieść mogłaby się obejść w zupełności bez każdej z nich z osobna. Mniejsza jednak o to, skoro tak oryginalne sytuacje i przecudne obrazy wynikają z tej tak długiej pogoni, i skoro charakter pana Zagłoby występuje pośród awantur tak subtelnie i tak wydatnie i tak przedziwnie. To już chyba zarzut ważniejszy, że snąc p. Sienkiewicz nie myślał o ostatnich rozdziałach, gdy pierwsze motał na nić swojej powieści, i że postacie wszystkie nie stanęły od razu w myśli autora takimi, jakimi się w ciągu powieści wyrobiły. Zagłoba zrazu tak trywialnym birbantem, że się aż nieestetycznym wydaje. Ani śladu nie znać zrazu szlachetniejszych stron jego charakteru; dopiero potem przywołuje autor z kądeś te zalety. Arcyśmieszny zrazu Podbiپیęta potem olbrzymieje na duchu, a wreszcie, popadłszy w ręce pohańców, umiera na polance leśnej, jako męczennik Pański, w scenie przecudnej, ale w scenie, której nikt nie miał się prawa spodziewać po tém, jak pan Longinus na początku wygląda. Wreszcie mały pan Wołodyjowski jest w pierwszych tomach zupełnie podrzędną figurą, a dopiero pod koniec powieści wyciąga go Sienkiewicz na pierwszy plan głównie gwoli pojedynkowi z Bohunem, o którym może i nie myślał, gdy się zabierał do pisania swojej powieści.

Ten Bohun, rywal Skrzetuskiego, bardziej z jednej sztuki ulany. Dzika to stepowa postać, pełna szlachetnych porywów i szczerzej ludzkiej miłości dla kniaziówny Heleny. Każdemu dziwno, że kniaziówna Helena nie przekłada Bohuna nad zimnego Skrzetuskiego, każdy wbrew woli autora więcej z Bohunem sympatyzuje. W tej kreacyi to tylko błędem, że Bohuna najpierw pokłuto srodze w Rozłogach, że go potem zabił Wołodyjowski na pojedynku pod Warszawą, że Rzędzian go zamordował powtórnie a haniebnie w karczmie gdzieś na Wołyniu, i że mimoto ciągle ataman zmartwychwstaje na to chyba tylko, aby się awantury powieści, mogły ciągle mnożyć, aby powieść mogła nieustannie wzrastać ponad plan pierwotnie zamierzony, i aby Pegaz mógł pana Sienkiewicza nosić samowolnie póty, póki go nie zanieśie pod Zbaraż. Rosła tedy i rosła bajka cudowna, aż bajeczne zgoła zapasy rozszalały się dokoła okopów Zbaraża, i aż rozpoczęło się na kartkach ostatniego tomu obleżenie, pełne czynów godnych zaiste szalejącego Orlanda i gniewnego Achilla. Zderzyli się bogowie i ludzie. Fraszką była pojedynczemu rycerzowi polskiemu gonić poprzed siebie krocie czerni i pohańców. Duchy prowadziły da-

lój ponad pobojuwiskiem bój straszliwy, bój rozpaczny. Skrzetuski i jego towarzysz ucinają samoczwart pohańcom i kozakom głowy jakby makówki, i zwyciężają tak bez trudu po potyczkach i wycieczkach zamienionych w apokaliptyczne bitwy, że aż nieraz wpadnie na myśl czytelnikowi, że chyba mieli do czynienia z niesłychaną hołotą, którą zwyciężać nie tak wielką było sztuką.

Wśród obłężenia dorasta powieść najwspanialszych epicznych rozmiarów. Prócz wiersza nie brak już pod Zbarażem niczego do epepei. Jesteś świadkiem walki dwóch wiar i dwóch cywilizacji. Widzisz na oczy, jak się poruszają, jak się potykają wielkie masy wojsk, ponad którymi górują postacie nadludzkich bohaterów. Występują wśród opisu bitwy pojedyncze zapasy, nakreślone mistrzowskim piórem, nie brak nawet współdziału nadprzyrodzonych potęg. Wśród brzęku oręża zapominamy zupełnie o miłosnym romansie i o kniaziównie Helenie. Przypatrujemy się z uniesieniem czynom cudownym rycerstwa polskiego, przyklaskujemy zwycięstwom tych, których oręż przenigdy niepokona. Ale czego nieprzyjaciel nie dopnie otwartem natarciem, to spełni głód, którym ścisnął obłożonych. Już, już, lada chwila a Zbaraż popadnie w ręce dziczy. Trzeba koniecznie bohatera, coby się przedarł do króla i coby od niego zażądał pomocy dla tych, co w Zbarażu stanęli za całą Rzeczpospolitą. Pierwszy puszcza się na ochotnika w tę drogę pan Podbipięta i ginie śmiercią ofiarną chrześcijańskiego rycerza i bożego męczennika. Drugi Skrzetuski wykrada się z miasta, brnąc przez staw, w którym pełno okropnego trupa. Zdawało się, że Sienkiewicz już w czasie obłężenia dobył najwyższych tonów epepei, a jednak teraz akordy stają się jeszcze coraz donioślejszemi. Czytelnik zakłęty treścią opowiadania zwiśł nad kartkami książki, zapragnął gorączkowo rozwiązania iście nadludzkiej przygody i odetchnął dopiero wtedy, gdy się Skrzetuski wreszcie—wreszcie wydobył z okropnej topieli. I oto na tém urywa się powieść. Poeta nawlokłszy moc pereł cudownych na złotą nić swojej przedzy, znurzył się nagle i w kilku tylko słowach doniósł o tém, że Skrzetuski i Helena się pobrali, że mieli dwanaścioro dzieci, że wcale niechlubne układy doprowadziły do oswobodzenia Zbaraża i że potem była jeszcze wielka bitwa pod Beresteczkiem, w której Chmielnicki doznał boleśnego szwanku, choć to wcale nie zakończyło sprawy pomiędzy Rzeczpospolitą a rycerstwem Zaporozkiem. Nie słyszysz uniesień, z którymi się oboje kochanków powitało. Zamiast tryumfu oswobodzonych rycerzy Zbaraskich, słyszysz tylko fałszywy ton upokarzających układów. Wesela we Lwowie nie odmalowano szeroko i epicznie, jak to być powinno, nie widzimy na oczy Heleny i Skrzetuskiego przy wielkim ołtarzu w katedrze lwowskiej, biorących ślub w obec króla i Rzeczypospolitej, wśród złotej radości, która winna kończyć epepeą. A srodze nas pokrzywdzono, gdy nam nie pokazano, jak się sprawował pan Zagłoba w czasie wesela Skrzetuskich. I żal nam szczerze, że nie słyszeliśmy huku dział pod Beresteczkiem, żeśmy tam

nie widzieli, jak sobie poczynął książę Jeremi, jak się chan tatarski wściekał na sino i jak przywiązał Chmielnickiego do grzbietu końskiego w czasie bezładnej ucieczki. Postacie Bohuna, Rzędziana, Chmielnickiego i przymierzeńca Chmielnickich, tatarskiego chana, znikają nagle z poprzed naszych oczu, niejedna zagadka pozostaje nierozwiązaną. Poeta długo poprawiał i rozszerzał barwę swojej powieści, w miarę tego, jak mu w rękę rosła; co chwila nowe dodawał motywy. Wreszcie całą robotę urwał nagle i zostawił w rękę czytelnika rzecz przecie niedokończoną.

Takie to są niepospolite zalety, takie poważne niedostatki prywatnego, że tak rzekę, romansu skreślonego przez p. Sienkiewicza. Na tém nie wyczerpaliśmy jednak naszego sprawozdania o tej niepospolitej książce. Znowu tak jak w epopei rysuje się powieść rycersko-miłosna na tle wielkiem i ponurém powszechno-dziejowych wydarzeń.

Rzeczpospolita polska stoi napozór u szczytu potęgi. Władysław IV, król polski i szwedzki, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, władnie szeroką Północą. Moskwa pokonana leży u stóp Rzpltej, nikt nie śmie wtargnąć w granice wielkiego państwa i Rzplta gotuje wyprawę na turczyzna, wyprawę, która może króla polskiego osadzi na stolicy Paleologów. Wielkie, bezładne stepy rozpościerają się u południowych granic Polski, a ludność napół dzika wiedzie na nich żywot koczowniczy; tam za porohami gromadzi się pod zwierzchnictwem króla Jegomości nieokiełznana i surowa Sicz hajdamacka. Niegdyś wiedli ją na rycerskie harce szlachetni panowie, dziś znajdziesz tam chyba ubogiego niegdyś szlachcica, człowieka, co nigdy nie posiadał znaczenia w Rzpltej a dziś zeszedł na smutną włóczęgę jako infamis i wygnaniec. Ogół kozackiego ludu—to chłop ciemny, podejrzliwy, dziki, przyzwyczajony do wypraw zbójcekich i do ciągłej pijatyki a srogiego okrucieństwa. Gardzi on chłopem przywiązanym do gleby, a płonie wielką nienawiścią dla szlachty osiadłej, nie pytając, czy kto łańskiejszy czy greckiejszy jest wiary, czy kto z Rusi, czy z lachów pochodzi. Za to przeklina dobrze urodzonych, że mają dwory i włości, że step rozorują pługiem, że ujmują w coraz ciaśniejsze kresy pustkowie, po których można hulać rycerstwu zaporoskiemu. Przedmiotem naj-srozszej nienawiści książę Jeremi Wiśniowiecki, rusin z dziada pradziada, choć już przeszedł na wiarę lacką, a w powieści Sienkiewicza, pan rozumny, wspaniały, który w Łubniach i dokoła—step dziki przemienia w kwitnącą krainę. Już nieraz porywało się dzikie rycerstwo stepowe na szlachtę osiadłą, a za każdym razem zwyciężała Rzplta; ale dziś znalazł się na czele kozaków szlachcic, wygnaniec wielkiej woli, pełen żądzy zemsty za prywatne krzywdy, miotany niebyswałém samolubstwem, Bohdan Chmielnicki herbu Abdank. On umie żelazną ręką ująć rozpasane żywioły kozackie i chcąc się ponad głowy swych nieprzyjaciół wynieść, ciska niemi dla prywatnej zemsty na Rzplta. Tym razem bunt nie jest już prostym zbójcekiem rozruchem. Łączą się z nim żywioły, pobudzone przez namiętność socyalną i przez na-

miećność religijną. Powstaje całe chłopstwo ruskie przykute do pługów i do ciężkiej pańszczyzny. Powstaje nawet część mieszczaństwa wiernego jeszcze cerkwi. Lud ciśnie się pod chorągiew wielkiego watażki i żąda z krzykiem pomsty na tych, co opływają w dostatkach, co używają nieograniczonej swobody, co przyjęli łacińską wiarę, różną od wiary ludowej, i co przywykli mówić lackim językiem. A że ta czerń całaniem stoi się sama w obec żelaznych pułków Rzpltej, wzywa przeto pomocy postronnej i łączy się z carem krymskim. Papem jęj staje się dziki barbarzyńiec. Nie chciała znosić łaskawych rządów króla polskiego, a podpada pod sromotne i ciężkie jarzmo azyatyckiego despoty. Skoro wojna domowa wybucha, ponosi Rzplta na bunty nie przygotowana, kłeskę po kłesce. Hetmani popadają w niewolę kozacką. Ruś cała staje otworem przed Chmielnickim. Jednego Jeremiego Wiśniowieckiego boi się jeszcze hetman kozaków. Imię samo Jeremiego wieje postrachem. Posyłają tedy kozacy posłów do Wiśniowieckiego, chcąc z nim rozpocząć układy, a Wiśniowiecki, ulubieniec szlachty i Sienkiewicza ideał, gwałci w najhaniebniejszy sposób prawo narodów i każe posłów kozackich ściąć a przywódcę poselstwa skazuje na śmierć najokropniejszą na palu. Poseł, konając pośród katuszy, przeklina cały naród lacki i woła w sercu swém: „obyście tak jak ja konali długo i okropnie, a skonać nie mogli!”

Dokonawszy srogiego czynu, wie Wiśniowiecki, iż niepodobna mu już dłużej pozostać w Łubniach, porzuca tedy zamek swój, oddaje włości na pastwę czerni i przez puszcze czanigowskie ciągnie w głąb Litwy. Tymczasem dzielny król umiera na domiar nieszczęścia dla Rzpltej. Interregnum oddaje władzę w ręce kanclerza Ossolińskiego, osobistego nieprzyjaciela Wiśniowieckiego. Rzeczpospolita nieporadna stawia na czele wojsk swoich trzech regimentarzy: łacinę, pierzynę i dziecinę, pomijając Jeremiego, a czerń zalewa wszystkie południowe województwa, sprawiając wszędzie rzezie okropne, niewidziane, o których czytać straszno. Szlachta nie godzi się na postanowienie prawnej niby władzy w Rzpltej i gromadzi się cała pod sztandar Wiśniowieckiego. On sam jeden, jak drugi Aleksander, zadaje kozactwu kłeskę po kłesce. Wojsko jego rośnie. Wnet potęga całej Rzpltej spocznie w jego ręku. Jeżeli zechce nie sam tylko bunt kozacki zgnieć, ale przywróci Rzpltej ład nadwątlony; usunie po krwawym zwycięstwie chłopskie krzywdy, ujmie w karby szlachecką swawolę, ruszy na Krym, zgnieć tatarów, zdobędzie dla Polski naprawdę drugie morze, zapełni gęstym ludem czarnomorskie stępy i zapewni Polsce wieczne trwanie i niezłomną potęgę. Czuje, wie, że to uczynić może! Ale prawomocne władze Rzpltej każą bohaterowi hołdować trzem nieudolnym regimentarzom, w których rękach wszystko koniecznie zmarnieć musi. Odbywa się tedy w wielkiej duszy Wiśniowieckiego walka dramatyczna, wspaniała, mistrzowsko przez Sienkiewicza opisana. Całą noc pyta się rycerski książę Chrystusa zawieszego na krzyżu, co mu czynić wypada? Czy pominąć prawo formalne i zbawić Rzplta,

czy prawa usłuchać i Rzpltą skazać na niechybną zgubę? I odbiera z milczących ust Chrystusowych dziwną odpowiedź, zaiste! że bohater powinien się poddać pod władzę nędznej miernoty i to w chwili najgroźniejszej dla ojczyzny, jeśli się formalna legalność tego domaga; i że litera prawa ważniejszą od dobra ojczyzny. Oddaje tedy Wiśniowiecki miecz swój pod władzę regimentarzy. Klęska po klęsce bije na Rzpltą. Wiśniowiecki tylko tyle wskórać może, że dokazuje w Zbarażu wraz z garstką rycerzy cudów odwagi: daremnie! Król elekt podpisuje z buntownikami hańbiący układ w Zborowie.

Były przedtem inne jeszcze układy. Nie wszystka dotąd szlachta ruska była przeszła na obrządek łaćniński. Greckiej jeszcze wiary wojewoda Kisiel. On orędownikiem zgody z Rusią; on nie wierzy w skuteczność ustawicznej walki i pomsty tylko—i tych okrucieństw, któremi Wiśniowiecki odpowiadał na okrucieństwa kozackie. Była chwila, w której głos Kisielea zwyciężył w radzie. Wysłano go wraz z kasztelanem Zborowskim w posły na zbuntowaną Ukrainę. Ale układy doprowadziły tylko do sromu dla Rzpltej i do niesłychanej hańby dla nieszczęśliwego Kisielea, który umarł nie mogąc przenieść upokorzeń.

Taki to obraz dziejów wywiódł przed nasze oczy Sienkiewicz, przelewając w romans treść epopei. Zdarzenia jednak w opowiadanie ujęte, winny były wypowiedzieć jakąś myśl dziejową, winny były stworzyć zaokrągloną w sobie całość, której zakończenie mogłoby ucieszyć i rozum i serce. Wolno wreszcie ludzkiemu bohaterowi epopei zginąć marnie. W ostatniej pieśni możemy być na jego pogrzebie. Ale rzecz dziejowa winna się zawsze skończyć i pięknie i dobrze. Wszak to już sprawa bogów a nie ludzi! Wszak tu klęska na końcu, brzydkim zgrzytem szatańskiego śmiechu! Jeżeli epopea ma być pieśnią a nie dysonansem, trzeba — aby się myśl dziejów opatrzna wyraźnie z nią wyłaniała. Niechaj będzie jasnym, dokąd wiodą zdarzenia dziejowe. Niechaj będzie widnym jak na dłoni, że bohaterowie nie krwawili się za darmo! Pieśń o czynach minionych winna słuchaczom wskazywać drogę przyszłych dziejów; winna im wyraźnie pokazać wroga.

Sienkiewicz poruszył w swojej powieści najważniejsze zagadnienia, tyjące się życia narodu naszego i życia ludzkości. Owieczna kwestya socyalna, walka wściekła ubogich i ciemnych z bogatymi i oświeconymi, poznażyła krwią wszystkie karty księgi. Cerkiew wschodnia toczy po nią rozpaczliwą walkę z kościołem zachodnim. Ruś i Polska, niegdyś zbratane do wspólnego boju przeciw niemcom i pogaństwu, rozpoczęły walkę bratobojczą, okropną, nieprzejednaną, której końcem wspólna obydwu niewola, której nie mogły położyć kresu ani układy, ani orężne zapasy. Rzplta popadła w nieudolną szlachecką anarchią; nie można jej było wyratować bez pogwałcenia owego nieładu, co się stał prawem i nie było męża, coby się zdobył na taką odwagę. Wszystkie potęgi piekieł poszły w straszny korowód po szerokich ziemiach Rzpltej i wszystko skończyło się

tylko jękiem hańby i rozpaczy, tak głośnym i tak strasznym, że ślub Skrzetuskiego i na chwilę nie może naprawdę uradować tych, którzy słyszą ów jęk strasznój publicznej niedoli, jeśli tylko czują jak na ludzi i polaków przystoi. I co gorsza, strasza kłątwa owego pośta kozackiego, którego w Żubniach na pal wbito, zawisła nad księgą jakby ostatnie słowo powieści i tą kłatwą obarczeni potomkowie nowożeńców, którzy byli po ludzku bohaterami powieści i wiemy, że nie mogą być szczęśliwymi wśród niewoli i hańby i że lepiejby dla nich było, gdyby się nigdy nie byli porodzili i że lepiejby stokroć było dla wszystkich rycerzy Polski, Litwy i Rusi, gdyby wszyscy byli wyginęli na pobjawisku pod Zbarazem i gdyby tylko sława była pozostała po ich imieniu i gdyby tylko wicher był zapłakał nad ich mogiłą! I promyka nadziei i słówka dobrej rady nie dorzuca pisarz do okropnego obrazu. Po przeczytaniu książki zostaje rozpacz tylko i nieporadność straszna. A takim przynigdy nie powinien być duch polskiej książki.

Łatwo było uniknąć tego tak ciężkiego błędu, tego grzechu prawie. Chcąc opisać owe rycerskie przygody, które się spłotyły w powieść uroczą, można je było namalować na tle nie domowej wojny, jedno np. wojny z pogaństwem. Miejsce kozaka Bohuna mógł zająć jakiś Emir albo Murza wschodni, miejsce Jeremiego Wiśniowieckiego Karol Chodkiewicz albo Jan Sobieski. Romans miłośno-rycerski mógł pozostać ten sam prawie bez zmiany. Obrazowanie mogło w tych samych prawie barwach wystąpić. Tło dziejowe mogło się roztoczyć równie wspaniale, a zwycięstwa byłyby zakończyły książkę. Czytelnik byłby z radością książkę na bok odłożył po przeczytaniu ostatniego rozdziału. Ale p. Henryk Sienkiewicz wolał stanąć przed straszną zagadką Sfingi i zagadki nie rozwiązać i pozostawić najcięższą patryotyczną boleść — rozpacz prawie w sercu czytelnika.

I czyż mamy przypuścić, iż autor chciał nas świadomie do rozpazy pobudzić? Iż chciał zawołać na swój naród: „Nie ma dla ciebie nadziei! Układaj się do snu wiecznego!“ Nie przypuszczamy i dla tego pragnęlibyśmy inaczej wytłómaczyć to zjawisko.

Kto gorąco miłuje tę ojczyznę naszą, ten wciąż patrzy na jej mogiłę, ten wciąż rozpamiętywa jej klęski, ten pyta nieustannie dziejów, dla czego to los tak okropny spotkał nasz naród jedynie pośród wszystkich narodów Chrześcijaństwa? A zanim się uspokoi sam w sobie, a zanim się pogodzi z wyrokami boskimi, ufny, że próba straszna przeminie, skoro odprawimy do końca wielką pokutę, stawia sobie dręczące pytanie nago i bez obsłony. A skoro Bóg dał jakiemu polakowi ową iskrę, którą ludzie nazwali geniuszem, chwyci za pióro lub za pióro i rzuci na płótno straszny obraz grodzieńskiego sejmiku i przefrymarczonój Rzpltej, albo skreśli straszliwe dzieje kozackiej zawieruchy. Tak to chory nieraz własną drażni ranę. Tak to zawiedziony kochanek pieści się ze swoim nieszczęściem. Tak to żydzi chodzą pod mury jerozolimskiej świątyni, aby płakać nad miejscem niegdyś świętym. I tak uczynił Sienkiewicz.

W innych warunkach literackiego życia nie byłby poeta tak prędko puścił w świat tego wielkiego obrazu, naszkicowanego z tém czémś, co nazwałem „czémś więcej niż talent.“ Choćby rzecz pewno nie była nigdy przyoblekła rymowanej szaty, byłaby się niezawodnie przeleżała i przetrawiła, byłaby podobno uległa znacznej przeróbce; wszystkie jęj piękności byłyby się były przechowały; mocby było błędów ubyło. Rycerskie i miłosne przygody byłyby się zwały w silnie spojone koło. Kilka drobnych rysów, rzuconych na początku powieści, byłoby nas przestrzegło o tém, jakie skarby się kryją w sercu trzech przyjaciół Skrzetuskiego. Samego Skrzetuskiego boleść nie byłaby doszła szczytu w pierwszej połowie powieści. A co najważniejsza, wszystkie zagadnienia dziejowe nie byłyby pozostały bez odpowiedzi. Boć nie w tém trudność była, że p. Sienkiewicz nie wiedział, co mu odpowiedzieć wypada na dziejów zapytanie. To samo słowo, które tkwi w głębi duszy każdego myślącego polaka, nie jest pewno obcém Sienkiewiczowi. Trudność leżała w tém, jak odpowiedzieć? Jakżeby to wynaleźć artystyczną formułę, zapomocą której powieści by sama w sobie odpowiedź mieściła. Trzeba było czasu i spokoju na to, by tę formułę odnaleźć. Brakło niestety i czasu i spokoju. Drukowano już rzecz, zanim ją do końca napisano. Nieszczęsna konieczność, ciężąca nad wszystkimi prawie dzisiejszymi literatami, sprawiła narodowi naszemu dotkliwą szkodę, szkodę niepowetowaną. Mielśmy osiąść powieść doskonałą i nieśmiertelną, a mamy w rękę długi tylko, ale liczny wątek precudnych obrazów. Mamy tylko karton wspaniały i opowiadanie bez rozwiązania. Szkoła to niepowetowana, powiadam, — Ogniem i Mieczem, już się nie przemieni w to, czémby być mogło. Nie na wiele się przydały drugiego wydania poprawki.

Zarysował się przed nami talent olbrzymi. Z radością witamy twórcę, zpod którego pióra występują żywi bohaterowi. Owa potrzeba prędkiego pisania, która pozorami konieczności zasłania dobroczynnie nieudolność niejednego rzemieślnika pióra, zastąpiła teraz drogę prawdziwemu poecie i nie dała mu rozwinąć całej siły talentu. Nie mogła temu przeszkodzić, by napisał romans, pełen werwy i uroku; nie dała powstać opowiadaniu rycerskiemu, jasnemu treścią, doskonałemu formą, wykończonemu myślą. P. H. Sienkiewicz dał nam wszelkie prawo, abyśmy byli wobec niego niesłychanie surowymi i wymagającymi. Spodziewamy się po nim, że napisze kiedyś nieśmiertelne arcydzieło. Żądamy tedy od niego, aby się nie spieszył, pisząc. Jak dużo powieści w świat puści, doczeka się powszechniejszego i wcześniejszego rozgłosu; ale nie postawi sobie samemu pomnika. Ominie go chwała, której najzaciętszymi wrogami bywają rozgłos zbyt wczesny i zbytńia płodność pisarska. Żądamy tedy od p. Sienkiewicza, aby się już na przyszłość nie spieszył. To, co otrzymał w darze od Boga, nakłada nań obowiązek, aby nie poprzestał na rozgłosie, aby się dorabiał nieśmiertelnej chwały dla siebie i dla narodu swego.

PRZEGLĄD WYSTAWY

Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

II.

Specjalność konia w malarstwie.—J. Rosen i jego „Pobudka.“—Portrety L. Horowitza. — Utwory T. Maleszewskiego. — Anna Bilińska. — „Królikowski w roli Garricka“ Biedrońskiego. — Malarstwo rodzajowe. — „Miłość macierzyńska“ F. Eismonda. — Obrazy z Algieru J. Maszyńskiego. — „Serenada“ tegoż.—„W parku“ L. Kurelli.—„Targ w Przemysłu“ T. Rybkowskiego. — „Jalmużna w klasztorze“ L. Wiesiołowskiego. — Obrazy P. Szynclera. — „Przy zachodzie słońca“ C. Dylczyńskiego. — „Jesień“ A. Kowalskiego. — Utwory A. Piotrowskiego, W. Piechowskiego, R. Oknińskiego, J. Żubra, S. Grocholskiego i S. Moniuszki. — Pejzaże: „Bór sosnowy“ L. Benedyktowicza. — „Nad jeziorem“ W. Maleckiego. — „Z nad brzegów Proсны“ W. Brochocznego. — „Brzegi Capri“ A. Świeszewskiego. — Krajobrazy H. Cieszkowskiego i R. Kochanowskiego.—Akwarela J. Fałata.—Rzeźba: „Gładjator“ P. Wołoskiego. — „Rzeźbiarstwo“ T. Rygiera. — Utwory dłuta L. Kucharzewskiego, S. Celińskiego, J. Wojdygi, S. Jarzymowskiego i Ostrowskiego.

— * * * Malarstwo, jako sztuka odzwierciadlająca wszystkie sprawy życia ludzkiego, wszystkie jego sytuacje, odtwarzająca człowieka z całym jego otoczeniem — nie pomija też i zwierząt, stanowiących tak ważną część tego otoczenia. Szczególniej zwierzęta domowe, w których człowiek znalazł stałych, wiernych towarzyszy, oddających mu mnóstwo pożytecznych usług i które wogóle ważną w jego życiu grają rolę,

zajęły od najdawniejszych czasów wydatne obok niego w utworach sztuki miejsce.

Żaden atoli rodzaj zwierząt nie dostąpił tego zaszczytu w stopniu tak wysokim, jak koń, dzielący z człowiekiem trudy zarówno czasu pokoju jak wojny. W malarstwie stał się on przedmiotem specjalnej gałęzi, wstawionej takimi imionami, jak Wouwerman Vernet. Gałąź ta ma już i u nas swoją historią.

Z przeszłości dolatuje nas tak donośne echo bojów toczonych z krzyżactwem, tatarstwem i innymi wrogami, a świetne tradycje rycerskie tak żywo odświeżyły się wśród zgiełku bitew w pierwszych latach bieżącego wieku, że i u nas koń, ten druh bojowy żołnierza, jak towarzyszył mu w najcięższych przeprawach, tak go i w idealnym świecie sztuki nie odstępował. To też pierwszy nasz malarz głośniejszy, który się naprawdę narodowym nazwać może, January Suchodolski, autor niezliczonych epizodów życia obozowego, bitew i scen żołnierskich, wprowadzał prawie zawsze konie do swych utworów. Po nim malował dzielnie konie Henryk Pilatti, a jeszcze je dzielniej dziś malują Juliusz Kossak i Józef Brandt, obok których od lat kilku staje pan Jan Rosen, zdobywający sobie w tej specjalności coraz szersze uznanie miłośników tego rodzaju malarstwa.

Pragnę właśnie pomówić o dużym obrazie tego ostatniego artysty, znajdującym się obecnie na wystawie, zatytułowanym „Pobudka.” Mamy tu przed sobą rozległą równinę, graniczącą na lewo z lasem, ponad nią chmurne jesienne niebo. W głębi, ku prawej stronie, na otwartych błoniach widać manewrujące szwadrony jazdy; kilka zaś plutonów ułanów, w oczekiwaniu dalszych rozkazów, rozlokowało się na skraju lasu. Właśnie nadbiegł z pola oficer z rozkazem, trębacze zagrali pobudkę i wśród wypoczywających przed chwilą kawalerzystów zapanował ruch niezwykły. Jedni śpieszą cożywo do koni, drudzy już ich dosiadają, a ci, co zdążyli dopaść kulbaki, pędzą zająć miejsce w szeregach; słowem zamęt, rozgardyasz prawdziwie obozowy. Śród mieszających się z sobą barw jednostajnych: granatowych mundurów, żółtych rabatów i wyłogów i gniadój przeważnie maści koni—oko widać gubi się tu formalnie. Artysta tak rzetelnie po żołniersku pojął swój przedmiot, że w owej garstce dosiadających koni ułanów znikają zupełnie indywidualności ludzkie, żaden się z nich naprzód nie wysuwa, osobistością swoją nie wyróżnia, równość tu absolutna. Możliwyby rzec, że zgodnie z duchem nowożytnego militarysty, tłumiając wszelki indywidualizm w szeregach, nie ma tu ludzi samoistnych—są tylko plutony i szwadrony. Jest w tym bezwątpienia doskonałe, zgodne z prawdą realną przedstawienie rzeczy: koń i człowiek zarówno dobrze wyćwiczeni, pełnią swą służbę przykładowie; nie czuć jakoś, żeby ostatni zajmował to górujące nad zwierzęciem stanowisko, jakie mu inteligencja zapewnia. Wynika to, jak już powiedziałem, z samej natury traktowanego przedmiotu.

Odmiennej i właściwiej stosunek ten uwydatnia się w obrazach

Brandt'a, ale właściwie dlatego tylko, że sprzyja temu sama sfera, w której ten znakomity artysta przedmioty do swych utworów czerpie. Pułki lisowczyków i zaporozców nie przedstawiały tej jednolitej militarnej masy, jak dzisiejsze wzorowo wyćwiczone wojska,—tam każdy, nie przestając być żołnierzem, nie wysuwając się nawet z szeregu, zachowywał swoją indywidualność, a wiadomo, że znajdował aż nadto pola do jej uwydatnienia. Ztąd to obrazy Brandt'a, osnute na tle etnograficzno-dziejowem, przedstawiają tak wielki estetyczny interes.

Specjalność p. Rosena wytknęła mu odmienną drogę: zamiast pójść torem Brandt'a, woli on, jak niegdyś Suchodolski, nad którym zresztą posiada w technice nieskończoną przewagę — kreślić sceny z współczesnej rzeczywistości, co konstatując, nie myślę oczywiście czynić mu z tego zarzutu; ile, że, jak widzieliśmy, artysta w ujęciu przedmiotu z jego strony właściwej, charakterystycznej, istotnie niepospolity rozwinął talent.

Krajobraz trzymany w tonach szarych, jesiennych, drzewa огоłocone z liści i wreszcie powtarzające się jedne i te same barwy mundurów i koni, trudne do zharmonizowania, mianowicie w owym pierwszoplanowym oddziale ułanów, sprawiają, że koloryt obrazu przybiera pewną oschłą jednostajność, skąpą w żywsze, malownicze efekta. Wszakże trzeba przyznać, że i w tém jest dobrze uchwycona przedmiotowa prawda, czemu nikt chyba nie zaprzeczy, kto choćby raz przypatrywał się zdala manewrującym kolumnom jazdy na szarych, stratowanych kopytami końskimi polach. Kto zaś zechce się bliżej w obrazie p. Rosena rozpatrzyć, tego nie może nie uderzyć artystyczna werwa i wielka łatwość, z jaką rzuca na płótno sylwetki ludzi i koni, a szczególnie z jaką kreśli te ostatnie, których najrozmaitsze pozy, wyborne ruchy, świadczą, że artysta wystudyował doskonale naturę tego zwierzęcia i poświęca się swęj specjalności z prawdziwem zamiętowaniem.

Niejednokrotnie zdarzyło mi się już pisać o portretach p. Leopolda Horowitza, wykazywać właściwe zalety pędzla tego artysty i podnosić jego dar wnikania w życie indywidualne portretowanej osoby. Odtworzenie zewnętrznej strony natury, rysów fizyognomii, dla malarza téj miary co p. Horowitz nie może stanowić jedyne ani nawet głównego celu. Pojmuje on portret głębiej, zapatruje się na niego z bardziej artystycznego punktu widzenia: oprócz rysów materialnych usiłuje on w nim odtworzyć charakter, zaakcentować dominujące w nim rysy psychologiczne, wyrazić słowem to, co stanowi wewnętrzną naturę danęj osobistości. Tak zapatrując się na zadanie portretu, artysta choć ześrodkowyywa ekspresyą w twarzy, nie zamyka jęj przecięż w nięj wyłącznie; szuka on jęj zarówno w ruchu, w układzie całej figury, bo wszystko to dopięro łącznie wytwarza owę indywidualność, o którą mu tak bardzo chodzi i którą tęż istotnie trzeba podziwiał w jego portretach. Koloryt świetny, przejrzysty, wysoce harmonijny,—to jeden artystyczny przymiot więcj utworów tego artysty. Wpra-

wdzie właściwy mu miękki, pieściwy sposób traktowania, niekoniecznie może odpowiada plastycznej jedności ciała; a chociaż w zastosowaniu do portretów dzieci i młodych kobiet, podnosi on o wiele siłę ich wdzięków, uświetniając i idealizując tony karnacy; zato w wizerunkach osób raczej charakterystycznych niż pięknych, mianowicie téż w wizerunkach męzkich, nie posiada on potrzebnej energii. Wszakże uwagi te, odnoszące się do zewnętrznej strony portretów p. Horowitza, słabną wobec wspomnianych wyżej wysokich zalet wewnętrznych, które z nich czynią prawdziwe dzieła sztuki.

Takiem dziełem jest bezspornie portret młodej kobiety, brunetki, w czarnej zapiętej pod szyję sukni, o bardzo wymownej twarzy, której delikatna, srebrzysta, pełna subtelnych tonów karnacja pozwala niemal odczuwać podskórną krwi cyrkulacyą. Charakter i wyraz oblicza pozostają tu w ścisłym związku zarówno z naturalną prostotą układu, jak umiarkowanie skromną toaletą: wszystko to zaś razem składa się na wyrazową stronę tego portretowego utworu.

W wyższym jeszcze stopniu tę siłę ekspresji posiada portret młodzieutkiej, jasnowłosej dziewczeczki w jasno błękitnej sukni i takimże kapelusiku, z przypiętą do gorsu różą. Jest to całe psychologiczne studjum. Zwrócona ku nam bokiem, wygięta się nieco w tył ruchem wdzięcznym, jakby od niechcenia i przechyliwszy trochę w bok głowę, pokazała nam swoją figlarną raczej niż poważną twarzyczkę, z zaczesaną na czoło grzywką. Artysta pochwycił tu bardzo szczęśliwie ów pełen tajemnic i nieokreślonych pragnień okres życia, w którym kobieta, przestawszy już być dzieckiem, jeszcze naprawdę kobietą być nie zaczęła; w którym wdzięk naiwności i dziecięcej niewinności łączy się wszystkimi urokami rozkwitającej piękności; okres życia, w którym kobieta jest jak ów rozchylony, połyskujący kroplami rosy i czarujący niepokalaną świeżością barwy pączek róży, wydzielający z siebie woń rozkoszną, chociaż jeszcze nie odurzającą. Po wykrojonych delikatnie usteczkach dziewczęcia poznasz, że nawykły wybuchać częstym, głośnym i serdecznym śmiechem; możnaby rzec, że naprawdę poważnemi być nawet nie umieją: bo i w tej chwili, mimo udanej powagi, zdają się jakby drgać, poruszać, i tylko patrzeć jak się rozchylą ukazując dwa rzędy pereł. Taki portret, to coś więcej nad powierzchowne oddanie rysów fizycznych, nad niewolniczą, realnie dokładną kopią zewnętrznych pozorów natury — to rzetelny wizerunek życia indywidualnego, który ażeby stworzyć, artysta musi być zarazem psychologiem sięgającym w głąb duszy. Z oznak zewnętrznych musi on wprzód odgadnąć charakter, i malując, wpatrywać się nietyle w rysy pozującej mu osoby ile w ten jej wizerunek, jaki się w zwierciadle jego ducha odbił. Dlatego to tak mało zawsze było prawdziwych portrecistów.

Trzeci tegoż artysty portret przedstawia mężczyznę w wieku poważnym, siedzącego w fotelu, o przystrzyżonej krótko, posiwiałej już czuprynie i z takiemiż włosami. Jego rumianą, otwartą twarz ożywia

para oczu niewielkich, ale rzucających przenikliwe z pod gestych krzaczystych brwi spojrzenia. W fizyognomii, nacechowanej sangwinicznym temperamentem, maluje się dobroduszość z pewnym odcieniem żartobliwej jowialności. Artysta przedstawił go jakby na poufałej z dobrym znajomym gawędce. Przyznaję chętnie wysoką wartość temu utworowi zarówno pod względem techniki jak osiągniętej ekspresji, wszakże porównanie go z portretem młodej osóбки, o którym wyżej była mowa, wyszłoby zawsze na pewną jego niekorzyść. Jużto, o ile pamiętam, portrety kobiet zawsze korzystniej z pod pędzla p. Horowitza wychodziły.

Ostatnia uwaga może się równie dobrze stosować do p. Tytusa Maleszewskiego, który z powodu pieśczośliwej elegancyi swego pędzla, podobnie celuje bardziej w malowaniu niewieściój piękności niż wizerunków męskich, do których się też rzadko bierze. P. Maleszewski stara się również o pochwylenie wewnętrznej strony życia, ale bierze rzecz powierzchowniej: zamiast zatapiać się w głąb duszy, woli poprzestawać na wyrazie przygodnym, ożywiającym twarz w danej chwili. Ujemną stroną portretowych utworów tego artysty to głównie stanowi, że są malowane konwencyonalnie; powiedziałbym, że więcej w nich manieri niż rzetelnej prawdy natury. Takich śmiejących się twarzyczek jak w utworze „Bez tytułu“, przedstawiającym igrającą z wachlarzem szatynkę, o szeroko wykrojonych ustach, do których artysta, mówiąc nawiasem, ma szczególniejszą predylekcyą; takich portretów, jak owéj brunetki o wielkich oczach, zwróconej do nas profilem, artysta dużo już różnemi czasy ze swéj pracowni na świat wypuścił; ale wszystkie one traktowane na jedną modę: powtarzają się w nich zawsze owe wielkie oczy i często owe wykrojone szeroko usta; wydają się wszystkie do siebie mniej lub więcej podobnemi. Żadna z nich głębiej się w pamięci nie wryje, bo chociaż malowane powabnie, nie spotykamy się w nich z prawdą, z naturą gruntownie wystudowaną.

Takim utworem, tylko na większą skalę, jest téż owa postać młodej kobiety (Fatme) o bujnych, jasnych, rozpuszczonych włosach, oparta o balustradę, z opuszczonemi ramionami i splecionemi palcami. Oczy i usta znanego już nam typu. Malowidło na pierwszy rzut oka uderza, przyciąga, obok bowiem wypieszczonego wykonania i powabnej czystości barw, jest tu i charakter dość wyraźnie zaznaczony; ale ostatecznie, więcej w tém wszystkiém fantazyi niż prawdy przedmiotowej. Z odniesionego wrażenia nie wiele téż pozostaje w pamięci.

Nie posiada zapewne ani w części téj rutyny, pewności i elegancyi co p. Maleszewski, ale zato baczniej obserwuje naturę p. Anna Biłńska w swoim studyum portretowém, przedstawiającém na białém tle wizerunek kobiety w sukni granatowej, z lornetką w ręku. Pędzel artystki w dotknięciu bardzo jeszcze nieśmiały, wszakże natury pilnuje się wiernie. Drugi jój w podobnym rodzaju utwór, wyobrażający kobietę w czarnym stroju o rysach surowych, nie posiada już tych zalet.

Pan Biedroński wystawił „Królikowskiego w roli Garricka“ w komedyi „Doktor Robin.“ Aktor odtwarzający daną rolę, grający ją, wychodzi z właściwego sobie charakteru, żeby się całkowicie w naturę przedstawianej przez niego osobistości wcielić; znajduje się zatem w warunkach wykluczających stanowczo możliwość studyowania jego prawdziwego charakteru; czyli że, odmalowany jego wizerunek w tej lub owej roli, pozbawionym będzie cechy portretu; takiego mianowicie portretu, jak wyżej, mówiąc o p. Horowitzu, dałem o nim pojęcie. Wypada z tego, że i utwór p. Biedrońskiego nie jest portretem naszego znakomitego tragika; być nim nie może. Indywidualność jego znika tu w obec przyjętego przezeń na się charakteru. Koniec końców, nie wiadomo o co tu bardziej chodzi, czy o unieśmiertlenie postaci owego Garricka, czy o wizerunek Królikowskiego. Z tytułu utworu należy wnosić, że ani o jedno ani o drugie, albo raczej o jedno i drugie razem.

Nie wypada wprawdzie nigdy żądać od artysty nic innego nad to, co dać było jego zamiarem; przyznaję się jednak, że zamiar p. Biedrońskiego niezupełnie jest dla mnie jasnym. Trudno przypuścić, że chciał utrwalić na płótnie jedną z kreacyi zasłużonego artysty naszej sceny, bo to, w obec konieczności zawarcia się w jednym momencie, wychodzi poza środki malarstwa; o czém chyba artysta tak wytrawny jak pan Biedroński nie mógł nie wiedzieć. Sam zaś typ w rodzaju Garricka, gdyby mu o unieśmiertlenie go tak bardzo chodziło; stworzyłby łatwo sam, siłą własnej wyobraźni, na podstawie tych samych danych, na jakich go osnuł Królikowski, bez którego współpracownictwa w tym razie, już choćby tylko z artystycznej ambicyi, obejść się mógł doskonale. Nie podlega też wątpliwości, że portret naszego tragika (gdyby tu był głównym celem) wyszedłby bez porównania naturalniej a więc i korzystniej bez tych teatralnych akcesoryów. Nie zastanawiałbym się tak długo nad tym utworem, gdyby nie wzorowe istotnie jego wykonanie, gdyby nie szkoda wyłożonej pracy, która do osiągniętej ekspresyi pozostaje w odwrotnym stosunku.

Najwięcej mamy na wystawie, jak zwykle, obrazów rodzajowych. Szara powszedniość życia bieżącej chwili pochłania dziś najbardziej artystów, co jest zresztą w naturalnym związku z panującymi wśród nich dość powszechnie realnymi aspiracyami. W obec zdyskredytowanego dziś ideału, zamąconego o nim pojęcia, nie dziw, że tak chętnie przebywają myślą w sferze powszednich życiowych stosunków, bo tu przynajmniej spotykają się z prawdą, rzeczywistością, o którą się każdy z nich, czy chce czy nie chce, obciera, którą dobrze zna i w którą uwierzyć musi. Może to i lepiej, że zamiast gubić się w wątpliwych wartościach teoryach, zawrócili wprost do życia — do źródła, z którego sztuka wiezie swój rodowód i z którym nigdy zrywać nie powinna. Do życzenia byłoby jednak, żeby im w wyszukiwaniu obrazów życia i obyczajów, przewodniczyło więcej daru obserwacyjnego.

Bo owo życie powszednie, to dopiéro ruda; wzięte tak jak się w pierwszej lepszej nastęcza chwili, z brzegu, bez wyboru, nie może być zadaniem myślącego artysty, bo to redukowałoby jego twórczość do zera; a i praca jego, tak pojęta, nie miałaby żadnego celu, skoro bez jego pośrednictwa wszyscy na to życie własnymi mogą patrzeć oczami. Z téj rudy surowej musi on umieć wytopić szczerę złoto prawdy i piękna; i o tyle tylko staje się artystą godnym téj nazwy, o ile zadanie to pojmie i podołać mu potrafi.

Pełną garść tego złota rzucił nam p. Franciszek Eismond w obrazie zatytułowanym „Miłość macierzyńska.“ Widzimy na nim młodą wieśniaczkę w skali naturalnej, siedzącą przy kominie z pękiem włoszczyzny na kolanach i zajętą obieraniem kartofli. Robota nie przeszkadza jój odwrócić się z uśmiechem kochającej matki do małego, czarnowłosego bębna, który przystanąwszy na ławie, czepia się jój z tyłu rączkami za szyję i buzię z pieśczołą ku matczynym wyciąga ustom. Typ wieśniaczki, w koralach na szyi i chustce na głowie, wyborny, a co ważniejsza, pochwycony z sympatycznej, interesującej estetycznie strony. Artysta dowiódł tu, że prawda natury, choćby poszukiwana w dość poziomej sferze życia i obyczajów ludu, niekoniecznie idzie zawsze w parze z trywialnością i brzydotą, jak nas niektórzy skrajni realiści usiłują przekonać; że piękno znajduje się wszędzie, w życiu, w naturze, byle je umieć podpatrzeć, odczuć, uchwycić. Piękną bo téż istotnie jest owa hoża, rumiana wieśniaczka, w której szczerem uśmiechu i żartobliwem spojrzeniu, maluje się pogodny stan duszy kochającej, uszczęśliwionéj widokiem swego pieśczocha matki. P. Eismond rozmiłowany w sympatycznej scenie, którą za przedmiot swego pędzla obrał i do której bezwątpienia rzecz z żywej wzięł natury, nie szczędził pracy nad jego wykonaniem: pieścił się z nim formalnie. Ciało, traktowane z wielkiem poczuciem plastyki, odznacza się jedrnością i świeżością; z równem pojęciem rzeczy malowane są szczegóły ubioru i akcesorya, jak np. otaczające ją jarzyny, z których posiłek przygotowuje. Koloryt wdzięczny, spokojny i przedziwnie harmonijny, pozostaje w zgodzie z równie spokojnem oświetleniem, wolnem od wymyślnych optycznych efektów. Z wyborną zaś techniką idzie w parze prawda ekspresyi. Wszystko to składa się na szlachetną prostotę stylu, coraz rzadszą w obec panujących upodobań do kolorytowych kontrastów, którym zwykle towarzyszy pewne zaniedbanie rysunku i plastyki. Te zalety stylu, chociaż może trochę akademickiego, poczytuję za najcenniejszą stronę talentu artysty; dowodzą bowiem one, że nie idzie omackiem, lecz że mu w artystycznej pracy jasna świadomość celów przewodniczy. To najlepsza rękojmia na przyszłość, w której zapewne nieraz jeszcze zdarzy się nam jego utworami lubować.

Przeniesienie z życia na płótno pierwszej lepszej postaci, pierwszego lepszego epizodu bez znaczenia, bez głębszego estetycznego interesu, może być zadaniem ilustratora, ale nie malarza rodzajowego.

Technika, choćby najlepsza, to dopiero zewnętrzna strona utworu; sama nie zastąpi nigdy wewnętrznej wartości dzieła, polegającej na inwencji artysty i jego zmyśle spostrzegawczym—nie stworzy obrazu. Z dawniejszych utworów p. Juliana Maszyńskiego wyniosłem to przekonanie, że należy on do rzędu malarzy traktujących głębiej przedmioty rodzajowe, poszukujących w życiu i naturze takich motywów, które posiadają istotnie warunki obrazowej interpretacji i umiejących z pochwyconych rysów prawdziwy ułożyć obraz. Zdziwiły mnie też trochę ostatnie jego utwory, w których właśnie brak tej wewnętrznej, twórczej pracy artysty przedewszystkiēm uczuwać się daje. P. Maszyński, pozostając oczywiście pod wrażeniem odbytej do Algieru wycieczki, nakreślił kilka obrazów na miejscowēm tle etnograficznēm, jak „Handlarz zwierzyny,” „Posługacz w Algierze” i największy z nich, najstaranniej wykonany „Lew Marabut” (odznaczony drugą nagrodą konkursową), które uszłyby może jako objaśnienia do odpowiedniego tekstu, np. opisu życia i obyczajów tej afrykańskiej krainy, same atoli przez się obrazami życia i obyczajów nie są.

Artysta obraca się tu w świecie wyraźnie obcym sobie, znanym mu zaledwie zwierzchu. Artystyczną jego uwagę mogła uderzyć niejedna oryginalna scena, mógł on podpatrzeć tu i owdzie jaki interesujący motyw do obrazka, ale nie miał widocznie czasu wżyć się głębiej w miejscowe stosunki, dopatrzeć się prawdziwie charakterystycznych rysów tamecznego życia, braknie mu słowem jego znajomości. Dlatego w obrazach swoich tylko się po jego powierzchni prześlizguje, sam nie bardzo przekonany, i ztąd nie posiadając pierwszego warunku do przekonania innych.

Utwór rodzajowy na tle etnograficznēm osnuty, w podobnych wykonany warunkach, nie może obudzić większego estetycznego interesu. Luźne szkice, mające wartość zwykłych artystycznych notatek, w które się p. Maszyński niewątpliwie na miejscu zaopatrzył, nie wystarczyły mu nawet do odtworzenia z przekonywającą prawdą natury kraju, jego nieba, jego słońca, którego promienie nie mogą być przecie ani tak mętne, ani tak zimne, jak je artysta maluje i do jakich pod naszym północnēm przywykliśmy niebem. Gdyby też nie podpis, nie charakterystyczne ubiory ludzi, niktby się nie domyślił, że ma przed sobą obrazki z Algieru. A muszę dodać, że oprócz „Lwa Marabuta,” nie spotykamy się w nich nawet z właściwą p. Maszyńskiemu starannością roboty.

Już na innēm miejscu wyraziłem zdanie, że teatr wydaje się mi bardzo wątpliwj wartości źródłem natchnień dla malarzy. Zmuszony jestem powtórzyć tę uwagę z powodu obrazu p. Maszyńskiego pod tytułem „Serenada,” odtwarzającego znaną scenę z „Fausta,” tę mianowicie, w której dyabelski mentor mądrego doktora śpiewa przy dźwiękach gitary pod oknami Małgosi. Ten konwencyonalny Mefisto, tak jak się nam na obrazku prezentuje, w teatralnym stroju, z ste-

reotypowém czerwóném piórkiem u czapki, z oczyma wywróconemi w górę i parszający śmiechem szyderczym, dobry być sobie może w operze, przy świetle kinkietów i na tle teatralnych dekoracyi, gdzie wreszcie ta zewnętrzna jego strona, jak wiadomo, stanowi rzecz pod rządą. Ale w obrazie to nie wystarcza. Mielizbyśmy sobie tłómaczyć brakiem inwencji i ubóstwem wyobraźni tę skłonność do czerpania motywów z przedstawień teatralnych, która tém dziwniejszą się wydaje wobec możności czerpania ich bezpośrednio z życia, z natury? Czy podobny utwór osnuty na wrażeniach teatralnych i dlatego z góry nie najlepiej do siebie uprzedzający, może być okupiony zaletami techniki, któremi się obraz p. Maszyńskiego istotnie odznacza? — Wątpię.

Stańmy przed wabiącym świeżością kolorytu obrazkiem p. Ludwika Kurelli „W parku.“ Artysta przenosi nas w tak ulubione przez niektórych naszych malarzy rodzajowych czasy rococo. W wspaniałym parku pełnym słonecznych blasków i cieni, kilka wykwintnie wystrojonych pań otacza stolik, na którym jedna z nich, wodząc palcem po rozłożonych kartach, czyta z nich swym ożywionym towarzyszkom kabałę. W głębi wiodą okazałe marmurowe stopnie na taras pałacowy, otoczony balustradą, z poza której wychyla się jakiś jegomość w pudrowanej peruce, i przez przyłożone do oka szkielecko z zaciekawieniem się owym paniom przypatruje. To już i wszystko.

Rzecz malowana jest z wyszukaną elegancją, dobrze odpowiadającą treści obrazu, przedstawiającego jedną z tych pustych chwil, z jakich splatało się całe owe czeze, nieszczerze, skrępowane wymaganiami etykiety, upływające wśród zbytków i próżniactwa życie wykwintnych sfer towarzystwa z epoki Ludwika XV-go. Obraz p. Kurelli może zabawić oko na chwilę, ale mdły wogóle w ekspresyi i głębszego interesu pozbawiony, nie sprawia silniejszego wrażenia estetycznego. Artysta posiada niewątpliwie dobrą szkołę, wykończa swoje obrazy z pojęciem rzeczy, sumiennie, ale mu to zarzucić muszę, że nigdy jakoś nie unie zdobyć się na ciekawszy, bardziej do myśli przemawiający przedmiot. Tak jest właśnie i tym razem.

Do charakterystyczniejszych i bliżej nas zajmujących swoją treścią obrazów rodzajowych, należy utwór p. Tadeusza Rybkowskiego „Targ w Przemyślu.“ Artysta wcale nieźle uwydatnił w nim fizjognomię polskiego miasteczka ożywionego jarmarkującymi wrzaskliwie tłumami ludu. W głębi widać rynek ze studnią pośrodku, otoczony szeregami charakterystycznych kamienic, na bliższych planach rozpięte budy płócienne, wozy, obok których rozłożyły się przekupki z ogrodowiznami. Snują się tu i owdzie z przywiedzionemi na sprzedaż krowami i końmi włościanie, wśród których uwijają się różnego stanu nabywcy, a zwłaszcza téż nieodzowni żydkowie; przez rynek pędzi, wzbijając tuman kurzu, szlachcic w najtyczance ze swoją połowicą, przybyły z okolicy, z której zwykle śpieszą na targ do miaste-

czka nietylko ci, których tu chęć kupna lub sprzedaży sprowadza, ale i ci co nic nie mają do sprzedania i nic kupić nie zamyślają—ot tak sobie, z nałogu włóczenia się po jarmarkach.

Zimny koloryt, posępne niebo, wieją na nas jesiennym chłodem z obrazu, nie rozweselonego blaskami słońca. Figury wogóle dosyć charakterystyczne, niezłe nakreślone, niekiedy nawet możnaby je nazwać typowemi; nie braknie też szczegółów, dowodzących że malarzowi nie zbywa na zmyśle obserwacyjnym. Ale wszystko to się jakoś zanadto z sobą miesza, zaciera; żaden epizod, żadna grupa lub postać nie wysuwa się z tego tłumu, nigdzie się zwawsza nie koncentruje akcja, tak że widz przebiega okiem obraz od brzegu do brzegu, ale się na żadnym dłużej nie zatrzymuje punkcie, bo takiego dominującego estetycznie punktu w obrazie niema. Ta nieco nużąca jednostajność wynika z wad kompozycji. Artysta nie rozminął się z realną prawdą natury, odtworzył on wiernie widok, jaki istotnie przedstawiają tego rodzaju targi po miasteczkach. Tego wszakże niedość. Należało koniecznie być trochę więcej artystą i nie poprzestając na roli fotografa, w interesie estetycznej ekspresji zaakcentować nieco dobitniej pewne szczegóły, rysy, podnieść ich znaczenie w obrazie, choćby tylko pod czysto formalnym względem, i zamiast tego chaotycznego nieco widoku—stworzyć istotny obraz.

Podobne uwagi następują się mi wobec obrazu pana Ludwika Wiesiołowskiego „Jałmużna w klasztorze“ (konkursowy). Artysta zgromadził w swoim utworze dużo charakterystycznych sylwetek, dobrze je zgrupował, zajął, ożywił, ale popełnił ten sam co p. Rybkowski grzech przeciwko kompozycji, że traktując obraz od początku do końca z dziwnie jednostajną równością, obdzielając wszystkie jego szczegóły jednaką starannością, nie wyróżnił w nim żadnej postaci lub grupy, na żadnej z nich nie skupił więcej estetycznego interesu.

Jest to obraz osnuty na stosunkach włoskich, przedstawiona zaś w nim scena, jak to przypominają sterczące w dali ogotocone z liści drzew konary, ma miejsce w zimie, która i pod włoskiem niebem potrafi dokuczyć biedakom, nie mającym za co kupić łyżki gorącej strawy. To też widzimy ich tu cisnących się tłumnie do furty klasztornej, w której na progu ukazuje się dwóch mnichów, obdzielających ich pożądanym posiłkiem. Są tu i starzy i młodzi, kobiety i dzieci, każdy wyczekuje kolei, a każdemu pilno. Ci co już zdołali blaszanki swe napełnić, zaspokajają apetyt z większą lub mniejszą chciwością, stosownie do różnych indywidualnych usposobień, w czym artysta znalazł sposobność do uwydatnienia różnych charakterów i trzeba przyznać, wcale się niezłe z zadania wywiązał. Wykonanie umiejętnie i staranne w szczegółach, ale, jak już zauważyłem, zbyt flegmatycznie jednostajne i to główny powód, że obraz nie sprawia takiego wrażenia, jakie sprawić powinienby ze względu na dobrze wystudjowane sylwetki i charaktery, gdyby artysta potrafił się zdobyć na wię-

cój temperamentu w traktowaniu przedmiotu, i ekspresję obrazu w jednym głównym ogniskowałam momencie. Taki moment, jak wynika z natury samego przedmiotu, powinnyby stanowić owi dwaj udzielający jałmużny kapucyni z najbliższém swém otoczeniem; tymczasem właśnie są to figury z całego obrazu najmniej bodaj wyraziste, najmniej interesujące. To zaniedbanie musiało osłabić wyrazową stronę obrazu, zkażdą nie bez zalet.

Do malarzy wyróżniających się talentem należy p. Pantaleon Szyndler, którego kilka utworów mamy na wystawie. Artysta opanował zupełnie materjalną stronę malarstwa — techniką, co jego pędzłowi nadaje cechę pewności i śmiałości; przytem posiada bardzo piękny, ciepły koloryt. Sądzę, że przy tych zaletach technicznych i przy prawdziwie artystycznym temperamencie, wyrażającym się w traktowaniu wziętych przez niego za przedmiot pędzla przedmiotach, p. Szyndler mógłby bardzo cenne tworzyć obrazy i nie też nie wzbrania spodziewać się, że nas takimi obrazami obdarzyć nie omieszka. Z tych jednak utworów, które dotąd widzieć mi się udało, możnaby wnioskować, że artyście temu nie dopisuje inwencya.

Wyborne malowane studjum nagięj kobiety, świetne w kolorycie i pełne plastycznych powabów, jest powtórzeniem figury z „Dramatu w seraju“, chociaż, ściśle rzecz biorąc, i ów „Dramat w seraju“ sprawiał wrażenie doskonale namalowanego studjum nagięj kobiety, do którego jakby dopiero później artysta dorobił odpowiednie tło i dodał kilka figur, mających brać niby udział w akcji owego fikcyjnego dramatu, — i prawdopodobnie nie inna była geneza powstania wspomnianego obrazu. Ale, bądź co bądź, tak tam jak tu, owa obrócona do nas plecami kobieta wykonana jest wyborne.

Inny obraz tegoż artysty p. t. „Odaliska“ przedstawia leżącą niedbale, nurzającą się śród kwiatów młodą, piękną, rozkoszną niewolnicę, rozleniwioną bezmyślném życiem haremu. Igra ona bezwiednie ręką ze swym naszyjnikiem, pogrążona w marzeniu, malującym się w jęj omdlałych, przysłoniętych ciemnymi rzęsami oczach. Obraz ten ma wszelkie cechy utworu fantazyi, której puszczając swobodnie wodze, artysta często dosyć lubi się wdzierać w tajemnice haremów. Czyżby brakło przedmiotów bliższych nam, żywotniejszych?

Wspomnę jeszcze o trzecim utworze p. Szyndlera, wyobrażającym „Włoszkę z okolic Neapolu“ — młodą dziewczę wiejskie na tle górskiej natury, zasłaniające się ręką od słońca, którego kilka promieni pada na jęj figurę, podnosząc jęj malownicze piękno. Jest to obraz skończony w sobie, ułożony wdzięcznie, i posiadający wszystkie zalety wytworczój techniki tego artysty.

Pan Cypryan Dylczyński wystawił obraz p. t. „Przy zachodzie słońca“, w którym owe zachodzące słońce oświecła swemi ostatnimi, pomarańczowemi promieniami strzelca całującego dziewczynę w uroczém ustroniu, na urwistym brzegu nad wodą, w której odzwierciedla się powlekająca zachodnie niebo czerwona łuna. Pomysł wię-

cję ekscentryczny niż zajmujący, zwłaszcza wobec bardzo drobiazgowego, wypieszczonego, czysto konwencyjonalnego wykonania, przypominającego staranne chromolitografie.

Doskonałą techniką jak niemniej prawdą realną zwraca na się uwagę obraz p. Alfreda Kowalskiego „Jesienią“, odznaczony pierwszą nagrodą na ostatnim konkursie. Kompozycja tu żadna, autor ograniczył się do roli biernego kopisty natury, kładąc główny nacisk na charakter naszej słotnej, posępnej, szarzej jesieni, której fizyognomią, trzeba mu to przyznać, doskonale potrafił uchwycić. Artysta prowadzi nas na brudną uliczkę małego miasteczka i stawia w otoczeniu, potęgującym o wiele niepowabne barwy jesieni. Para kobiet, wysiadłych tylko co z bryczki, która zatrzymała się przed brudnym, nudnym, ciągnącym się przez całą szerokość obrazu parkanem, i jakiś żydek pęjsaty, brnący w kałużach błota, stanowią całe ożywienie obrazu. Ekspresya znakomita, jakkolwiek ogranicza się wyłącznie do zewnętrznej strony obrazu — mianowicie do kolorytu, którego środki artysta doskonale w tym celu wyzyskał. Ogólne jednak wrażenie, już ze względu na samą treść utworu, jest niebardzo wdzięczne; widz podziwiać musi wyrazową prawdę w owych szarych, jednostajnych, brudnych tonach jesiennego obrazu, ale chętnie się od niego odwraca, szukając wrażeń żywszych, sympatyczniejszych. Człowiek bowiem ma tej szarzej powszedniości życia ażnado w najbliższym swoim otoczeniu, i zmuszony ustawicznie na nią patrzeć, ciągle się o nią obcierać, niewa chwile znużenia, w których swemi pragnieniami rad w wyższe ulatuje sfery; dlatego-to stworzył sobie świat sztuki, świat idealny, w którym szuka urzeczywistnienia swych pragnień i ideałów, i orzeźwia się ich widokiem. Zalet niepospolitych obrazowi p. Kowalskiego odmawiać nie myślę, — ale, są to dopiero zalety dobrego tła, które artysta, nie zchodząc ze stanowiska biernego obserwatora, z natury skopiował. Gdyby wystąpił w roli bardziej twórczej, gdyby np. na owym tle rzucił jaką interesującą scenę, ożywioną, dajmy nato odrobiną humoru, — posępne tło obrazu otrzymałoby przez to pożądaną przeciwwagę estetyczną, ekspresya wypogodziłaby się, bez żadnego uszczerbku wyrazowej prawdy.

Cechy przedmiotowego traktowania motywów posiada również obraz p. t. „Rankiem w niedzielę“, lubo jego twórca, p. Antoni Piotrowski, staranniejszy od p. Kowalskiego w wykończeniu szczegółów, nie dorównywa mu w szerokiej technice pędzla i ekspresji kolorytu. Obraz przedstawia widok, z jakim w każdą niedzielę można się spotkać na pierwszym lepszym gościńcu: po szosie pędzi w bryczce jakiś pasażer, za nim i przed nim gromadki włościanek i włościan, ubranych odświętnie, dążą do kościoła na nabożeństwo. Prawdy w tym obrazie dużo: rzecby można, że artysta o nią się jedynie ubiegał, tak dalece, że aby jej nie uchybić, nieomieszkał nawet powtórzyć z całą wiernością kopisty kamieni dróżniczych i garnirujących drogi bite pryzmatycznych kupek szabru. Nie można też obrazowi odnówić i pewnych

rysów charakterystycznych, obyczajowych. Ale, taki sam widok można by zdjąć z natury za pomocą fotograficznego aparatu... śladów wewnętrznej pracy artysty, pracy istotnie twórczej, dopatrzeć się w nim nie zdołałem.

Już-to najczęściej spotykamy obrazy rodzajowe, w których artyści ograniczają się dobrowolnie do takiej biernej roli obserwatorów, notujących z jednaką skrupulatnością wszystkie bez wyboru nasuwające się im na oczy szczegóły. O kompozycyi w podobnych utworach, naturalnie, nie może być mowy; cała ich artystyczna wartość zawisła od prawdy przedmiotowej, realnej, chociaż i ten cel nie każdemu udaje się osiągnąć. Tak np. obrazek p. Wojciecha Piechowskiego „Okienko,” dobrze oddanemi złudzeniami optycznymi wnętrza pokoju, do którego się przez franki parę promieni słonecznych zakradło, istotnie może zainteresować. Gdy znów obraz p. Antoniego Kozakiewicza: „Grzybobranie,” malowany dość konwencyjonalnie, prawdą realną nie uderza: kilka kobiet wiejskich zbierających w lesie grzyby, dróżka na skraju, po której dąży myśliwy z psem, i jakaś jejmościanka z parasolką—wszystko to razem wzięte niewiele mówi.

W podobnie konwencyjonalny sposób wykonane są utwory p. Ryszarda Oknińskiego: „W Kniei” i „Szczęśliwa chwila.” W pierwszym, przedstawiającym drogę wiodącą przez las, a na niej kilka osób należących do myśliwskiego orszaku pładującego po kniei, zamato powietrza, brak perspektywy. W drugim, dwoje młodych ludzi kołysze się na łódce sunącej po spokojnej powierzchni jeziora, rozmarzonych uroczystą ciszą dzikiego ustronia i słodkiem sam na sam, z którego kawaler, zresztą opasły i wciąż z pozorów na zdobywcę serc niewyglądający, dość swobodnie korzysta: w czém, co prawda, jego uroczą towarzyszką, tulącą głowę do jego piersi, bynajmniej przeszkadzać mu nie myśli. Krajobraz tworzący tło tej sentymentalnej sceny jest tu ze wszystkiego najlepszy.

Parę komicznych rysów zawiera obraz „W gabinecie brata,” pędzla p. Juliusza Żubra. Dwie panienki wsunęły się pod nieobecność brata do jego gabinetu, rozparły się w fotelach przed stolikiem, przy którym, wnosząc z nakrycia i niesprzątniętych butelek, niedawno raczył się śniadaniem pewno w wesołej jakiejś kompanijce. Rezolucyjne panny gospodarują jak u siebie, śmielsza z nich zapaliła nawet papierosa, używają zupełnej swobody, której im nikt nie zakłóca. Jako obraz rzecz obmyślana niezłe, szkoda tylko że dobry pomysł nie znalazł trochę dzielniejszego poparcia w technice artysty: powiększyłoby to znacznie jego artystyczną wartość.

Dobrze też ułożył p. Stanisław Grocholski swój obraz „W kwiecie wieku,” wystawiający młodą kobietę z piętnem smutku na czole, siedzącą na łóżku chorej córeczki, przy dopalającym się w blaszanym lichtarzu ogarku świecy, w izdebce, której ubóstwo z nędzą graniczy. Artysta wlał w swój utwór dużo szczerzego uczucia, ale w technice nie posiada jeszcze pożądaney biegłości, znać to po lekkiém dotknięciu

pędzla. Należało też koniecznie obrany przedmiot w szczuplejszych zawrzeć ramach, nie rozwałkowały go na płótnie tak obszerném, bo tego rodzaju sceny tracą na tém raczej niż zyskują.

„Stanisław August w Petersburgu,” obraz wykonany przez p. Jana Moniuszkę, upoważnia do zrobienia autorowi uwagi, ażeby, zanim się zabierze do tworzenia obrazów, obeznał się lepiej z zasadami perspektywy liniowej i nie malował walących się kominków.

Pozostaje mi rozejrzeć się w widokach natury, w interpretacji naszych malarzy, między którymi niejedyn prawdziwym odznacza się talentem. Do nich przedewszystkiem zaliczyć muszę p. Ludwika Benedyktowicza. Przedmiotem jego dużego obrazu jest „Bór sosnowy,” rysujący się na tle letniego, mocno błękitnego nieba, po którym suną pospolite, szaro-białe obłoki; patrzymy nań w chwili zbliżającego się ku zachodowi słońca, którego ukośne promienie oblewają czerwonawą łuną rosochate korony bliższych sosen i powykręcane dziwacznie ich konary. Artysta wyborne odtworzył ten monument: jego obraz odświeża żywo w pamięci widziane nieraz podobne bory i w takiém samém malowniczym oświetleniu. Każdy też musi przyznać p. Benedyktowiczowi głębokie przejęcie się charakterem swojskiej naszej przyrody i dar malowania jęj spokojnego uroczystego piękna; jego obraz, chociaż na tak pospolitym osnuty motywie, posiada coś rozmarzającego; patrząc nań, zdaje się, że oddychamy balsamiczném, nasycóném wonią żywicy powietrzem naszych borów sosnowych. Szerokie, nie wolne od pewnej nawet brawury traktowanie, cechujące pędzel tego malarza, stanowi jeden z charakterystycznych rysów jego artystycznej indywidualności.

Nie gorszym od niego tłumaczem przyrody jest p. Władysław Malecki, posiadający w wysokim stopniu dar odczuwania jęj wyrazowego piękna, czego najlepiej dowiódł w obrazie swoim „Nad jeziorem.” Na płaskim, bagnistém, postrzępioném wybrzeżu widać stadko sarn, które zwabiła z kniei na brzeg jeziora chęć ugaszenia pragnienia; obraz bowiem przedstawia będący na schyłku pogodny dzień jesienny, blade słońce zbliżyło się już do widnokręgu i lada chwila utonie za nim. W szarym, nieco chłodnym tonie obrazu czuć zbliżający się zmierzch; natura, która straciła już żywe barwy wiosenne, zdaje się cała oddychać świeżością i wilgocią, a spokojne zwierciadlane fale jeziora migocą ostatniemi blaskami słońca. Z całego widoku wieje jakaś uroczysta, pełna melancholijnego wdzięku cisza gotującej się do spoczynku natury. Powiedzielibym, że ta wyrazowa strona utworu p. Maleckiego góruje nawet nad prawdą realną, przedstawiającą nieco do życzenia.

Pan Walery Brochocki, znany ze swych czarujących obrazków natury, zazwyczaj skromnych wymiarów, posiada także na wystawie widok „Z nad brzegów Proсны;” wszakże tym razem artysta nie dorównał ani prawdą szczegółów ani wyrazowém pięknem dawniejszym swoim utworom. Obcięty u góry, pozbawiony niemal nieba, tego na-

turalnego dopełnienia każdego widoku natury—obraz jego przypomina zwykłe studia z natury, w jakie artyści podczas wycieczek letnich zaopatrują swe teki i w których natura traktowana bywa epizodycznie, ułankowo. Za skończony obraz utworu p. Brochockiego wziąć nie można. Chociaż, jak na studyum, wykonany jest zbyt powierzchownie—zamało w nim prawdy.

Bogaty motyw wziął za przedmiot pędzla p. Aleksander Świeszewski, bo przedstawia nam uroczę wybrzeża wyspy Capri, w czarodziejskiem oświetleniu zachodzącego słońca, które powleka czerwoną, łuną majestatyczne skały Tarelioni, zanurzone stopami w ciemnomodrych, połyskujących wszystkimi barwni tęczy falach zatoki neapolitańskiej. Artysta dzielnie włada pędzlem, posiada technikę wytworną i odczuwa pigkno przyrody, ale obrazowi jego, chociaż tak efektownemu, zarzucić muszę wykonanie konwencyonalne, szablonowe. Widać z tego, że nie bezpośrednio z natury swój obraz malował, że szkice, któremi się posługiwał, nie musiały być bardzo dokładnymi, nie wystarczały do odświeżenia w zupełności wrażeń artysty, które czas nieco zatartł w jego pamięci.

Naturę słonecznej Italii wybrał téż p. Henryk Cieszkowski za przedmiot do obrazu, atoli jego motywa możnaby nazwać ubogimi względnie do obrazu p. Świeszewskiego. Jest to widok „Z kampanii rzymskiej,” której równa płaszczyna, przerzięta małą rzeczką, ciągnie się jak okiem sięgnąć, zamknięta na horyzoncie górami. Kraj-obraz, lubo malowany konwencyonalnie, odtwarza wiernie tęskny, monotony charakter okolicy.

Na wyrazową stronę kładzie głównie nacisk w swych krajobrazach p. Roman Kochanowski, ku czemu posługuje się nietyle charakterem samych motywów natury, ile środkami kolorystycznej ekspresji. Właśnie dlatego samego powinien unikać wielkich płócien, których nie ma czém należycie wypełnić, jak np. w obrazie, przedstawiającym „Wschód księżycy,” którego cała treść ogranicza się do płynącego krętym łozyskiem potoku, zarzuconego na nim mostku i kilku chatek na brzegu. Dopiero oświetlenie księżycy, którego błada tarcza wychyla się zpoza dachów chatek, połyskująca w półmroku wieczornym powierzchnia wody i wogóle nieźle oddane złudzenia perspektywy powietrznej — nadają mu estetyczny interes. W podobny sposób pojęty i wykonany jest drugi „Krajobraz” tegoż artysty, również duży i nielepij wypełniony, ale tak samo jak powyższy nie pozbawiony pewnej wyrazowej siły, osiągniętej głównie z pomocą kolorystycznych efektów. Dzikie zarośla nad spokojną powierzchnią jeziora, porosłą u brzegów łożyną i pokrytą zieloną pleśnią, z lewej strony otwarty widok na pole, nieopodal brzegu paru rybaków w łódce—to wszystko. Ale artysta wybrał dla swego obrazu chwilę zapadającego zmroku, na którego tle żarzy się w głębi zaczerwienione po zachodzie słońca niebo, przeświecające malowniczo przez gęszcze drzew i powiększające poure wrażenie toni u stóp zarośli, pogrążonej

już zupełnie w ciemności nocy. P. Kochanowski zanadto jednak polega na wyrazowej stronie swych obrazów, zamało natomiast troszczy się o dobre wystudowanie natury w szczegółach, co właśnie nadaje im piętno grubej, obliczonej na efekt dekoracyjny roboty.

Utalentowany akwarelista p. Julian Fałat, który pomimo ubóstwa środków, jakimi rozporządza technika farb wodnych, umie nadać swemu kolorytowi energią i głębokość, wystawił „Widok jeziora Świtez na Litwie.” Gładką powierzchnię jeziora zastania w znacznej części obalone i zanurzone konarami w wodzie drzewo, podmyte snąc falami; w dali szarzeją nadbrzeżne puszcze, a po niebie suną białe, postrzępione wiatrem obłoki. Technika farb olejnych, pozwalająca osiągnąć wyższy stopień ekspresji, nadaje się bez porównania lepiej do malowania widoków natury, mianowicie do odtworzenia złudzeń perspektywy powietrznej i efektów oświetlenia: pod tym względem akwarela nigdy jój sprostać nie zdoła. Inną też miarę sądu należy stosować do oceny artystycznej wartości utworu p. Fałata, w którym właściwa akwareli lekkość szkicowej roboty łączy się z poczuciem prawdy i zaletami przejrzystego a nie pozbawionego siły kolorytu.

Na zakończenie jeszcze słów parę o rzeźbie.

Od pewnego czasu ściąga na się uwagę na wystawie „Gladyator” p. Piusa Welońskiego w odlewie z brązu; dzieło, o którém z wielkimi odzywano się pochwałami, ogłaszając je niemal za arcydzieło polskiego rzeźbiarstwa. Utwór utalentowanego artysty posiada istotnie wiele zalet: figura dobrze stoi, ruch ma doskonały, pełen ekspresji, której wybornie też odpowiada wyraz twarzy idącego na śmierć szermierza z formułą na ustach „Ave Caesar, morituri te salutant,” którą autor wrył na podstawie figury; ale, koniec końców, „Gladyator” p. Welońskiego nie stoi na wysokości zrobionego mu rozgłosu. Figura wogóle jest zakrótką, w ustosunkowaniu nóg do jój wysokości, artysta rozminął się z zasadami proporcji—są one także zakrótkie. Razi przytém brak harmonii między wyrazistą i kościstą twarzą, suchymi muskularnymi ramionami i podobnie stylizowanym torsem z jednej strony, a zaokrąglonemi miękko, pulchnie, wypchanemi podskórnym tłuszczem, zbyt grubemi udami, niemającymi w sobie nic z muskularnej elastyczności, cechującej tego rodzaju szermierzy. Wygląda on też tak, jakby nie na swoich stał nogach. Pomijam już brzydkie stopy. P. Weloński nienajszczęśliwszy zrobił wybór modelu, któremu na gladyatora kazał pozować; wystudował wprawdzie bez zarzutu naturę, jaką miał przed oczyma, ale też powtórzył wiernie błędy oryginału, których skorygowanie powinno być obowiązkiem artysty. Rzeźbiarz bierze zwykle naturę za model—jest to konieczne do dobrze wywiązania się z zadania; ale wyradza się ztąd często nieporozumienie, że artyści uważają za naturę pierwszy lepszy indywidualny, partykularny jój okaz, odbiegający mniej lub więcej od zasadniczych norm prototypu, a jak w niniejszym przypadku bardzo nawet niezadawalający.

Na ostatni konkurs Towarzystwa zachęty sztuk pięknych p. Teodor Rygier nadesłał figurę z marmuru, wyobrażającą Rzeźbiarstwo, w którym-to celu zaopatrzył ją w dłuto i młotek. Ale udrapowanie figury jest wielce nieartystyczne, krępuje ono swobodę członków, wytwarzając przytém nienaturalne, nieodpowiadające ich ruchom motywa. Dość też zaniedbaną mi się widzi i ogólna sylweta, tak wielkiego wogóle znaczenia w każdym posągu. Szczegóły te świadczą, że mamy tu do czynienia z utworem traktowanym przez artystę lekko, pobieżnie, i niedorównywającym cennym dziełem jego dłuta, któremi na sławę zarobił.

Dobrze wystudyowaną plastyczną prawdą natury odznacza się figura naturalnej wielkości w odlewie z gipsu, przedstawiać mająca „Rozbitka,” której autorem jest p. Ludwik Kucharzewski. Nie ustępuje jój pod tym względem „Giermek,” który, żeby się z więzów wyzwolić, wraz z niemi nogę sobie toporem odrębuje—figura naturalnej wielkości, w odlewie z gipsu, będąca dziełem p. Stanisława Celińskiego, któremu za model na pomnik Mickiewicza, nadesłany na ostatni konkurs, przyznaną została druga nagroda.

Traktowana w sposób rodzajowy i naturalistyczny olbrzymia figura mężka p. Jana Wojdygi (w odlewie z gipsu), znamionuje nieobeznanie się artysty z właściwem zadaniem rzeźby posągowej, dla której obcemi muszą pozostać tego rodzaju malarskie efekta, nad których osiągnięciem w swój figurze artysta pracował.

Wspomnieć jeszcze muszę o drobnej, niepozobawionej wdzięku figurce, wyobrażającej uśpioną prządkę, p. Stefana Jarzymowskiego, tudzież grupę z dwóch również drobnych figur złożoną, zatytułowaną „Polonez,” p. Ostrowskiego; oba utwory należą do zakresu t. zw. rzeźby rodzajowej, traktowane są naturalistycznie, zwłaszcza też owa para tańcząca poloneza. W utworach tego rodzaju piękno plastyczne i rytmiczność linii, opisujących kontury, schodzą na plan ostatni, cały zaś ich interes artystyczny skupia się w trafnej charakterystyce akcji, jakoteż malarskich lub komicznych efektach. Z rzeźbą właściwą, pojętą w stylu szlachetnym, mają one niewiele powinowactwa.

Konkursowi na pomnik Mickiewicza, w którym wzięty udział prawie wszystkie wybitniejsze nasze siły rzeźbiarskie, wypadnie zapewne przypisać, że w ostatnich czasach żadne wyższej wartości dzieło dłuta na wystawę nie przybyło.

Hessy O'Grady.

P O W I E Ś Ć O R Y G I N A L N A,

OSNUTA NA TLE STOSUNKÓW OBECNYCH W IRLANDYI *).

NAPISAŁ

D z i a ł o s z a.

XIV.

Szlachetna ¹⁾ pani Gandy spoczywała na kanapie w swoim saloniku, umebLOWANYM niedawno przez pp. Maple i S-kę, podług jej własnych, mozolnie skombinowanych rysunków. Pani Gandy odwiedziła, pod koniec ostatniej jesieni, swych krewnych w Londynie, liczących się do arystokracji. Czyniła to z obowiązku co dwa lata; między zaś jedną wizytą i drugą oczekiwała w Tramore wzajemnych odwiedzin tychże szlachetnych członków rodziny. Żaden z nich się nie ukazywał. Najbiedniejsi kuzynowie i bezposażne kuzynki tłómaczyły się odległością miejsca. Inni składali winę na podagrę, która w irlandzkim klimacie wszelką przyjemność zakłóca i bezustanną dręczy torturą. Inni, cierpiący na serce, nie śmieli życia statkom powierzyć parowym i żaglowym. Siostry rodzone nigdy się na odwiedzenie „kochanej Horacyi“ zdobyć nie mogły: dwie były zamężne, uszczęśliwione macierzyństwem, a zatem pełne trosk około ząbków, szczepienia ospy, rozmaitych cierpień i konwalescency; najmłodsza siostra, pozostająca w stanie panińskim, przyjęła pieczę nad zdrowiem złamanego wie-

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. marzec b. r.

¹⁾ Titre de courtoisie córek baronetów.

kiem ojca, osmdziesięcioletniego sir Roberta Craigenfort. Brat młodszy spędzał kawalerskie życie między Grenlandyą i Przylądkiem Dobrej Nadziei; starszy — był posłem w parlamencie, wybitnym między filarami toryzmu, a zatem narażonym na Bóg wie jakie niebezpieczeństwa w barbarzyńskiej Irlandyi.

Rodzina przyjmowała szlachetną Horacyą z otwartemi rękami w Londynie i w Craigenfort: przepomniała jęj „waryacki“ wybór męża, przestała oddawna wyrzucać jęj poniżenie swęj osoby, swych afektów i prospektów; rodzina darowała Horacyi błąd i winę, zapomniała o wszystkiém — a nawet o mężu Horacyi, plenipotence kuzyna, lorda Grosvenor. A ponieważ Horacya była usposobienia nader tkliwego i słodkiego, przeto nie chciano jęj martwić kategoryczną odmową zaproszeń do Tramore: ani nie było tego najmniejszej potrzeby! Szlachetna pani Gandy spędzała każdy drugi sezon (aż do późnej jesieni) w łonie familii, przyjmowała ze słodkim i cokolwiek smutnawym uśmiechem wszelkiego rodzaju „zobaczmy“ — „bardzo mi będzie trudno“ — „czemu nie... owszem“ i t. p. gotowe odpowiedzi... i wracała do Tramore. Dwa pokoje gościnne z gabinetami były w czasie jęj obecności w pałacu zawsze gotowe dla „gości z Anglii.“ Umeblowane były ad hoc; przypominały gościnne pokoje w Craigenfort. Służba je między sobą przezwala po swojemu: „Expectation“ i Disappointment.“

Wycieczki kapitanowej odbywały się regularnie. Nawet przyście na świat jedynaka, Roberta, nie przerwało ich — przed osmnastu laty — ile że Robert, który od niemowlęctwa był z natury cichym, wspaniałomyślnym, nieco nawet „miękkiego“ matczynego serca, urodził się w jesieni tramorskiej. Ztąd zwykła kapitanowa mawiać, że Bercio jęj nigdy nie sprawił najmniejszej przykrości, nigdy nie zawiódł w niczém — nigdy! ani przed ani po przyściu na świat.

Wycieczki kapitanowej trwały z początku po kilka tygodni; później zwykły się przeciągać; ostatniego roku, kasztelanka tramorska spędziła po tamtej stronie cieśniny pół lata i całą jesień. Kapitan nie protestował. Rozumiał przecież, że utrzymywania ścisłych stosunków z rodziną nie mógł żonie odmówić. Wymagały tego najprostsze konwenanse, wymagało usposobienie Horacyi, wymagała przyszłość Roberta. Mówiono cichaczem, że niemniej zrozumiała tkómaczyła te długie nieobecności żony mężowska przeszłość... Jakkolwiekbądź, w ciągu lat dwudziestu familia szlachetnej Horacyi Gandy rozrosła się i rozmnożyła, rozsiadła się w różnych hrabstwach Anglii, Walii i Szkocyi. Ażeby choć przelotnie zwiedzić poważniejszych jęj i znakomitszych członków, na to potrzeba było przecież czasu!

Robert chował się i kształcił w Eton, jak przystało na chłopaczka przyzwoicie urodzonego Robert był słabowitym: matka nie zachęcała go do przepędzania wielkich wakacyi w wilgotnej Irlandyi; od dwunastego roku, Robert ani postał w Tramore. Był ulubieńcem dziadka Craigenfort, któremu całemi godzinami czytywał naprzemian

„Timesa“ i Hansard'a „Parlamentarne Debaty.“ Pieściła go ciocia Craigenfort, z którą każdego wakacyi odwiedzał chorych i ubogich okolicy. Familia go nazwała „biednym Robertem“ (nazwiska ojca nikt nie wspominał) i polecała mu mieć staranie o zdrowie, nie zaziębiać się, trzymać się ciepło, nie biegać szybko po schodach, jeść surowe befsztyki i zażywać chininę z rozczynem d-ra Bravais.

Szlachetna pani Gandy spoczywała na atlasowej, gorąco-żółtej barwy kanapce. Arcykapłan estetyki salonowej, Oskar Tame (którego londyńskich prelekcji chciwie słuchała kapitanowa), mógłby w tym saloniku nowe znaleźć natchnienia. Przemagał tu kolor żółty „starego złota“ w atlasowych, z egzotycznymi deseniami obiciach mebli. Salonik był niemi przepiękny; chodzić tu niepodobna, ani siedzieć nawet ani leżeć: stać chyba, a wtedy chcąc niechcąc trzeba by się o coś oprzeć, co z ręcznie pod łokieć lub rękę się nasuwało; przedewszystkiem zaś, wypadało tu... spoczywać: kształty fotelików, kozetek, otomanek umodelowała sztuka jedynie dla przyjęcia estetycznie ułożonych kształtów spoczywających. Łatwo pojąć, jak głębokich refleksji i studyów nastroczały zaproszenia kapitanowej „to drink tea at five o'clock!“ Zaproszenia te były dla wielkiego świata tramorskiego tém, czém dla londyńskiego, w czasie sezonu, są fioletowe bilety lorda szambelana, oznajmujące zaszczyt wysoki: „Jéj królewska wysokość księżna Walii przyjmuje w czwartek, w imieniu Najjaśniejszej Pani, w Marlborough-House. Herbata w ogrodzie o 5-éj.“ W imieniu „krwi,“ przyjmowała w Tramore szlachetna Horacya Gandy. Jéj bursztynowo-zielonkowate bilety stanowiły do pewnego stopnia dyplomy... jeśli nie szlachectwa, to szlachetności; były łącznikiem pomiędzy ambicją kolonialną i dumą a butą matki-ojczyzny. Którażby śmiertelna w hrabstwie zaniedbała stosunki raz zawiazane z córką sir Roberta Craigenfort, teścia jednego księcia, jednego margrabiego i dwóch wice hrabin, z kuzynką połowy Izby lordów!

Kapitanowa wizytowała rzadko. Raz, lub najwyżej dwa razy w roku obiadowała z lordem-namiestnikiem hrabstwa. Lord-namiestnik sam przybywał na te urzędowe obiady z Anglii lub z Monaco. Raz do roku ukazywała się na chwilę na jednym z urzędowych balów wice-namiestnika, p. Piotra Smith, byłego kapelusznika, mieszkającego obok pałacu w marmurowym zameczku, zwanym „Villa Marina.“

Kapitanowa była w Irlandyi chronicznie cierpiącą. Wiedziało o tém hrabstwo. Zato, z słodkim uśmiechem i z niezrównanym wdziękiem, nie szczędziła kapitanowa zaproszeń do pałacu. A tych wielce pożądaných i cenionych zaproszeń, były trzy rodzaje. Jedne:

— Moja droga pani Roberts, kiedyż mnie znowu odwiedzisz? Wiesz co, kochanku, przyjdź z córką... no! pierwszego lepszego dnia, kiedy mnie sobie przypomnisz — przed lunch'em. Drugie:

— Czemuż się tak rzadko widzujemy, łaskawa majorowo (z drugiego pułku waterfordzkich dragonów)! Przecież nie potrzebujesz oso-

bnych zaproszeń! Ot, przyrzecz mi, że oboje z majorem będziecie u nas każdego wtorku np., co? Przyjeżdżajcie przed pierwszą wczas na lunch... będziemy wam bardzo radzi! Trzecie, drukowane, chromolitografowane po brzegach, na biletach *écaille*, bursztynowo-zielonkowatych:

„Szlachetna pani Horacya Gandy przyjmuje u siebie w pałacu, w Tramore, każdej środy. Szczęśliwa będzie, jeżeli pani..... lub pani..... zaszczyci ją swém towarzystwem i pić z nią będzie herbatę o godzinie 5-ój.“

Bilety te, raz przysłane, dawały prawo „picia herbaty o godzinie 5-ój“ w pałacu każdej środy podczas obecności kapitanowej w Tramore. Dzierżyły je obok margrabiostwa w Curragh i żony anglikańskiego biskupa w Waterford, rodziny większych właścicieli ziemskich, o których pochodzeniu nie-celtyckim nie było cienia wątpliwości; posiadała takiż bilet pani rektorowa parafii tramorskiej, pani sędzina hrabstwa z córkami, siostra irlandzkiego rzecznika spraw kuzyna Grosvenora i w końcu żona komendanta obwodowej policji konnej. Według okoliczności, bilet pałacowy niby cudowne objawienie spadał do rączek goszczących latem w Tramore artystek teatru Gaiety w Dublinie. Bilet taki nadzwyczajny miał barwę błękitną.

Refleksye i studia głębokie, jakich powodem był każdy bilet kapitanowej, zrozumieć odrazu każda łaskawa czytelniczka. Bo, pominiawszy nawet, że tekst zaproszenia drukowany był w cieniu i poprzez łądygi i liście słoneczników, między pazurkami papug, ibisów i tym podobnych symbolicznych rewelacji estetycyzmu, wiedziała dobrze każda zaproszona, iż w salonie pałacowym trzeba jęj być harmonijnem uzupełnieniem czegoś, czémś wzajemnie uzupełnionem w otoczeniu i atmosferze.

Powiedzieliśmy już, że obicia mebli były atłasowe, *old gold*, bogato, egzotycznie deseniowane. Odbijały one przepysznie od ram mebli hebanowych, delikatnie punktowanych złotem. Japońskie stoliki, niziutkie, czarno lakierowane z barwistemi kwiatami, stały tuż obok drobnutkich kozetek, istnych pięścidełek gustu i komfortu. Indyjskie z indyjskimi roślinami wazony stały na wysokich koszykach do kwiatów o ledwie dostrzegalnych nogach. Muóstwo fotografii i akwarelowych miniatur wyglądało wyzywająco z najciekawszych ramek, dziwacznie porozstawianych tu i owdzie na stolikach, gabinecikach, konsolkach i etażerkach. Były tam ramki z błękitnego pluszu, opatrzone takimiż firaneczkami, z poza których wyglądała fotografia królewskiej lub teatralnej wysokości. Portretów ani portrecików familijnych tu nie było; ale zato wszelkie znakomitości estetyczne należną znalazły gościnność. Jedne z nich rozglądały się po salonie z miniaturowej sztalugi; inne, twarzyczki tylko wychyliły kokieteryjnie z poza kapturka koronkowego lub aksamitnego, przytwardzonego do ramki. W białym marmurowym kominku czerwieniały rozżarzone głownie, prócz ciepła tylko i niepewnych blasków nic z nich do salonu

nie wydając; w przeciwległej niszy, przetworzonej na alabastrową gro-
tę, ocienionej smukłymi palmami, słodko szemrał deszczyk wonnej
fontanny, rozpryskujący się cichuteńko w niezliczone tysiące perłowych
kropelek, ponad porfirowemi główkami najad, zanurzonych w alaba-
strowej kąpieli.

Dywanu niepodobna było rozróżnić pod indyjskimi i perskimi
kobierczykami, zaścietającymi podnóża tyłu wytworności umeblowa-
nia. W pobliżu okna (dającego widok na morze, lecz teraz zasunię-
tego wspinałą, złotawego koloru, adamaszkową kurtyną) i naprze-
ciwko kanapki-tronu szlachetnej Horacyi stał duży fortepian, skrzy-
dło, arcydzieło Collarda; przy nim maleńka biblioteczka nut. Obicie
ścian papierowe, naśladowujące kordowańską skórę, otaczało cały salonik
kapitanowej przepyszniemi widokami gajów i ogrodów. Pomiedzy zaś
gałęziami druidowych dębów i ponad gąszczem krzewów, zręczny arty-
sta-tapicer potrafił genialnie umieścić na niewidzialnych podstawkach
ptaki wypchane: słowiki i turkawki wśród pawie i maltańskich puszczy-
ków. Pewna nieokreślona woń delikatna nepetniała salonik: woń
roszającej fontanny, wschodnich ziarenek na główkach w kominku i u-
miejętnie perfumowanego oleju słabo płonących lamp, ustawionych tu
i owdzie, mdlejących raczej aniżeli oświetlających żywo, poprzez
szkła bladawych kolorów, zakryte osłonami, przedstawiającemi: z ro-
ślin — akacye, kwiat lotusowy i orchidy, z ptaków — puszczyki, ibisy
i pawie... a wszystkie w formach tak wdzięcznych i złudnych, że
zdjąłbyś cienistą gałąź z tej lampy, podałbyś palec puszczykowi, sie-
dzącemu na tamtej!...

Szlachetna pani Horacya Gandy spoczywała więc na swęj ka-
napce, ścigając okiem zmęczoném kalejdoskopijną perspektywę swego
kącika w wielkiem zwierciadle w ramach marmurowych, tworzących
całość z kominkiem, gzymsem i fantastyczną plecionką kominkowych
etażerek. Wzrostu małego, szczupła, drobniutka, o cerze czystej,
która nie znała różu ni pudru, szatynka z oczami jasno-niebieskimi,
z włosami ułożonemi w dostatnie sploty na wierzchu głowy, wysoko
z karczka podczesanemi w górę, drobniutko utrefionemi nad czołem
i skroniami; szlachetna Horacya Gandy niała na sobie szlafroczek
popołudniowy — tea-gown, tryumf Worth'a — kaszmirowy, koloru
niepewnego, jakibym porównał z jaknajciemniejszym kolorem niedoj-
rzałej brzoskwini. Daremnieby się kto kusił o opisanie szczegółowe,
z jakim wymysłem sztuki szlafroczek ten był zarazem powłóczystą
draperją au classique i jaknajwierniejszą maską niewieścią wdzięków
niewieścich! Wystarczy powiedzieć, że z ramion spływał powłoką,
nie kryjąc bynajmniej, lecz uwydatniając figurę; że pieścił biust, po-
zostawiając go w niewoli nie swoich tajemnic. Z ramion opadały
greckie rozcięte rękawy, podszyte ęterycznym błękitem perskiego
jedwabiu; nie obnażały przecież, bo, rozpadając się z drobnych fałdzi-
ków ponad łokciem, ukazywały rękę ujarzmioną aż do zgięcia kaszmi-
rem, rozpływającym się w kosztowną, białą koronkę Honiton. Po-

dołnyż szeroki kołnierz okalał białą szyję kapitanowój. Ozdób żadnych—prócz broszy. Brosza była szmaragdowa: z rubinowemi oczkami żabka, przygrywająca na brylantowój mandolinie. Brzoskwińniowo-zielone, atłasowe pantofelki i błękitne z perskiego jedwabiu pończoszki—niezbędnie dostrzegalne w estetycznej pozie—uzupełniały strój... na który oczy wypatrzyćby można, lecz którego pióro profana aniby dotknąć powinno!

Mniej za to geniuszu opisowego potrzeba na uprzytomnienie sobie raz widzianej szlachetnej Horacyi. Duże, jasno-niebieskie oczy spoczywają w tej chwili na welinowój kartce poematów Lee-Hamiltona. Lat blisko czterdziestu trudno, niepodobna się domyślić w tych miękkich rysach twarzy, nad którą nie ciąży umysł głęboki, a jednak dostatecznie ucharakteryzowanej zadowoleniem—dlatego może bynajmniej nie wstrętném samolubstwem. Zadowolenie z samej siebie w tym świecie rozczarowań wylało na twarz kapitanowój dużo stodyczy. Kapitan nie był ideałem jej dziewiczego romantyzmu — to prawda; ale kapitan przestał być oddawna jej nierozłącznym towarzyszem — nie śmiał się, czy nie chciał, czy nie mógł sprzeciwić w niczem... nawet ani w zbyt kownych gustach, ile, że Horacya Gandy, née Craigenfort, zaopatrzoną była w więcej niż wystarczające dochody majątku osobistego, jakie miały się skończyć z jej życiem. Nosek z cieniem podejrzenia o... zadartość, usta pełne i rumiane, ząbki, które wypadają mieć cokolwiek na baczności przy zbyt serdecznym śmiechu; dolna część twarzy ruchliwa, troszeczkę nerwowa—oto jedne po drugich rysy, jakie się składały na ani piękną, ani niepiękną—lecz powabną a milutką Horacyi twarzyczkę.

XIV.

O trzy kwadransy na piątą, drzwi przyległego buduaru otwarły się na rozcież, niewidzialna ręka ściągnęła kwiecistą portyere i do salonu weszło dwóch paziów w liberyi czarnej, tak zwanój „guziczkowój,” wnosząc między sobą ujęty za antaby stolik, nie wyższy nad dwie i pół stopy, zastawiony srebrną zastawą do herbaty. Tak stolik, jak cała zastawa były w stylu królowej Anny: naczynia srebrne, bogato cyzelowane złotem, formy niziutkiej, pękatej; filiżanki porcelanowe i podstawki, były, jak się wyraził londyński agent kapitanowój, „oddech” — *haleine de Sèvres*. Wśląd za paziami ukazała się wysoka, chuda, z przyprawionemi lokami i ogromnym na jedwabnym sznurze wachlarzem, miss Wyatt—panna do towarzystwa kapitanowój, wszechwładne faktotum w pałacu, lecz porywca i uparta, jak rokoszaniec sir Thomas Wyatt, od którego rodowód swój wywodziła. Cała jej postawa — teraz nawet gdy usiadła... ponad „five o'clock” stolikiem — uosobiała godność i dumę podupadłej rodziny. Miss Wyatt zwykła przydywować przy środowój herbacie w głębokim milczeniu.

— Miss Wyatt, czy mogę prosić o łyżeczkę śmietany?—zawołała np. któraś z nowicyuszek w Pałacu i w estetycznym salonie.

Miss Wyatt spojrzała tylko bardzo wymownie na blednącą równocześnie śmiertelnicę i podała paziom srebrną amfore z gestem Elżbiety, przebaczącej Dudleyowi.

Panna do towarzystwa sprawowała swe funkcyje środowe w pobliżu kominka, chroniąc od gorąca snrowe oblicze olbrzymim wachlarzem. Paziowie stanęli za jój fotelem. Mick patrzył na biszkopy, Dick spekulował nad ciastami. Kapitanowa przewracała bezmyślnie dalsze kartki w tomiku Hamiltona.

Z uderzeniem piątęj na buduarowym zegarze, słyhać było w oddaleniu otwieranie drzwi i szelest sukni. Pięć minut później, salon kapitanowej był w komplecie estetycznym — miss Wyatt zwinęła wachlarz i rozpoczęła majestatycznie umiejętne przygotowanie pomarańczowej Pekoe.

Obok szlachetnej Horacyi, siadła na chwilę rektorowa. Przedewszystkiem bowiem przysłała w imieniu swego męża, pastora, podziękować kapitanowej za przysłane mu tego południa 25 funtów na sprawienie nowego pulpitu przed ołtarzem.

— Ależ, kochana moja pani Foppin! Proszę nie wspominać!..

Zaczem pani Foppin podziękowała ponownie i przeniosła się na taburet, pod konsolką, na której tronoowało jakieś indostańskie bożyszczce. Rektorowa należała do środowego towarzystwa ex officio; nosiła zawsze jedną i tę samą suknię—café au lait z proletaryuszowego jedwabiu. Lady Pinfop, żona wielce wielebnego lorda biskupa, rozmawiała półgłosem z panią Paliser, najbogatszą wdówką w południowej Irlandyi, wychwalając dobre dzieła parafialne swego syna—wielebnego i szlachetnego Dawida Pinfop, wikaryusza parafii tramorskiej, zaienawidzonego przez rektorową Foppin.

W tem wielkiem kole kolonialno-parafialnych sympatyi i... litości, miała kapitanowa swoje wybrane kółko. Uwielbiana przez młode, sentymentalne panienki, nawzajem uwielbiająca młodość i światową prostotę—pani Horacya miała i w Tramore przeciw swój świątek. Leżała teraz na swój kanapce, a wkoło nięj siedziały na taburetach i o kanapkę wsparte klęczaly na kobierczykach ubóstwiającej ją dziewczęta — córki dobrych rodzin, wszystkie piękne — bo kapitanowa nie ośmielała innych. Toalety tych panien zdawałyby się być żywcem wykrojonemi z sielankowych obrazów mistrza Watteau. Rozmowa harmonizowała z tonem zewnętrznym.

— Napisałaś coś pani od ostatniej srody?—zapytała miss Burnett, wpatrzona w koronkowy kołnierzyk Horacyi.

— Kilka strofek, Adelciu. Próbowalam: parafrazować Odeę do Smutku, Browninga — ale niepodobieństwo.

— Ach!—rzekła szesnastoletnia miss Izabella Neville—ja go nie mogę doścignąć; czuję, że powinnabym wznieść się ponad tyle ziem-

skościł! Zapomnieć o życiu i poziomości jego otoczenia! Stać się duchem!

— Cóż ten podłotek tak jęczy—o duchu!—rzekła ciekawie, głośno, lecz do siebie samą, pani Paliser, znużona apologią Dawida.

— Bella nie słyszała Oskara!—wtrąciła, tłómacząc ją, siostra. Lesbia Neville spędziła dwa tygodnie w Dublinie, przed wyjazdem arcykapłana do Ameryki, i słyszała kilka jego odczytów.

— Wiesz co, szanowna lady Pinfop — rzekła nagle nadobna wdówka, nie dzieląca bynajmniej estetycznych iluzji kanapkowego koła—mówiono mi, że ten Oskar Tame ożenił się...

— Cicho! na Boga!—przerwała żywo żona biskupa. Nie mówże im pani tego! Czy podobna?

— Ależ bezwątpienia! Podobno jeszcze na statku wziął rozbrat z koronkowymi żabotami, pończochami, trzewikami i pluszami, kazał sobie obciąć włosy i ubrał się w garnitur od Stoltza.

— Okropność!

— Nieprawda? Z poetyckiego Adonisa, zmienił się powierzchownie na masztalerza. Ciekawa tylko rzecz, czy połowa estetycznemu spadła mu z głowy z trefionemi kędziorami!

— Ale ta wiadomość o...

— O małżeńskim zakończeniu farsy! Podobno najprawdziwsza, pisały o tém dublińskie pisma, zaręczał kapitan statku, na którym zaszła fatalna transmografikacya! Wystaw sobie, mylady Pinfop, oblubienica czekała w porcie na oblubieńca...

— Ach! to coś... to więc coś niskiego?

— Nic estetycznego! Państwo Tame żyją w Brooklyn. On zarabia po kilka dolarów dziennie odczytami o zwyczajach i manierach europejskich; ona daje lekcye muzyki.

Pani Paliser, piękna i bogata, nie była lubianą w niewieścich kołach hrabstwa. Ale obawiano się jej sarkazmów. Lady Pinfop, cierpliwa i łagodna, jak przystało na towarzyszkę życia biskupa, znosiła z ewangeliczną rezygnacją satyry wdówki, odbijając je wystawianiem mężkich i duchownych zalet wikaryusza. Ale pani Paliser to miała do siebie, że starannie oszczędzała osoby, z którymi rozmawiała. Znieść tylko nie umiała narzuczonego sobie przedmiotu konwersacyi. Gdy i teraz więc, mylady powróciła do opisu prezentów, jakie w dzień urodzin otrzymał Dawid od panien (wszystkich na wydaniu, przeważnie córek duchownych) i pań z okolicy, pani Paliser przywołała pazia, oddała mu filizankę i kazała sobie przynieść album, leżące na przeciwległym stoliku. Otworzywszy je, tak często przerywała poufny szept dostojnej matrony uwagami nad tym i owym portretem, że ta dała za wygraną—a obawiając się jakiego wybuchu pięknej okrutnej nad seryą córek i siostrzeńców biskupich w pośrodku albumu (lady Pinfop posyłała do pałacu wszystkie świeże fotografie Pinfopów blizkich i dalekich) — skinęła wachlarzem na miss Monsell, siedzącą wśród innego grona i zrobiła jej miejsce na otomance. Ale

miss Monsell, która była wyrocznią swego rodzaju, nie przyszła sama, wślad za nią podążyły inne panie i uformowały przy otomance swoje koło, współzawodniczące do pewnego stopnia z kołem kapitanowój.

Miss Monsell czytywała dzieła przyrodników, studyowała rewelacje mikroskopistów, umiała rozprawić nad możliwymi hipotezami i niemożliwymi; nie był jój obcym żaden szczegół podróży naukowój statku „Challenger“ — znała kontrowersyę Huxleya z Blairem, umiała na pamięć niemal Straussowe tezy o batybiuszu, opowiadała cuda o książkowych wymoczkach i ich organizmie, recytowała na zawołanie sprawozdanie z ostatniej sesji Brytańskiego Stowarzyszenia, słowem zajmowała słuchających tak żywo, że gdy czasami przerwała dla ulżenia płucom, to ze wszech stron wołano: „O! prosimy jeszcze, kochana miss Monsell, prosimy, błagamy!“... Kiedy zwykłym porządkiem rzeczy, skończyć swe rewelacyjne musiała wykłady, dziękowano jój z wylaniem: zapraszano z kilkunastu stron równocześnie—na herbatę, na trzy dni, na obiad, koncert, na cały tydzień. Młodziutka jakaś istotka, otumaniona cudowną erudycyą znawczyni wszechrzeczy, zapytała ją razu pewnego—kiedy będzie koniec świata?... W zamian taką otrzymała odpowiedź, że wyrzekła się koła Monsellowego uroczyście i wstąpiła skruszona do grona kapłanek Horacyi!

— Przeczytajże nam, najdroższa pani, te ostatnie wiersze Hempena!

— Ach! nie! lepiej swoje własne! — zawołała Izabella.

— Otóż ani jednych, ani drugich—odrzekła, uśmiechając się, kapitanowa—ale coś, co więcej warte!

— O! a!

— Znalazłam tę perełkę przed herbatą. Uprzytomnijcie sobie, moje ptaszki, eteryczne wyżyny Edenu dusz, a raczej t c h ó w... nie krepujących się węzłami tej ziemi!

Kapłanki uprzytomniły je sobie odrazu. Jedna zamknęła oczy, inna otwarła je szeroko i utopiła w lampie papuziej; inna brwi zmarszczyła i oczy ręką zasłoniła, jak gdyby olśniona wizyą; czwarta westchnęła; piąta zanurzyła główkę w kaszmirowej draperyi kapitanowój; szósta wpatrzyła się w jój szmaragdową żabkę.

— A teraz słuchajcie!—rzekła Horacya głosikiem, obiecującym zachwytem... empiryczny — słuchajcie Hamiltona: „Excelsius!“

To mówiąc, otworzyła tomik w miejscu zakładki i mocno wzruszona (boć wiedziała jaki pokarm czekał jój estetycznego ducha)—czytać poczęła:

„W świat niezmierzony! Dalej i dalej
Wybiegaj myśli, przeleć przestrzoniol!
Wyżej i wyżej — pnij się, goń, szalój
W krainach cudów!

Zatrąć marzonic.

Świata i ludzi—życia i końca:

Póki jaśnieje wieczny zar słońca,

Póki cię fale unoszą dalej —
Wyżej i wyżej — pnij się, goń, szaléj!”

Wkoło kanapki, głębokiego milczenia żadna nie przerwała kapłanka. Pięły się wyżej i wyżej do cudów krainy...

„O! nie dla ciebie, nie twoją strawą
Człowieczych żądz codzienna zmija;
Nie dla cię ziemia, co dtonią krwawą,
Targana — cierniem owoc swój zwija!
Dla ciebie, myśli, wolność — nietroska
Polotnych natchnień rozkosz pół-boska!
Wyżej wylatuj! pnij się, goń, szaléj...
Póki cię fale“...

Horacya przerwała. W dolnych pokojach krzyk rozległ się niewieścił...

— Cóżto? — rzekła kapitanowa, patrząc na wachlarz panny Wyatt, poza którym można było wyobrażać sobie przyprawione loki. Miss Wyatt drzemała. Jednakże całe towarzystwo w salonie słuchało. Kapłanki estetycyzmu słuchały również, a może nie powróciły jeszcze z krainy cudów.

— E, to bezwątpienia któraś z tych irlandzkich wieśniaczek, farmerka jakaś. Słuchajcie dalej:

„Póki cię fale unoszą dalej!
Błogosławiony duch twój, co może
Ponad tém nizkiém życiem paść“...

Huk wystrzału rozdarł ciszę salonu! A równocześnie słyhać było wbieganie osób jakichś po schodach, głos kobiecy przeraźliwie odbijający się echem, głos męzki przeklinający, bluźniący — bliżej i bliżej, teraz w buduarze, z krzykiem do salonu wpadła raczej, aniżeli wbiegła niemłoda, lecz dziwnie piękna kobieta. Z włosem rozpuszczonym, z skrwawioną ręką, rzuciła się na kolana przed drżącą i jak trup bladą kapitanową.

— Ratuj mnie! ratuj! — wołała. — O!... on mnie chciał zamord... mój Jan!

Raz jeszcze krzyk straszliwy rozdarł jój pierś! Z rękoma wzniezionymi, jak gdyby zasłonić się chciała przed morderczym ciosem, padła na twarz i zamilkła. W progu buduaru stał kapitan Gandy, bład jak ściana, w prawém ręku konwulsyjnie ścisnął dymiący jeszcze rewolwer...

(d. c. n.).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Korespondencya Adama Mickiewicza, t. IV. — Nowy profesor języków i literatur słowiańskich p. Ludwik Leger. — Dzieło prof. Fustel de Coulanges: O własności u starożytnych germanów. — Edmund About i prof. Caro. — Pamiętniki Flottowa. — Dwóchsetletni jubileusz Holberga, w międzynarodowym literackim towarzystwie. — Serapia, powieść archeologiczna Ebersa.

Zaczynamy kronikę naszą od książki, która nas żywiej zajmuje niż wszystkie inne, jakie się tu w tych czasach pojawiły: mówimy o czwartym tomie „Korespondencyi Adama Mickiewicza.“ Zawdzięczamy go głębokiej czci, jaką syn otacza drogą narodowi pamięć genialnego ojca, dostarczając przyszłym biografom źródeł do poważnego życiorysu, który stanowić będzie najważniejszą kartę, nie tylko w dziejach literatury polskiej, ale co więcej, w historii życia narodowego w ciągu XIX wieku.

Świeżo wydany tom rozpoczyna się obszernym ustępem z Pamiętników Mikołaja Malinowskiego, drukowanych częściowo w „Kronice rodzinnej” w r. 1875, a dopełniony tu nowymi szczegółami z czasów pobytu Mickiewicza w Petersburgu. Następnie idą obszerne dokumenta urzędowe: genealogia rodziny Mickiewiczów, metryki i sepultury, świadectwa z czasów uniwersyteckich i zawodu nauczycielskiego w powiatowej szkole kowieńskiej.

Szereg korespondencyi rozpoczynają listy Domeyki, Zana, Niemcewicz, Witwickiego i innych o Adamie Mickiewiczu od r. 1830 do 1855. Każdy z tych listów jest objawem czci i uwielbienia dla wielkiego poety. Niemcewicz w r. 1837 pisze do Stefana Witwickiego pod wpływem radości, jaką mu sprawił tylko co wydany Pan Tadeusz. Ośmdziesięcioletni starzec patrzy na świat zgaśniętym okiem; wszystko

nudzi go, gniewa, niecierpliwi, a przecież narodowa epopea rozbudziła to napół skrzepłe serce. Przytaczamy list jego, datowany z Wersalu, jeden z ostatnich, jakie pisał chylący się do grobu starzec. „Co raz to czuję się słabszym—pisze Niemcewicz—ani dziwu, lat ośmdziesiąt liczę; dziwię się tylko, że przy życiu spędzonym w obozach, tarapatach, wygnaniach, jeszcze oddycham. Bardzo mało chodzę po ogrodzie tutejszym, zasmuca mnie patrzeć na ten grób wielkości ludzkich; przekładam łązić po *avenues*, równych, bez bruku, cienistych, gdzie ustawicznie są ławy dla ociężałych stóp moich. Nie znam tu prawie nikogo, dzień za dniem schodzi, a nie przemówię chyba do Ludwika (służącego), albo do Hylasa, a i ten jeszcze chory na nosaciznę: rzadkie stworzenie, rozum i serce najlepsze. W muzeum ciężko, rzadko do niego uczęszczam, nadto gniewam się, że z afektacją opuszczone, co się tylko tycze polaków i Polski od tylu wieków, tyle ścisłych związków mających z Francją.—Podałem na piśmie do prefekta przełożenia ztąd moje, lecz na niczem zapewne się skończy.

Ludwik Filip boi się, jak niegdyś Stanisław August.

Miasto ciche, puste; wszystko to zgodne ze stanem mojej zgrzybiałości. Kto wie, może tu i na zimę zostanę. Chodzić nie mogę, czuję się drażliwym, opryskliwym, nie zdolnym do społeczeństwa. Kochanemu panu Mickiewiczowi proszę tysiąc przyjaźni oświadczyć odemnie. Czytam z rozkoszą Pana Tadeusza jego. W tém-to dziele narodowość polska nigdy nie umrze. Czemuż panowie zachowujecie przed przyjacielem sekreta wasze? Z boku dowiedziałem się, że Mickiewicz napisał wyborną sztukę teatralną, gdzie charakter kapłana-obywatela cudnie wydany. Daj Boże, by mu się to udało i ufam, że się uda. Jadam u siebie. Ludwik gotuje mi rosół, sztukę mięsa i jarzynę; przyjdźcie zjeść to zemną.“

Bardzo téż ciekawy list Stefana Zana do Ignacego Domeyki. Z najwyższém zachwyceniem mówi w nim o tylko co rozpoczętym kursie literatury w Kolegium francuzkiem, w grudniu r. 1840 i o słynnej ówczesnej improwizacji w gronie przyjaciół.

„Drogi nasz Ignacku! — pisze Zan — w tych dniach jedna myśl, jedno uczucie przejmuję całą polonią w Paryżu: wielkość jego. Musi on pisać do ciebie sam o kursie słowiańszczyzny. Piękne i wysokie to było. Ale z czémże porównać można pierwszy dzień Bożego Narodzenia? Była uczta u Januszkiewicza na cześć Adama. Braci ze sześćdziesiąt: bawili się, śpiewali, grali na różnych instrumentach, ale pierwszeństwo miał gitarzysta Szczepanowski, którego granie dzielnie wpływa na poetę. Koło północy bracia szlachta siedli jeść i pić. Spełniano toasty a potem zaczęły się mowy. Słowacki począł nucić improwizacją. Mickiewicz przyklaskiwał, uśmiechał się; wtém zerwał się jak orzeł, jak dawny templaryusz, jak archanioł nareszcie. Co mówił? nie wiem i nikt nie wie. Całe zgromadzenie osłabło, zbladło, oczy wytrzeszczyło i po chwili wszyscy w płacz, w uściskania. Co to było za wrażenie, co za entuzjazm? próżno chciałbym tobie zdać spra-

wę. Wierzyłem jaknajsilniej w nadzwyczajną moc tego człowieka; on w tym dniu słowem swoim, a raczej czynem wiarę mą ugruntował! Wszystkich niewiernych podbił pod swe nogi i woka mgnienu nadzwyczajne sprawił nawrócenie.”

Przytoczmy tu jeszcze urywek z listu Maryi Boleskiej, pisanego zaraz po skonie poety do brata jego Franciszka: „Czy pan zna nekrolog „Dziennika petersburskiego?” pewno nie, a w kilku słowach trudno więcj powiedzieć: „W tych dniach umarł znakomity poeta polski Adam Mickiewicz.—Zostawił po sobie w spuściźnie sześcioro dzieci i dwie korony, jedną laurową, drugą cierniową, po które nikt z współczesnych sięgnąć się nie ośmieli...”

W dziale drugim mieści się przeszło sześćdziesiąt listów Adama Mickiewicza. Znajdujemy tu znane nam już listy do Edwarda Odyńca, drukowane w „Kronice rodzinnej.” Inne pisane z Rzymu w r. 1848 do rozmaitych osób, mają wyłącznie charakter polityczny. Nadzwyczaj ważny list z Lauzanny do Bronisława Trentowskiego, z r. 1839. Obok wysokiego uznania czyni Mickiewicz niejaki zarzuty znakomitemu myślicielowi. Nie zgadza się na to, aby filozofia miała być wyłącznie wyrobem umysłu greckiego; rodowód jęj widzi w staroindyjskich tradycjach. Zarzuca również, czemu Trentowski od Sokratesa przechodzi prosto do Schelunga z pominięciem wieków średnich, które przecież wstrząsnęły światem.

„Mam nadzieję — dodaje — że kiedyś zaczniesz pisać dla Polski i po polsku, myślę, że wtenczas staniesz się w całym znaczeniu filozofem. Bo dla filozofa jak dla wojownika w ojczyźnie ukrywają się środki i siły, o których on sam wiedzieć zgóry nie może. Będę Ci więc śpiewał piosenkę: Marsz Trentowski z Niemiec do Polski!”

Cały ten list nadzwyczaj ciekawy, wstrzymujemy się od przytoczenia go in extenso, wiedząc, że został wysłany do jednego z pism warszawskich.

Na dziesięć lat przedtęm, w r. 1829, przebywając jeszcze w Petersburgu, Mickiewicz na żądanie rosyjskiego poety Żukowskiego, wybierającego się do Warszawy, skreślił notatkę z wymienieniem pierwszych znakomitości tamtejszego świata literackiego. Ciekawy brulion tęj notatki znajdujemy wśród korespondencyi.

Wymieniony tu najprzód J. U. Niemcewicz, „Autor wielu dzieł politycznych i historycznych, poeta narodowy, pełen oryginalności. Ceniono szczególniej jego komedye, bajki i śpiewy historyczne.”

Z młodszych poetów wspomina Mickiewicz A. E. Odyńca: „To mój kolega i przyjaciel — poeta utalentowany, tłumacz pańskićj „Światłany.”

Wymieniony potęm Bohdan Zaleski, „jeden z najpierwszych poetów. Jego Dumy ukraińskie prawdziwem są arcydziełem ludowćj poezyi.”

O Brodzińskim wyraża się Mickiewicz z najwyższęm uznaniem; oto są jego słowa:

„Kazimierz Brodziński, profesor literatury w Uniwersytecie, naczelnik szkoły romantycznej w Polsce, uczony literat. On pierwszy dał poznać w kraju poezje Szyllera i Getego, utworzył sam wiele ballad i pieśni wielkiej wartości, tłómaczył poezje Serbów i Morlaków. W ostatnich pracach usunął się widocznie od szkoły niemieckiej i angielskiej. Przekonany, że ludowe pieśni Słowian, po pieśniach starożytnych Greków są najpoetyczniejsze, usiłuje stworzyć szkołę poetyczną, przedewszystkiém słowiańską.”

Nie pomija téż Mickiewicz i poetów klasycznych. Nie widzimy tu ani cienia niechęci do Ludwika Osińskiego za złośliwe żarty, sypane z katedry uniwersyteckiej na „Dziady;” mieni go doskonałym tłómaczem tragedyi francuzkich, ulubionym profesorem literatury, obsypywanym oklaskami.—Kajetana Koźmiana porównywa do lirycznych poetów francuzkich i angielskich, Lebruna i Drydena; w Odach jego zazwyczaj deklamatorskich, wynajduje prześliczne strofy. Kruszyńskiego, tłómacza francuzkich poezyi i włoskich oper, nazywa poprawnym i wytwornym. Franciszka Morawskiego mieni „dzielnym człowiekiem, poetą jakoby romantycznym;” półkownika Mrozowskiego „najuczeńszym i najgłębszym z gramatyków polskich.”

Notatki te kreślone w r. 1829, kiedy Żukowski, przewodnik następcy tronu, wyjeżdżał do Warszawy z dworem cesarskim na uroczystość koronacyjną. W tymże samym roku ogłoszoną była w Petersburgu sławna rozprawa o krytykach warszawskich, jako wstęp do dwóch tomów poezyi. Rzecz godna uwagi, iż obrażony poeta, który tak ostrą bronią chłoscze swych recenzentów, okazuje się dla nich tyle względny i pobłażliwym, zalecając ich spieszącemu do Warszawy cudzoziemcowi. Dowodem to szlachetnych uczuć poety, wyraźnym zaprzeczeniem pychy, tak niesłusznie mu zarzucanej. Jeśli surowo wystąpił przeciw warszawskim krytykom, szło mu raczej o tryumf nowych idei, których był genialnym promotorem, niż o pomstę obrażonej miłości własnej. Czuł, że ma prawo stoczyć walkę domową, wytrącić oręż z rąk zapaśnikom, ale w pokonanych widział jednakże braci, oceniał ich pracę i zasługę. Głos obrażonej dumy umilkł wobec wyższych pobudek: z chlubą narodową przedstawia ich obcemu pocie.

Trzeci dział wydanego tomu nadzwyczaj ciekawy: obejmuje listy pisane do Mickiewicza. Między temi listy Stefana Witwickiego, pełne swobody, zaprawne wesołym humorem. Drgający nieuleczoną chorobą, która miała go wkrótce zaprowadzić do grobu, żartuje sobie z własnych cierpień, z moksów stawianych mu na krzyżu, z maści, jakimi go wciąż okładają, z krytyków, którzy odmawiają mu wszelkiej zdolności poetycznej. Z radością przyklaskuje kursom literatury łacińskiej, które Mickiewicz rozpoczął w Lauzannie.

„Brawo! brawo, kochany profesorze!—pisze w listopadzie 1839—ja Ci biję nogami i sercem. Zgryziony tedy orzech, trudność istotna przebyta, teraz już tylko ciągnąć płuzek, który, ręczę, zwłaszcza po

niejakim czasie, wcale ciężkim Ci nie będzie, a przedewszystkiem winszować tobie, żeś znów do życia i świata rzeczywistego wpuszczony... Żeś miał z tą pierwszą lekcją przepałą, to bardzo wierzę i zawszem to wiedział, alem téż i wiedział, że dasz sobie, szlachcicu, radę i byłem o to zupełnie spokojny. Jestem pewny, że wkrótce będziesz tam lepszym od wszystkich profesorów gadułą."

W miesiąc potem pisze Witwicki wesoły list z powinszowaniem imienin: „Życzę zdrowia dla Ciebie i dla wszystkich twoich, życzę szczęśliwej profesury, życzę historii Polski jaknajprędzej, jaknajlepiej, życzę nowéj części Dziadów, nowéj części Pana Tadeusza, Poematu o zwierzętach i t. d., dalej życzę poczciwego zięcia i kochanéj synowéj i ładnych wnucząt, żebyś mi, stary dziadzie, w murowanym domu ojca twego śpiewał jedyną aryę, jaką śpiewać umiesz: „...i płacze i motta, to naszéj dziewczyny robota;...” a po całém obżarstwie sławy, chwały i innych truflí tego świata, miał jeszcze tyle zdrowia duszy, aby z prostotą i skromnością parafianina mówić sobie: Oto mój dom ubogi! Wtenczas, proszę, z dziećmi i wnukami zmów staruszku pacierz i za moję duszę i mszy świętéj wysłuchaj, żeby Bóg dał, abyśmy w lepszym świecie i w lepszym życiu, znowu Go razem, tylko lepiéj i godniéj chwalili i Jemu służyli.—Amen.”

W innym znów liście Witwicki posyła do Lauzanny portret Mickiewicza, powtórzony w Tygodniku poznańskim, z nowo wydanej książki: „Oprócz czoła niczem się Hugo od reszty śmiertelnych nie różni i możnaby tysiąc razy go minąć, nie zapytawszy kto jest. Mickiewicz daleko bardziej romantyczną ma powierzchowność. Wyraz oczu jego nie do określenia. Przed jego okiem obojętnie przejść nie można; gdy to spojrzenie z całą bystrością spuści na ciebie, bądź pewien, że się wskroś przeszitym uczujesz. Niekiedy przymglone błąka się, natenczas widzisz w niém całą głębokość nieobjętych kompozycyi Bethowena, melodyą fantastycznych improwizacyi Chopina. Czasem znowu zdaje się niém sklepienia niebios przedzierać, wieki odgadywać, przyszłość zgłębiać, pojmować. Wtenczas widać w tych oczach, że ziemia z przed nich znikła, wtenczas i tylko wtenczas Mickiewicza malować trzeba! Masz dosłowną kopia—zgadajże z jakiej książki i z jakiego autora?”

Tą książką były „Wieczory pielgrzyma,” autorem samże Witwicki.

Katedra paryzka, na którą w następnym roku powoływano Mickiewicza, mniej przypadła do smaku Witwickiemu. Zobaczmy, co pisze o tém.

...„W Paryżu więkšie pole do sławy, ale na co to tobie? Między ludźmi masz już téj sławy dosyć; dobijać się sławy dla saméj próżności, nie daj tego Boże! W Paryżu drożšie życie, nietylko co do potrzeb kuchennych, ale i co do potrzeb ducha, gdzieindziej mniej trzeba pieniędzy, żeby żyć wygodnie, mniej cnoty, żeby żyć zbawiennie. W Paryżu wszystkiego trzeba więcéj, daleko więcéj! a nawet co do saméj sławy, czybyś w

Paryżu nie zaczął z czasem tanieć, zwłaszcza przy twojej nieparyzkiej naturze? W Lauzannie samo odmówienie propozycji paryzkiej już cię stawia na niesłychanej wysokości, palcami cię sobie pokazując, będą mówili: oto ten, co odmówił katedry w Paryżu! W małych miasteczkach dłuższa u ludzi pamięć, wsiąka nawet niejako w cegły domów, w kamienie bruku; w Paryżu codzień wszystko wymiotą, wyskrobiają, odnowią. Cóż teraz powiedziéć o przyjaciołach? Ja, przekładając dla ciebie Lauzannę, daję zapewne dowód niepospolitej bezinteresowności; już tu niektórzy z życzliwych ucieszyli się dla mnie nadzieją twojego powrotu; może téż nie chcę prosić cię na mój pogrzeb!..."

Kiedy jednak katedra została nieodwołalnie zatwierdzoną, Witwicki godzi się chętnie, przyklaskuje oburącz, dopatruje w tém dobréj strony.

„Więc i owszem i owszem! — pisze — nie mam nic przeciw temu, mam nawet bardzo wiele za tém, jak skoro boisz się o zdrowie dzieci. Uwaga, że katedrę pewnoby zaprowadzono i że najprawdopodobniej objąłby ją jakiś Niemiec, zwłaszcza, że Cousin jest z Niemiaszkami w stosunkach, także bardzo sprawiedliwa; przyciągaj tedy do Francji i stwarzaj słowiańszczyznę! Prawdę nawet mówiąc, jest to rzecz ważniejsza, jak twoja łacina, nietylko dla Polaka, ale dla literata, dla poety, dla chrześcianina. ...Wolę już ciebie jak innego, zwłaszcza że przy tobie mogę prędzej wyjść na adjunkta téj katedry; cóż pan powiada na ten koncept? jaśli się z czasem potrafię panu profesorowi zasłużyć i zechce mnie protegować; tymczasem, nim ta gruszka i inne podobne dojrzeją na wierzbie, nie mam siły wyjść nawet do ogrodu; muszą mnie prowadzić jak łazarza, nie mogłem na Wielkanoc pójść do kościoła ani spowiedzi odbyć; cóż pan powiada na ten drugi koncept? trzeba by daleko więcéj i świętszej cierpliwości!”

Drogim klejnotem tego zbioru są listy czcigodnego Domeyki, tyle w nich gorącego uczucia, tyle młodzieńczej werwy; tak język w nich jasny i potoczny, tak cudne barwy rozsiane w obrazach obcego dla nas świata! Widzimy jak podczas wypoczynku letniego uczony profesor, osłonięty od słońca wielkim kapeluszem z gwajakilskiej stomy, w białym w czerwone pasy ponczo, przy kolczystych ostrogach ciągnie konno pustém wybrzeżem oceanu, jak odwraca oczy od pięknego piasku a ogarnia wzrokiem szare, w tysiące barw mieniące się Kordyliery. Widzimy jak wierny Mozo w czerwonym płaszczu, z twarzą miedzianą, zdąża za nim, popędzając objuczoną mulicę i dwa na odmianę bieguny. Radziłybyśmy powtórzyć te wszystkie listy, tak żywe, tak malownicze, gdyby pozwoliły na to ramy kroniki naszej. Zmuszeni poprzestać na krótkich zaledwie wyjątkach, wybieramy te, które ukazują nam przeznaczonego druha, w urządzonym przez siebie domu, a raczéj w laboratorium, w pierwszych czasach profesorskiego zawodu, który miał spełniać tak zaszczytnie i pożytecznie przez lat przeszło czterdzieści!

„Cóż to za dziwny los nami rządzi! — pisze Domeyko w r. 1839,

w kilka miesięcy po zupełném osiedleniu w Coquimbo—ja, który przez lat pięć gospodarstwa, gotowałem się do postawienia domu w Zapolu i spokojnego życia, wymurowałem sobie dom w Chilii, ogromne laboratorium i uczę chemii, metalurgii, mineralogii i to po hiszpańsku. Mam trzy wielkie pokoje; w jednym największym stoi długi stół na środku i dzieli izbę na dwie części, na laboratorium i salę do lekcyi. W drugim pokoju maszyny fizyczne, wagi i gabinet mineralogiczny; w trzecim moja czytelnia i łóżko, nad którym twój portret i mapa Polski, a dalej portret Kościuszki, księcia Józefa, Kilińskiego i Lafayettea.”

W innym liście donosi przyjaciel nowe szczegóły niemniej zajmujące, z których widzimy w jak krótkim czasie słodki mistrz zjednął sobie miłość chilijszyków.

„Ja tu nie mam na co i nie powinienem się skarżyć; Pan Bóg mi dał lepić, niżeli sobie obiecywałem i niżeli zasłużyłem. Cicho, spokojnie, w zdrowiu przy ciągłej pracy, prowadzę życie; praca nie przykra, nie mozolna, zaledwie pracą mogącą się nazywać, a jednak nie bez pożytku dla drugich. Doniosłem już był tobie, że od przyjazdu mego zbudowałem dom, laboratorium i rozgospodarowałem się na długo. Tego lata w lipcu założyłem ogród, który zasadziłem brzoskwiniami i pomarańczami, a wpośród nich na pamiątkę kraju zasadziłem kilka grusz i jabłoni obok bananów i czerymajów i cały sad opasałem różami, które tu cały rok bezustannie kwitną. Dla odpeędzenia smutnych myśli i tęsknoty, usiłuję nietylko ciągle być zajęтым, ale mieć jaknajrozmaitsze zajęcia; oprócz moich chemicznych poszukiwań w laboratorium i geologicznych na polu, mam zawsze co do czynienia z moimi uczniami i niektórzy pomocą mi już są w próbowaniu i analizowaniu minerałów. Przytém uczę wszystkiego, czego niegdyś uczyłem się: fizyki, chemii, mineralogii, mierzenia, rysunku, muzyki i t. d., ledwo że nie śpiewu i tańca, a nie pogardzam i zabawami tutejszemi. Byłem nawet sędzią w jednym kompromisie i komisarzem do różnych poleceń. Że zaś z nikim nie kłócę się i nie wtrącam w miasteczkowe plotki, a poprzestaję na mojej profesorskiej gaży, którą mi punktualnie wypłacają, nie mam też nieprzyjaciół.“

W tymże samym roku, po osiedleniu się w Coquimbo, Domejko posłał na ręce Mickiewicza dziennik swój czteromiesięcznej podróży z Paryża do Chili; dziennik ten ogłoszony był w r. 1857 w Dodatku miesięcznym do „Czasu.“ Uwagi nakreślone w liście przy tój przesyłce żywo malują tęsknotę podróżnika, wzmagającą się w miarę im większa przestrzeń oddziela go od kraju i przyjaciół.

„Niech cię nie dziwi, mój Adamie, pisze on, że opisy moje tak są niewykończone, że w wielu zdarzeniach, o których podróżnicy tyle do mówienia, tyle do deklamowania mają, ja prawie nie znalazłem nic, czémby was zabawić, czém zastraszyć albo zadziwić. Łatwo się bowiem domyślisz, że ja podróżowałem roztargniony, mając głowę i serce za sobą, jeszcze dalej niż wy odemnie byliście i nieraz najcudniej-

sze, najwspanialsze widoki, najciekawsze przedmioty, zamgliła mi myśl o kraju. Czytam w jednym z najnowszych opisów jakiegoś przeciwnego Niemca, że on w wyprawie na wierzch Kordylarów, kędy i ja przebywałem, zbierał kwiaty, kamienie, przypatrywał się obłokom i przepaściom, czynił obserwacje, a na wierzchołku Cumbre czytał Szekspira, o którym mówi że był jego immer neuer Begleiter-Reisen. Dlatego to myśl wolna, spokojna, dała mu sposobność do opisanja widoków i niebezpieczeństw, które ja niepostrzeżone mijałem. Ja nie miałem potrzeby wozić z sobą Szekspira; mojem immer neuer Begleiter będzie też sama myśl o kraju, która ma codzień coś nowego do przypomnienia i we wszystkiem spostrzeżeniu zawsze coś takiego, że zamiast o tém, co mam przed sobą, myślę o rzeczach bardzo dalekich!

„Nie polakowi wojażować, nie polakowi pisać wojaże. Długo jeszcze o nas pisać powinni spokojniejsi ludzie, niż my o drugich pisać poczniam. Nie wojaż-to ja zatem obmyślam, nie piszę wojażu, ale jak jeden z naszych kolegów wyborny na podróże nasze dyaryusze wynalazł tytuł, są to „Notatki szlachcica polskiego.“ Jeśli ci się podoba je ogłosić, zrób z niemi co chcesz: zostaw w nich wszystko, co mierne, niedowcipne, chociażby nudne; wymaż co niemoralne, bo jest to prawda, o której jeżdżąc po dalekim świecie przekonałem się, że zła książka prędzej i dalej zabieży niż zły człowiek, i złemi książkami więcej rozbojów ludzie popełnili niżeli ogniem i orężem!“

Ostatnia uwaga wyborna, ale któżby ją śmiał zastosować do prac czcigodnego Domeyki, którego każde słowo tchnie prawdą i wzniosłym namaszczeniem.

W zbiorze listów pisanych do Mickiewicza, największą wagę mają listy p. Faucher w sprawie tworzącej się katedry języków i literatur słowiańskich; w szeregu tych korespondencyi widzimy genezę owéj katedry i myśl jaka przewodniczyła jéj promotorom.

Pierwszy list nosi datę 7-go marca 1840 roku, w tydzień po ustanowieniu nowego ministeryum Thiers-Cousin. „Mówiłem, pisze Leon Faucher, z panem Cousin zanim został ministrem, o konieczności utworzenia katedry języków i literatur słowiańskich w kolegium francuzkiém i przedstawienia Cię, panie, na profesora jedynie odpowiadającego temu zadaniu. Jak tylko otrzymał tekę ministra, zagadnął mnie o tym przedmiocie, żądał odemnie notat wyjaśniających potrzebę téj katedry.

„Potrzeba mi pańskiego upoważnienia; jeśli pozwolisz mi, uczynię krok stanowczy: mam nadzieję, że nie napróżno.

„Katedra przyniesie i tę korzyść, że się stanie ogniskiem dla ziomeków twoich, z ważnemi dla nich następstwami.“ Te pierwsze kroki dodały bodźca akademii lozańskéj, która chciała gwałtem utrzymać profesora swego. Powstała ztąd walka między wielbicielami Mickiewicza w Paryżu a Lozannie, jak to widzimy z korespondencyi. W drugim liście Leon Faucher nalega jeszcze silniej o ze-

zwolenie Mickiewicza, 17-go marca pisze poraz trzeci: „Wychodzę od ministra, jest on nie tylko dobrze usposobiony, ale zdecydowany. Jeśli ministeryum przełamie w Izbie trudności co do funduszków tajemnych, katedra dla pana zostanie utworzoną.“

W dniu 10 kwietnia minister Cousin pisze list urzędowy do Mickiewicza. Spodziewa się, jak mówi, że przyszedł profesor odpowie jego oczekiwaniu i nie nada wykładom swoim politycznego charakteru. Tak się wyrażał minister; widzieliśmy jednak, że p. Faucher inaczéj tłómaczył powołanie Mickiewicza. W tydzień potém sprawa została ukończoną; pan Faucher uwiadamia o tém nowego profesora: potrzeba było, jak mówi, z dobywać twierdzę szturmem.

Taki jest początek katedry utworzonéj czterdzieści piéć lat temu, owéj katedry, którą po różnych przejściach i dwuletniém blisko zawieszeniu, rząd republikański powierzył dzisiaj panu Leger.“ Świeżo mianowany profesor wydał w roku zeszłym nowe dzieło pod tytułem: „La Save, le Danube, et le Balkan.“ Jest to, jak utrzymuje sam, dalszy ciąg dawniejszych jego badań, p. t. „Le Monde Slave,“ ogłoszoném przed dwunastu laty.

Przypomnienie to ze strony autora upoważnia i nas do przypomnienia słów jego, zamieszczonych w „Świecie słowiańskim,“ a stosujących się do owéj katedry, którą zajmuje dziś po Mickiewiczu.

„Nie można porównać lepiej, pisze p. Leger każdego, kto chce zgłębiać nauki słowiańskie, jak do wędrowca zapuszczającego się w jeden z dziewiętych lasów Ameryki, gdzie jeryny i powoje, a częstokroć i jadowite gady, cisną się pod stopy zuchwałego podróżnika, oślepiają mu oczy i zmuszają go mimowoli do odwrotu po nadaremnych wysileniach. Przypominacie sobie piękny wiersz Danta zaczynający Piekło:

Mi ritrovai per una selva oscura,
 Questa selva salvagia, ed aspra, ed forte
 Che nel pensier rinnova la paura.

„Ten las ciemny, dziki i twardy; którego wspomnienie samo budzi postrach, wyobraża dość wiernie Świat słowiański. A szczególny to objaw, z którego nie potrzeba wyciągać na przyszłość żadnych wniosków, że pierwsi, którzy u nas zapuścili się w te głęby, utracili w nich rozum. Mickiewicz, wielki poeta polski, największy z wieszczów XIX-go wieku, po trzyletnim a niezrównanie świetnym wykładzie literatury słowiańskiéj¹⁾, Mickiewicz, który stanowiął z panami

1) Wiadomo, że urzędowy tytuł katedry języka i literatury słowiańskiéj, zmieniony został na języków i literatur słowiańskich, w r. 1868, wskutek wyjaśnień Viquessnela, Henri Martin i b. ministra oświecenia Carnol. Nie odbyło się to bez gorącej walki między uczonymi politykującymi i między mężami stanu. Na czele przeciwników téj zmiany, stanął właśnie p. Leger, wówczas wiceprezes Towarzystwa lingwistycznego.

Michelet i Quinet długo pamiętny tryumwirat, zabłąkał się w mistycznych i chorobliwych szaleństwach mesyanizmu.

„Rząd francuzki, ciągnie p. Leger, zmuszony był zawiesić w r. 1845 owe lekcyje, wprowadzające w obłąd słuchaczy.

„Spodziewano się, że Cypryan Robert upowszechni między nami te nauki jeszcze tak nowe. Nie miał on blasku Mickiewicza, ale miał gruntowność i światło właściwe geniuszowi francuzkiemu. Nadeszła rewolucya 1848 roku, Cypryan Robert wpadł w jakąś doktrynę, podobno w kabetizm i jednego pięknego poranku znikł z Paryża bez wieści. Zapewniano mnie, że popłynął do Ameryki w celu poszukiwania Ikaryi. Katedra przynosiła nieszczęście, z dwóch pierwszych profesorów jeden utonął w teoryach mesyanicznych, drugi w mrzonkach socjalizmu. „Ja sądzę, mówił Sganarelle molierowski, że ta suknia szczególnie ma własności (que cet habit est purgatif) i że samo noszenie jój zastępuje lekarstwo. Nie ręczyłbym, czy kto nie przypisał katedrze literatury słowiańskiej szkodliwego wpływu na rozum ludzki, i czy lekarze obłąkanych nie wzięli jój za przedmiot patologicznych i psychologicznych badań.“

Po takim orzeczeniu podziwiać musimy odwagę pana Leger, iż tak zuchwale obłączy ową suknię Sganarella tyle złowrogą dla jego poprzedników.

Profesor historii w kolegium francuzkiem, Fustel de Coulanges, wziął sobie oddawna za przedmiot badań ustrój społeczny różnych ludów europejskich. Dzieło jego o starożytnej Grecyi p. t. „Cité Antique“ obala zupełnie pojęcia, jakimi Europa niedawno jeszcze kierowała się w sądach swoich o starożytnych republikach. Wyobrażano je sobie rządzące się, że tak powiemy, jakimś prawem furierowskiego komunizmu, według którego własność jest kradzieżą. Profesor wykazał dowodami, że instytucye ateńczyków a nawet spartanów opierały się na tych samych podstawach, ktore były i są podziś dzień kamieniem węgielnym cywilizacyi europejskiej, to jest, że prawo osobistego dziedziczenia daje rękojmię moralności publicznej, gdy tymczasem komunizm odpowiada wyłącznie ludom anaryjskiej czyli pasterkiej cywilizacyi.

Obecnie p. Fustel de Coulanges zajmuje się wielką pracą: „o własności u starożytnych germanów.“ Co do tych ostatnich panowały również błędne uprzedzenia, wielu historyków widziało w nich realizatorów komunizmu. Uczony profesor wykazuje dowodami, że za czasów Tacyta germanie znali już własność ziemską, przywiązaną do osób.

Na jednem z ostatnich posiedzeń Akademii nauk społecznych, odczytał p. F. C. ważny wyjątek z pracy swojej. Cytuje nasamprzód parę ustępów z Cezara i Tacyta, które błędnie tłómaczone dały powód do przeczenia własności osobistej. Obok tych pokazuje inne teksty przeciwnego znaczenia i niezbitemi potwierdza je faktami. Z całego sze-

regu dowodów wypływa, że germanie już za czasów Cezara nie należeli do ludów koczowniczych, lecz byli rolnikami. Wykazuje potem, że w Germanii były odrębne kasty; wlicza ich pięć, to jest: niewolników, poddanych włościan, wyzwolenców, ludzi wolnych, nakoniec rycerstwa czyli szlachty. Przy takim ustroju społeczeństwo germańskie nie mogło być komunistycznym.

Profesor mówi następnie o życiu domowym germanów, opierając się głównie na Cezarze i na Tacycie. Obaj pokazują rodzinę germańską, połączoną ściśle tak dla uprawy roli jak dla potrzeb wojennych. Każda rodzina posiadała w łonie swoim kapłana i sędziego. Stała opieka nad kobietami, prawo wojny, sądy polubowne, wszystko to odnosi się do starodawnego prawa domowego, które już zupełnie osłabło za czasów Tacyty, a jednak w cztery wieki jeszcze po nim zostawiło niejakie ślady.

Starożytna rodzina germańska była więc jednym wielkim ciałem, ściśle zjednoczonym. Obejmowała znaczną liczbę ludzi wolnych i rycerstwa, nie licząc już niewolników i bydła. Była to całość organiczna; części jej połączone były wspólnością interesów, praw i obowiązków. Trzeba wziąć na uwagę, mówi profesor, tę konstytucyjną rodziną, jeśli chcemy zrozumieć sposób posiadania ziemi. Zachodzi pytanie, czy społeczeństwo tak uorganizowane rządziło się prawem komunistycznym, czy też indywidualnym.

P. Fustel de Coulanges, badając prawo dziedziczenia u germanów, określa nasamprzód, jak potrzeba rozumieć wspólność i własność ziemi. Przy organizacyi komunistycznej ziemia należy do całego ludu lub do całego pokolenia, albo do całej wsi, bez różnicy jednostek i rodzin, co rok bywa dzieloną między wszystkich, a jednostka nie ma prawa rozporządzać swym działem, ani go sprzedać, ani darować, ani przekazać własnym dzieciom. Własność indywidualna wcale nie istnieje co do ziemi.

Inaczej było u germanów. Tu ziemia należała do rodziny, która posiadała ją wspólnie jako ojcowiznę i dziedzictwo: należała niepodzielnie do wszystkich członków, nie tylko do żyjących lecz i do tych, którzy mieli się narodzić, słowem do wszystkich w przyszłości pokoleń tej rodziny.

Historyk bada skutki takiego ustroju i przytacza tekst, pokazujące, w jaki sposób majątek nieruchomy i ruchomy przechodził na synów i córki, tak w epoce Tacyty, jak w kilka wieków po nim, u burgundów, saksonów, turyngów, lombardów i innych; wykazuje również, jak starożytne prawo modyfikowało się powoli.

Otóż za czasów Tacyty postawione były trzy zasady: naprzód nie było testamentów; powtóre nie dzielono pomiędzy synów ojcowizny, t. j. własności ziemskiej, starszy wszystko dziedziczył; potrzecie, córki nie brały spadkiem ziemi, miały tylko udział w majątku ruchomym. W cztery wieki później, trzy te zasady usunięte zostały, zastąpiono je innymi. Prawo uznano testament; przywileje starszego

znikły; wszyscy synowie dzielili majątek między siebie; nakoniec córki poczęły dziedziczyć ziemię w razie, gdy brakło synów. Potem, przystępowały do równego podziału z braćmi. To przeistoczenie prawa spełniało się pomału, stopniowo. Zaczęte zapewne w starożytniej Germanii, dokonane zostało po najazdach na Rzym, po zetknięciu się z duchem praw rzymskich i z Kościołem. Ale i wówczas nawet prawa zachowały ślady starodawnych zwyczajów, spostrzeżone już przez Tacyta.

W końcu rozdziału autor zapytuje, czy istniały przykłady własności osobistój w téj epoce? Otóż znajduje w starych annałach teksta, pokazujące je u fryzjonów, a wyraźniej jeszcze u batawów. Tacyt mówi o znakomitym batawcyku, który posiadał własną ziemię i liczne osady.

Sprawa podjęta przez p. Fustel de Coulanges, powtarzamy, nie-
słychaną ma dziś doniosłość, pokazuje bowiem, że prawo własności osobistój istniało u wszystkich ludów cywilizacji aryjskiej. Mogły te ludy skutkiem pierwotnych wędrówek z Azji do Europy dla bezpieczeństwa skupiać się w wielkie grupy rodzinne. Mamy takie przykłady u południowych słowian przyadryatyckich; niedawno jeszcze widziano tu rodziny, złożone z kilkudziesięciu osób, żyjące w majątku niepodzielnym; znika to dziś, a znika w miarę jak ustaje potrzeba wspólnej obrony. Inaczej rzecz się ma z ludami, u których żywioł komunistyczny stanowi rdzenną podstawę bytu społecznego i rozwoju właściwej im cywilizacji. Ta sprawa stoi dziś na porządku dziennym z powodu zgubnej propagandy komunistów europejskich. Silniej od nich bronić się muszą anglicy, najenergiczniejsi przedstawiciele instytucji opartych na indywidualizmie. Spencer właśnie poświęcił ostatnie prace swoje tego rodzaju badaniom. Wyprowadza z nich ten wniosek, że po wszelkich możliwych gwałtach indywidualizm, cechujący wszystkie ludy europejskie, musi wkońcu zwyciężyć.

Fustel de Coulanges nie zajmuje się rozwiązaniem rzeczy na czasy dzisiejsze, a jednak badania jego do tychże samych doprowadzają wynikiów.

Wkrótce po wyprawieniu ostatniej kroniki naszój, nastąpiła śmierć znanego powieściopisarza i publicysty, Edmunda About, nie mogliśmy więc pisać o nim. Więcój on miał szczęścia niż rzeczywistój zasługi; zdobyty rozgłos zawdzięcza szczegółuiej sarkastycznym i paradoksalnym pociskom, jakie rzucał na wszystko niby race ogniste. Urodzony w r. 1824, po ukończeniu nauk, wysłany był kosztem rządu do szkoły archeologicznej w Atenach; ale studia archeologiczne nie miały dla niego powabu. Badał za to życie greków dzisiejszych a raczej zbierał wzorki z odradzającego się społeczeństwa i odmalował je złośliwie w dziele p. t.: „Grecya współczesna.” Łatwym i pięknym stylem zastąpił brak wyobraźni i niedostatek psychicznych poglądów. Sarkazmy te sprawiły, że go nazwano synem Woltera. Dumny z téj nazwy About usiłował ją usprawiedliwić, występując zawzięcie prze-

ciw Kościołowi. Porzucił wtedy powieściopisarstwo i oddał się wyłącznie polemice dziennikarskiej, jako redaktor pisma p. t.: „Wiek XIX.“ Dziennik uitorował mu drogę do Izby: About rzucił się wtedy na pole zapasów politycznych: wspierał namiętnie anti-religijne działania rządu.

Akademia, której główném zadaniem strzedz czystości języka, przyjęła go w roku zeszłym do grona swego, jako wytwornego stylistę na miejsce Juliusza Sandeau. Odkładano jednak uroczyste przyjęcie do czasu, kiedy zachwiane zdrowie nowego akademika do zwykłego powróci stanu. Śmierć tymczasem nie pozwoliła mu przystroić się w zielone palmy. Skłócony z Kościołem syn Woltera, żądał cywilnego pogrzebu: uczyniono zadosyć jego woli. Ten skandaliczny pogrzeb wywołał walkę w salach uniwersyteckich. Dyrektor Akademii Caro w imię naukowego ciała przemówił nad grobem zmarłego. Poważny i głęboko religijny profesor filozofii, uznając zalety pisarza, nie mógł jednak zataić, że nie pochwała bynajmniej polemiki prowadzonej zjadale przeciw Kościołowi. Dobodło to burzliwszą część młodzieży uniwersyteckiej: przy pierwszej lekcji objawiła się niechęć dla profesora; przy drugiej zaciętość wzrosła i z całą wybuchną gwałtownością. Naprózno liczne audytoryum, złożone z 500 osób, usiłowało oklaskami zagłuszyć napastników. W sali powstała wrzawa. Ośmdziesięciu zapaleńców krzyczało przeraźliwym głosem: „Odwołaj słowa wyrzeczone przy grobie!”

Przetrwał to wszystko profesor z odwagą i pełnym godności taktem pozwolił wykrzyzczyć się szaleńcom, a kiedy zabrakło im tchu w piersi, dokończył spokojnie lekcji; z zimną krwią rozbierał nihilistyczny system filozofii Hartmana (die Philosophie des Unbewussten). Każda z lekcji prof. Caro stanowi osobny rozdział nowój pracy krytycznej, którą przysposabia do druku p. t.: „Bóg i przyroda.”

Stosownie do woli władz uniwersyteckich profesor zawiesił kurs na czas nieograniczony, z wielkim żalem publiczności paryzkiej.

Manifestacye tego rodzaju zbyt często niestety powtarzają się tak w Sorbonie jak i w kolegium francuzkiém. Kilka lat temu pobudził do niej burzliwą młodzież profesor wymowy St. Rene Taillandier, wystąpieniem przeciw Robespierowi i innym koryfeuszom wielkiej rewolucyi. Dawniej nieco, w ostatnich czasach cesarstwa, znakomity profesor Edward Laboulay, wystawiony był na podobne zniewagi, obwiniony o sprzyjanie rządowi. Przed nim inny zwolennik cesarstwa, Nisard, zniósł jeszcze groźniejszą napaść ze strony uczniów sorbońskich; ten przecież nie ustąpił kroku, zimną krwią i spokojną postawą zmusił niesfornych do milczenia.

Manifestacya uczniów przeciw prof. Caro, przywodzi na pamięć mnóstwo podobnych przygód. Czterdzieści lat temu, dr. Royer Collard, brat słynnego filozofa, otrzymał katedrę higieny w fakultecie medycznym. Uczniowie, nie radzi z wyboru, wyprawili mu kocią muzykę. Chcąc uniknąć dalszych skandalów, profesor zrzekł się wykła-

du uniwersyteckiego, nie przyjął opieki siły zbrojnej, ale ogłosił wolny kurs higieny w szkole praktycznej.

W dniu otwarcia burzliwa gawiedz napełniła dziedziniec szkolny i przeraźliwym wrzaskiem głośzyła słowa profesora. Po półgodzinnej walce Royer Collard zmuszony był ustąpić. Otoczony garstką przychylniej młodzieży, puścił się w stronę domu, mieszkał po drugiej stronie rzeki. Niesforna gawiedz, miotając obelgi, puściła się w te tropy za nim. Droga wypadła przez most (Pont des Arts), przeznaczony dla pieszych, obciążony w tych czasach taryfą pięciu centymów. W chwili, gdy strażnik podniósł baryerę, profesor składa mu w rękę luidora: „Płacę za wszystkich — rzecze — ci panowie są zemną!”

Tém zręczném wystąpieniem Royer Collard rozbroił nienawiść. Wkrótce potem objął katedrę w fakultecie przy jednomyślnym poklasku uczniów, tych nawet, którzy niedawno ścigali go z taką zawziętością.

Wyszły w tych czasach z druku pamiętniki słynnego kompozytora Flottowa, autora Marty. Przekład ich z niemieckiego na język francuzki ma podobno wkrótce nastąpić. Rzecz to zajmująca dla francuzów, Flottow bowiem długo przebywał w Paryżu, żył się z arystokratycznym światem tutejszym i maluje go w żywy i zajmujący sposób, jakim był przed pięćdziesięciu laty. Zajął nas szczególnie opis wieczoru u markiza Custine, znanego podróżnika.

Custine, mówi autor, posiadał ogromny majątek, imię arystokratyczne i okazały pałac; artyści i literaci zbierali się tłumnie w gościnnych jego progach. Jakkolwiek mało jeszcze znany, otrzymałem zaszczytne wezwanie. Przybyłem zawczasu, aby przypatrzeć się wchodzącym, w miarę jak odźwierny wymawiał ich imiona.

Ukazał się nasamprzod Horacy Vernet, sławny malarz scen wojennych w Algerze. Podobny był do wodza beduinów, tak miał cerę ogorzałą na słońcu afrykańskim. Za nim weszli dwaj rzeźbiarze, baron Marchetti i hrabia Ninwerkerke; Gudin, malarz marynarki, głośny powieściopisarz Balzak i Appert, gorliwy organizator więzień, przewany dobroczyńcą galerników. Posłyszałem wreszcie imię Chopina: zwróciłem nań pilną uwagę. Dosyć był wysoki, wychudły chorobliwie, cierpienie malowało się w jego rysach. Zbliżył się żywo do gospodarza i zapytał go półgłosem.

— Czy ona tu dziś będzie?

— Mam nadzieję — rzekł cicho zagodniony.

Spytałem jednego z sąsiadów moich, kogo się jeszcze spodziewano.

— Alboż to pan nie wiesz? czekają tu na baronową Dudevant.

W chwilę potem służący przystąpił do markiza i szepnął mu coś na ucho. Custine wyszedł i wrócił niebawem, prowadząc pod ramię kobietę. Odźwierny zawołał na głos: „Pani George Sand.”

Wszyscy otoczyli nowo-przybyłą; każdy pragnał pierwszy powi-

tać gwiazdę, a przynajmniej przypatrzeć jej się zblizka. Jednem odpowiadała uśmiechem, drugiemu miłém słówkiem, najszcześliwszym podawała rękę; do tych należał Chopin. Wsparty o kolumnę, nie spuszczałem z oka tak uczczonęj autorki. Nie była piękną, młodość jej już minęła, nic szczególnego nie uderzyło mnie w jej powierzchowności.

Rozpoczął się koncert.—Po kilku mniéj znaczących urywkach zaproszono Chopina do fortepianu. Zagrał mazura, jednego z najpiękniejszych z całego repertuaru swego. Przyjaciele utrzymywali, że gra artysty w tym dniu więcéj była niż kiedy gorączkową. Gdy powstał, nastąpiła długa przerwa. Wówczas to Georges Sand, ze zdumieniem obecnych, zażądała cygara, nie już malenkijéj cygaretki wschodnijéj, ale wielkiego, zwyczajnego cygara. Potrzeba było znać Paryż w téj epoce, aby wyobrazić sobie wrażenie, jakie to sprawiło na wytworném gronie dam zebranych w domu markiza Custine. Młodziéż ówczesna lękała się wstrętną wonią odstraszyć wytwornych arystokratek. Kiedy byliśmy zaproszeni na wieczór, żaden z nas nie poważył się palić przez cały dzień tytoniu. Przyniesiono żądane cygaro pani Georges Sand; drzwi od ogrodu roztworzono na oścież. Słynna kobiéta zarzuciła płaszcz, włożyła na głowę kapelusz i przechodziła się sama po alejach, puszczać w górę kłęby dymu. Młode panie znalazły to bardzo oryginalném; starsze widziały w tém wielką nieprzyzwoitość; młodzież była oczarowana, mężowie niespokojni utyskiwali na zły przykład. Ale wszystko ma koniec na świecie—skończyło się téż i cygaro pani Sand. Rzuciła je na ziemię i wróciła do salonu.

Proszono Chopina, aby zagrał jednę z nowych kompozycji. Odmawiał zrazu, nakoniec zdecydował się na improwizacyą. Odegrał preludjum, potém wstał i rzekł do markiza, iż pragnie czerpać natchnienie w oczach słynnéj pisarki, prosi więc, aby stanęła naprzeciw niego Georges Sand; skłoniła się do próby, wlepiła oczy w improwizatora. Ten uderzył pierwsze akorda; wszyscy śmiertelni i nieśmiertelni otoczyli go wieńcem — słuchali zachwyceni.

Minęło odtąd lat czterdzieści—kończy Flottow—a pamiętam jeszcze ową improwizacyą, jakbym ją wczoraj słyszał. Zaczął od najniższych tonów i zapomocą pedałów oddał wrażenie szalonéj burzy. Potém przeszedł w dziwnie słodką i rzewną melodyą, zakończył wreszcie cudnym marszem tryumfalnym. Niesłychany zapał ogarnął słuchaczów. Georges Sand gorącym uściskiem ręki wyrażała mistrzowi swój zachwyty. Wstał od fortepianu bładny i drżący, zaledwie mógł oddychać. W kilka minut potém rozeszli się obecni. Odszedłem prawdziwie oczarowany: słyszałem bowiem poraz pierwszy wielkiego Chopina i widziałem poraz pierwszy palącą cygaro najsłynniejszą kobietę we Francyi!

Towarzystwo międzynarodowe artystyczno-literackie obchodziło niedawno dwóchsetletni jubileusz komedyopisarza Holberga, nazwanego Molierem duńskim. Ludwik Ulbach przydował uroczystości, Alfons Pagés opowiedział życie poety, przeplatając rzecz krytycznym poglądem na dramatyczne jego prace. Nastąpiły potem melodie skandynawskie, wykonane przez biegłych artystów. Uczniowie konserwatorium odegrali akt jeden pełnej dowcipu komedii Holberga pod tytułem „Jakób v. Tikoe.“ Uroczystość zakończyła się uwieńczeniem popiersia, przy czém odczytano wiersz Ludwika Ratisbonne.

Holberg urodzony w dziesięć lat po skonie Moliera, stał się dla kraju swego tém, czém był Molier dla Francyi, twórcą komedii narodowej. Nim wpadł na tor odpowiedni geniuszowi swemu, długo szukał właściwej sobie drogi. W Kopenhadze badał teologią, biegły w językach obcych wykładał je po szkołach. Wszystko to nie wystarczało mu jeszcze, nieprzeparta siła pchała go w świat nieznan. Pozbawiony środków na dalekie podróże, przebiegł piechotą Holandya, Francya, Anglią, Niemcy, następnie Włochy. W Oksfordzie słuchał wykładu filozofii, w Rzymie zasmakował w dramatycznych widowiskach; za powrotem do kraju skreślił historyczny zarys państw europejskich. Dzięki tej pracy otrzymał w Kopenhadze katedrę historii, a następnie literatury powszechniej. Wówczas-to, badając wielkich poetów, utworzył sam poemat heroikomiczny pod tytułem „Piotr Paars:“ wyszydza w nim niezgrabnych naśladowców Homera i Wirgilego. W tych alegorycznych obrazach pedanci poznali własne postacie swoje, oskarżyli poetę o złośliwe oszczerstwo. Holberg, osłonięty opieką króla Fryderyka IV-go, żartował z tych pocisków i ostrą satyrą odcinał się napastnikom.

Od satyry przeszedł do komedii. Przełożył nasamprzód „Skapca“ Moliera. Pierwsza to była sztuka odegrana po duńsku w teatrze kopenhadzkiem; do owych czasów wędrowni aktorowie odgrywali tylko francuzkie lub niemieckie sztuczki, dostępne wyborowej publiczności. Holberg wprowadził pierwszy na scenę język ojczysty, a wkrótce potem popróbował sił w oryginalnych utworach. Jakkolwiek szedł torem Moliera a zarazem Plauta i Terencyusza, umiał nadać typom łańskim i francuzkim oryginalną fizyognomią duńską. Nic nie uszło przed bystrém jego okiem, chłostał zakorzenione przesady i śmieszności społeczeństwa swego. Komedye Holberga w liczbie trzydziestu czterech tworzą charakterystyczny obraz ówczesnych ludzi, skreślony z niezrównanym dowcipem. Do najpopularniejszych należą: „Hans Mikselsens,“ utwór polityczny, satyra wymierzona przeciw nieukom, mięszającym się w polityczne sprawy; „Jan z Francyi,“ krytyka duńczyków, wracających z Paryża do kraju; „Ulyses z Itaki,“ chłosta na pychę niemiecką, „Didier postrach ludzi“ wyborny typ zawadyaka. Komedye te znalazły niesłychaną wziętość, przekładano je na różne języki. Umarł poeta w dostatkach, obsypany tytułami i zaszczytami.

Uroczystość Holberga smutne nasunęła nam myśli. Nie ubli-

zając duńskiemu poecie, zapytajmy tylko, czy nasz Jan z Czarnolasu nie położył większych zasług w sprawie ogólnej cywilizacji, jako jeden z wielkich zapaśników odrodzonego klasycyzmu, jako humanista piszący wytwornie językiem Horacych i Cyceronów, zarówno zrozumiałym w jego oczach nad Sekwaną jak i nad Wisłą?

Dlaczego trzechsetletni jubileusz Jana Kochanowskiego nie znalazł odbicia w Towarzystwie międzynarodowym, które tak uczciło Holberga, nie wiemy sami co na to odpowiedzieć. Mamy obwiniać kilku ziomków, reprezentujących w Towarzystwie narodowość naszą? nie oskarżajmy ich o obojętność. Dowiedli oni miłości dla księcia poetów naszych, występując czynnie na własnym polu. Jeśli cośkolwiek wstrzymało ich w zabiegach o międzynarodowy hołd, na rzecz wielkiego przedstawiciela złotej epoki Zygmuntofskiej, to chyba obawa azali pomysł ich znajdzie eeho w dzisiejszém społeczeństwie francuzkiem. Uczucie godności narodowej poszepnęło im może: est tempus tacendi!

Nowa powieść historyczna Ebersa p. t. „Serapis“ zwróciła tu powszechną uwagę. Rzecz odbywa się za panowania Teodozyusza, w czasach wielkiego przełomu, kiedy pogaństwo znika wobec tryumfującego Chrześcianaństwa. Głęboki erudyta w szeregu mistrzowskich obrazów, umiał wskrzesić starożytne społeczeństwo i przedstawić je w żywym świetle. Powieść ta nie ustępuje dawniejszym utworom autora, jak „Ouarda, Córka Faraonów“ i inne. Walka miłości z gorącym uczuciem wiary, jakie ożywiało pierwszych chrześcian, stanowi główną osnowę znakomitej powieści. Przekład francuzki ukaże się niebawem.

KONKURS NA PROJEKT POMNIKA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Z dniem 1 lutego upłynął ostateczny termin konkursu na projekt pomnika Mickiewicza. Nadesłano ogółem trzydzieści jeden projektów w formie warunkami konkursu zawarowanej ¹⁾, to jest w modelach gipsowych, nadto kilka fotogramów i rysunków architektonicznych, które, jako nieodpowiadające powyższym warunkom, pozostały właściwie poza konkursem. Dnia 7-go lutego nastąpiło w Krakowie otwarcie wystawy modeli w Sukiennicach, a 1-go marca zebrał się sąd konkursowy, w którego skład weszli: dwaj zaproszeni cudzoziemscy rzeźbiarze, dyrektor Guillaume z Paryża i prof. Zumbusch z Wiednia, hr. Karol Lanckoroński, architekci: prof. Sławomir Odrzywolski i Tomasz Pryliński, oprócz nich: Paweł Popiel, hr. Konstanty Przezdziecki, Alfred Römer, hr. Sierakowski, prof. Maryan Sokołowski i prof. Julian Zacharjewicz.

Z trzydziestu jeden projektów konkursowi rzeczoznawcy wybrali tylko sześć, zdaniem ich najlepszych, do bliższej oceny, uznając pozostałe za nie odpowiadające warunkom. Temi wybranymi projektami były: nr. 6 z godłem „Świtez,” nr. 8 „Z pod jego dębu,” nr. 11 „Odrodzenie,” nr. 22 „Wieszczowi naród,” nr. 24 „Sursum corda“ i nr. 28 „Myśli moje! Gwiazdy moje!“ N-ra 28, 8 i 24 upadły przy następném głosowaniu. Ogłoszony dnia 2-go marca wyrok, przyznał pierwszą nagrodę p. Tomaszowi Dykasowi za model „Świtez,” drugą p. Sławomirowi Celińskiemu z Warszawy za model „Odrodzenie,” trzecią p. Tadeuszowi Barączowi ze Lwowa za model „Wieszczowi naród:“

¹⁾ Warunki konkursu, zob. Bibl. Warsz., zesz. kwietniowy r. 1884.
str. 151.

Oczekiwany z biciem serca wyrok sędziów konkursowych (jury) spotkał się z powszechnym niezadowoleniem i spowodował liczne protesty, tak ze strony samych artystów jak dzienników, młodzieży akademickiej i korporacji literacko-artystycznych. Rozbudziły się namiętności, powstał zamęt zdań i opinii, tém większy, że motywa, na których sąd konkursowy oparł swe orzeczenie, nikomu nie mogły być znane.

Znany już dziś protokół narad sądu konkursowego, lubo rzuca pewne światło na przebieg dyskusji i grupowanie się głosów, nie daje jednak wyczerpujących motywów, któreby orzeczenie jury należycie uzasadniły ¹⁾. Wyrok jest wynikiem głosowania; ale to głosowanie

¹⁾ Dla dokładniejszego obznajmienia czytelnika z materiałem dowodowym w sprawie, o której mówi studjum sz. autora, przytaczamy powołany protokół w autentycznym jego brzmieniu:

Protokół dwóch posiedzeń sędziów konkursowych, obradujących nad modelami pomnika Adama Mickiewicza:

I. Działo się w Krakowie dnia 1 marca 1885 roku w Sukiennicach o godzinie 12-tój.

Obecni: dyrektor Guillaume, hr. Karol Lanckoroński, profesor Sławomir Odrzywolski, Jego Eksc. Paweł Popiel, hr. Konstanty Przezdziecki, architekt Tomasz Pryliński, Alfred Roemer, hr. Adam Sierakowski, profesor Maryan Sokołowski, profesor Julian Zacharzewicz, profesor Zumbusch.

Po zawiązaniu Sądu konkursowego przez d-ra Szlachtowskiego, prezydenta miasta Krakowa, przystąpiono do wyboru przewodniczącego i 10 głosami powołano JEks. P. Popiela, który objawszy przewodnictwo, powołał na sekretarza Antoniego Beaupré, członka Komitetu budowy i zagał posiedzenie podziękowaniem zagranicznym artystom za gotowość, z jaką zechcieli dzielić naszą pracę. Następnie zastanowił się nad porządkiem, w jakim Sąd konkursowy przystąpić do pracy powinien, a po odczytaniu na żądanie prof. Sokołowskiego warunków konkursu, pan Gorzkowski, sekretarz Jana Matejki dyrektora Akademii sztuk pięknych, złożył na ręce przewodniczącego list i rysunek, pochodzące od mistrza Matejki z żądaniem, aby Sądowi konkursowemu przedstawione były; jakoż znakomity ten pomysł przedstawiony został członkom, pismo zaś udzielone do przeczytania wszystkim rozumiejącym po polsku. Sąd konkursowy oceniając gorliwość autora projektu i listu, jakkolwiek przyszedł po terminie prekluzyjnym i w formie wykluczonej przez program, przyjął go z zajęciem i uznaniem, i polecił złożyć go do Komitetu, jako cenny materiał i objaw obywatelskiej gorliwości.

Przewodniczący wskazał w dalszym ciągu, jako sposób najwłaściwszy dojścia do rezultatu, potrzebę sumiennego obejrzenia modeli i wyłączenia tych, które na przyjęcie nie zasługują.

Prof. Sokołowski zażądał, aby modele nie uznane za odpowiednie usunąć z sali, a dla łatwiejszego zorientowania ustawić pozostałe w jednym rzędzie. Od tego wniosku dla względów technicznych odstąpiono i rozpoczęto czynność od n-ru 27, i uznano za nie mające nadziei utrzymania się

nie było poprzedzone gruntowną oceną, modele nie były badane ściśle i nie ze wszystkich punktów widzenia, a już najmniej chyba ze stano-

w konkursie, numer katalogu: 1, 3, 4, 5, 7, 9, 12, 14, 15, 16, 25, 26. Kiedy miano przystąpić do drugiego wyłączenia i następnego obejścia modeli, podniósł prof. Sokołowski, że należałoby motywować przy każdym modelu przyczyny, dla których odrzuconym został; przywiódł zarazem przykład konkursu na pomnik dla Aleksandra II w Petersburgu, przy którym motywa sądu nawet w osobnej broszurze wyrażone i omawiane zostały; i sądził, że jeżeli w Petersburgu tę sprawę tak sumiennie traktowano, to témbardziej My powinniśmy dokładnie się zastanawiać nad pomnikiem, który dla nas ma tak wielkie znaczenie. Tutaj prof. Zacharjewicz wyraził zdanie, że obok sumiennój pracy wielu artystów, wyrażenie ujemnych stron ich dzieła, działałoby bardzo pogńębiallyco na ludzi, którzy pracowali z dobrą wolą, choć nie zawsze przysługiwała im odpowiednia zdolność.

Dyrektor Guillaume wyraził przekonanie, że tylko dodatnie strony modeli podnieść należy. Mimo to jednak Komisya konkursowa jak najsu-
mienniej dyskutując ujemne i dodatnie strony każdego modelu, postanowiła odrzucania projektów nie motywować, a zarazem na wniosek tegoż dyrektora Guillaume i prof. Zacharjewicza wydać kilka listów pochwalnych dla znakomitszych modeli, któreby nagrody nie otrzymały. Przy drugim głosowaniu, które przy każdym modelu poprzedziła dłuższa dyskusya, postanowiono usunąć, jako nie posiadające odpowiednich warunków następujące numera:

- 10-y — 7 głosami przeciwko 4,
- 17-y — jednomyślnie,
- 18-y — 9 głosami przeciwko 2,
- 20-y — jednomyślnie,
- 21-y — 10 głosami przeciwko 1,
- 23-i — 9 głosami przeciwko 2,
- 27-y — 8 głosami przeciwko 3,
- 30-y — 7 głosami przeciwko 4,
- 31-y — jednomyślnie.

Przystąpiono natychmiast do trzeciego obejścia i głosowania, w czasie którego odpadły:

- Nr. 2-i — 10 głosami przeciwko 1,
- Nr. 19-y — 8 głosami przeciwko 3,
- Nr. 29-y — 6 głosami przeciwko 5.

Przy ostatecznym obejściu odpadł nr. 13 — 8 głosami przeciwko 5, i zostało sześć modeli, mianowicie:

- Nr. 28-y z godłem „Myśli moje, gwiazdy moje,“
- Nr. 8-y „ „Z pod jego dębu,“
- Nr. 22-i „ „Wieszczowi naród,“
- Nr. 6-y „ „Świtez,“
- Nr. 11-y „ „Odrodzenie,“
- Nr. 24-y „ „Sursum corda.“

wiska idei, której Mickiewicz był wcieleniem i która w stawianym mu pomniku swój wyraz znaleźć powinna. Rzucane dorywczo zdania,

Sąd konkursowy mając przed sobą tylko sześć modeli, uznał przedewszystkiem nra 28 i 8 za niekwalifikujące się do otrzymania pierwszej nagrody. Zaczęła się zaś dyskusja o wartości czterech pozostałych, w której pierwszy zabrał głos dyrektor Guillaume i oświadczył, że uważa Nr. 6 jako względnie najlepszy. Odnacza on się wielką prostotą, doskonałością wykonania, pięknym pomysłem dwóch figur po obu stronach pomnika, wdzięczną postacią dzieci czerpiących ze źródła poezji i pomysłem orła, który pomnikowi nadaje cechę wyrazistą narodową; wprawdzie możnaby żądać dla pomnika największego wieszca więcej natchnienia i więcej podniosłości; projekt jest w ogóle zbyt skromny dla celu i dla miejsca, na którym ma stanąć; ale ostatecznie najlepiej stosunkowo wykonane i najbardziej wykonalny układem artystycznym odpowie najbardziej wymaganiom. Prof. Sokółowski przyłączył się do tego zdania. Uważał jednak, że projekt téż poprawek potrzebować będzie, które dokładnie wykonane odpowiedzą zadaniu. Przy wielkich swoich przymiotach, pomnik potrzebować będzie zmian w tylnej części. Niewiadomo bowiem, czemu orzeł w basenie umieszczony został; lepiej postawić go na odpowiedniej podstawie. Nadto głowa i postać wieszca, staranniejszego wymaga opracowania.

Hr. Lanckoroński dzieli zdanie poprzednich znawców, podnosi jednak, iż dwie postacie dziwnie pięknie ułożone, mające przedstawiać przeszłość i przyszłość, nie symbolizują dostatecznie tych niepochwytnych wyobrażeń. Obok tego cały pomnik ma zbyt mało cechy narodowej, tak że zmiany w tym kierunku są nieodzowne. Pragnie zatem i obstać mocno, aby dwie poboczne postacie niosły cechy narodowe w wyrazie twarzy i układzie, i aby przedstawiały Litwę i Koronę. Postać poety powinna być goręcej poczuła, strój nie tak zmodernizowany, a głowa podniesiona w górę.

Hr. Przewdziecki dzieli zdanie hr. Lanckorońskiego, chce jednak oceniać pomnik ze stanowiska publiczności i żąda dlatego, aby tak w osobie jak wyrazie wieszca było uwydatnione poczucie jego apoteozy. Prof. Zumbusch mówi: Nr. 6 robi nadzwyczaj sympatyczne wrażenie. Jest spokojny, harmonijny i odnacza się czystością linii i wykonania. Postać poety jest tak delikatnie wypracowana, że robi wrażenie niewieście, a całość pomnika przy małych poprawkach odpowiada zupełnie wymaganiom. Prof. Odrzywolski łącząc się ze zdaniem poprzednich mówców, kładzie nacisk na uwagę hr. Lanckorońskiego, aby o ile można w dwóch pobocznych postaciach zmianą ubrania głowy w myśl hr. Lanckorońskiego upostaciować Litwę i Koronę. Nadto zrobił uwagę, że zmiany w architekturze będą konieczne, bo taka jak w modelu, nie odpowiada ściśle materyałowi przepisanej w warunkach konkursu. Prof. Zacharjewicz dzieli zdanie poprzednich mówców co do wartości modelu. Uważa go za najlepszy z przedstawionych. Upatruje w nim wielką harmonię linii, a nie zraża się wcale obawą, że może on zrazu nie odpowie życzeniom publiczności, bo ta nie składa się z samych znawców i nie jest u nas dość artystycznie wykształcona, a złożyła orzeczo-

nie zawsze znajomością rzeczy nacechowane, nie mogły rzucić wiele światła. Odzywały się wprawdzie głosy trafne, wypływające z jasnej

nie w ręce sędziów, którzy tylko według sumienia sądzić mogą. Prof. Sokołowski i zabrawszy głos robi powtórnie uwagę, że można pomnikowi nadać wyższe natchnione cechy, ale nie jest zdania, aby postacie na podstawie miały przedstawiać Litwę i Koronę; tego rodzaju zmiany mogłyby bez celu wywołać pewną dwuznaczność, kiedy alegorya przeszłości i przyszłości jest zupełnie właściwa i ogólno-ludzka, która w Mickiewiczu swój wyraz znajduje. P. Pryliński zgadzając się na to, że pod względem estetycznym model nr. 6 na pierwszeństwo zasługuje, nie może oprzeć się poczuciu, że za mało się w niem odzywa tętna narodowego. Sama piękność nie wystarcza, żąda więc, aby w wykonaniu brak ten był uwzględniony i dopełniony. Hr. Sierakowski upatruje więcej negatywne zalety w modelu nr. 6. Ma on ze wszystkich najmniej błędów. Nie uważa on go za mogącym być poleconym do wykonania, chyba pod warunkiem, gdyby poprawki według myśli hr. Lanckorońskiego były uskutecznione; w każdym razie należałoby podnieść indywidualność pobocznych postaci, które są zbyt do siebie podobne, w kierunku narodowym, który musi być głównym typem pomnika. Treścią i konkluzją przemowy hr. Sierakowskiego było, że jakkolwiek model jest względnie najlepszy, ale do pierwszej nagrody nie powinien być przedstawiony. P. Roemer łącząc się ze zdaniem p. Sokołowskiego, sądzi, że na przypadek, gdyby dwie inne postacie poboczne miały przedstawić Litwę i Koronę, umieszczenie Rusi na pomniku stałoby się konieczne. Ztąd nagromadziłaby się zbyt wielka liczba figur, dlatego myśli tej popierać nie można. Uważa pomnik za zbyt skromny dla Mickiewicza i nie poleca go do pierwszej nagrody.

Przewodniczący po wysłuchaniu wszystkich głosów, przemówił w tych mniej więcej słowach: „Uznał wielkie zalety w wykonaniu, oglądzie i technicznych zasługach modelu Nr. 6, nie znajduje w nim jednak tego wyższego nastroju, który powinien cechować pomnik dla naszego największego a narodowego wieszca. Przyszłe czasy nie będą tu szukać tyle artystycznej doskonałości, ile duchowego natchnienia i siły. Te zalety upatruje mówca w wyższym daleko stopniu w Nrze 11. Nie razi go podobieństwo do rzymskiego senatora, boć profesor i wieszcz ma prawo do togi i laurowego wieńca. Modelowanie twarzy i podobieństwo do mistrza, pewne wyższe natchnienie zalecają do wykonania ten pomnik już przez swoją monumentalną formę. Piękne postacie, które okalają podstawę, pomiędzy którymi „wiara“ odznacza się wyższym ideałem, wykwintne medaliony na podstawie, zdradzające wielką znajomość sztuki medalierskiej, podnoszą wartość modelu, któremu tylko potrzeba obniżyć pierwszą podstawę, aby go zrobić zupełnie godnym Mickiewicza narodu i miejsca na którym ma stanąć. Kończąc, zwrócił mówca uwagę na nastrój duchowy, do którego ten model potęgą swoją przemawia, a który braki, jakieby się znalazły, niewątpliwie ukryje.

Hr. Lanckoroński powracając do swęj myśli, modyfikuje ją w ten sposób, aby postacie poboczne miały legendarne znaczenie, którą myśl po-

świadości idei, której pomnik ma być urzeczywistnieniem, jak np. kilkakrotne przemówienie prezydującego JEksc. Pawła Popiela; ale,

piera hr. Przeczdziecki. Prof. Odrzywolski w sprzeczności zdania przewodniczącego, uważa, że figury w Nrze 11 nie wiążą się organicznie z całością pomnika, że mogłyby stać zarówno w inném miejscu, a że ogrom podstawy robi pomnik nie tyle niewykonalnym, jak zbyt wyniosłym. Prof. Zacharjewicz również sprzeciwiając się zdaniu przewodniczącego, podniósł, że prostota w wykonaniu Nru 6 jest dowodem jego genialności i monumentalności. Kiedy tak o zaletach Nru 6 i 11 wspomniano, p. Pryliński zapytał, czy Sąd konkursowy pomiędzy modelami ma oznaczyć ten, który jest względnie najlepszy, czy też ten, który ma otrzymać pierwszą nagrodę. Przewodniczący zrobił uwagę, że gdyby w obecnym konkursie nie znalazł się żaden model na pierwszą nagrodę zasługujący, wedle pierwotnych warunków należałoby się udać do zagranicznych artystów, czego wobec prac wystawionych uniknąć można i należy. Po głosie p. Odrzywolskiego, który tylko względne pierwszeństwo przyznawał Nru 6, otworzył przewodniczący dyskusję nad pytaniem, czy wogóle pierwsza nagroda ma być udzielona. Prof. Sokołowski żąda uporządkowania sześć wybranych modeli obok siebie, a następnie zastanowienia się, czy któremu z nich nagroda pierwsza udzielona będzie. Dyr. Guillaume, powołując się na czynności innych konkursów, jest zdania, że obowiązkiem Sądu jest wynagrodzić ten model, który jako najlepszy odpowiada celowi, dodać wszelkie rady co do poprawek w wykonaniu, jakie się potrzebne okażą, a zostawić ostatecznie komitetowi, czy pomnik ma być wykonany według modelu czy nie. W żadnym jednak razie Sąd konkursowy rozejść się nie może bez oznaczenia najlepszego modelu i bez przyznania pierwszej nagrody; témbardziej, że obecny konkurs przynosi zaszczyt krajowi.

Tu zwrócił uwagę przewodniczący, że nad kwestyą poruszoną przez dyr. Guillaume dyskusję przeprowadzić należy. Prof. Zumbusch sądzi, że chodzi o porównanie i ustawienie modeli, podług ich wartości, a nie można przesądzać czy wykonanie jest możliwe. Zadanie Jury nie sięga dalej, jak do przyznania nagród. Prof. Sokołowski, zastanawiając się nad zaletami modelu Nru 6, podniósł piękny szczegół dzieci czerpiących ze źródła poezyi; uważając potrzebę poprawek w trzech postaciach pomnika wedle już wskazanego kierunku, przyznaje komitetowi ostateczne prawo orzeczenia, czy model premiiowany ma być oddany do wykonania autorowi.

Tu przewodniczący objawił swoje zdanie, że wedle warunków konkursu, zdawałoby się, iż nagrodzonemu przysługuje prawo wykonania pomnika. P. Odrzywolski mówi, że Sąd ubliżyłby sobie, gdyby tylko ograniczył się na orzeczeniu, który projekt jest względnie najlepszy, a ocenę czy tenże w duchu warunku konkursu, kwalifikuje się do wykonania, zostawił do rozstrzygnięcia Komitetowi.

Dyr. Guillaume, proponując Nr. 6 do nagrody i wysłuchawszy uwag, w toku dyskusyi poczynionych, musi zauważyć, że punkt widzenia cudzoziemca na sprawę pomnika usprawiedliwia jego zapatrywanie. Podług

rzecz zaiste dziwna, nie odezwały się one echem w gronie rzeczoznawców. Dyskusya przeszliżgiwała się po wierzchu, nikt jakoś nie miał

tego co wiem o Mickiewiczu i co w moim narodzie sądzą o jego dziełach, uważam tego poetę za geniusz klasyczny, natchniony legendami swojego narodu. Widząc zaś pomiędzy projektami wystawionemi model wykonany w stylu klasycznym i słysząc, że można go znacznie zmienić w duchu narodowym, zaproponowałem jego nagrodzenie. Uchwała jednak ta powzięta nie może być w żadnym razie bezwzględna i nie może rozstrzygać o wykonaniu. Model ten może być z przedstawionych najlepszy, a sądząc ze sposobu wykonania, pochodzi on od artysty, który, zastosowawszy się do wskazówek tu udzielonych, może wykonać prawdziwe dzieło sztuki.

Przypominam, żeśmy porobili silne zastrzeżenia. Uderzyło mnie porównanie z modelem Nru 11. Rozumiem dobrze pociąg, jaki nasz sz. przewodniczący do tego projektu czuje; rozumiem jego poetyczne i mistyczne znaczenie; te postacie skrzydlate, przemawiałyby do ludu; należy więc przeprowadzić dyskusję nad obu modelami, a dopiero potem przystąpić do głosowania. Prof. Zumbusch uważa, że Sądowi konkursowemu nie tyle przysłuży prawo wskazywania zmian w projektach, ile stanowcze orzeczenie, który jest najlepszy i na nagrodę zasługuje, do czego właściwie Sąd konkursowy zwołały został.

Gdy tutaj przewodniczący postawił pytanie katagoryczne: czy projekt Nru 6 odpowiada warunkom konkursu, prof. Sokołowski uznał za potrzebne uczynić podobne zapytanie co do Nru 11.

Na tém zamknięto posiedzenie o godzinie 5 1/2 wieczorem i naznaczono przyszłe posiedzenie na dzień następnny o godzinie 10 z rana.

II. Działo się dnia 2 marca 1885, w obecności tych samych członków Sądu konkursowego.

Przewodniczący zagaja posiedzenie o godzinie 10 1/2 i zabiera głos w słowach następujących:

Powracam do Nru 11, nie dlatego, aby go porównywać, ale aby ocenić jego wartość bezwzględną. Pomimo wielkich zalet Nru 6, efekt monumentalny projektu oznaczonego Nrem 11, daleko więcej odpowiada uczuciom publiczności i celowi pomnika. Forma zbyt klasyczna razić nie powinna, nie jest ona obca i czasem odrodzenia, a jeżeli pierwsze czasy odrodzenia mają w sobie więcej bujności, to późniejsza jego epoka zbliża się bardziej do klasycznych typów. Choćby podobieństwo głównej postaci nie było tak zupełne, jak w innych modelach, to nie o to idzie, aby Mickiewicz był przedstawiony jakim był, ale tak, jak go sobie wystawiamy.

Prof. Sokołowski przyznaje, że Nr. 11 ma także swoje przymioty. Płaskorzeźby np. są wykonane bardzo ładnie i figury poboczne są to kreacye bardzo piękne, a ideo przez nie wyrażone bardzo dobrze poczute. Postać główna jest pojęta w sposób poważny i imponujący. Głowa ma pewne podobieństwo. Poza jest nieco do poprawienia; noga zbyt mocno naprzód wysunięta, cała figura zbyt ciężka i przeważa się na prawo. Piedestał jest wprost

ochoty sięgnąć głębiej w istotę rzeczy, chociaż zagraniczni artyści,

niemożliwy, a w całej budowie podstawy są strony zupełnie złe. Pod tym względem model Nru 6 jest o wiele lepszy. Chodzi także o to, jaki efekt robiłyby pomniki na placu, na którym stanąć mają. Otóż Nr. 6 odpowiadałby daleko lepiej otoczeniu; wreszcie zachodzi pytanie, który z autorów tych modeli daje większe gwarancje należytego wykonania. Pod tym względem żaden zdaniem mówcy nie odpowiada wymaganiom. Wogóle strona artystyczna jest lepsza w modelu Nr. 6, strona monumentalna przemawia więcej za Nr. 11.

Dyr. Guillaume zabrał głos w następujących słowach:

Model oznaczony Nr. 6 łączy w sobie, mojem zdaniem, wiele przymiotów artystycznych; przyznać jednakże trzeba, że charakter pomnika Nru 11 jest pełen poezji i pewnego mistycyzmu, o którym już wspomniałem. Piękne figury skrzydlate są pojęte w duchu religijnym i mają w sobie wiele poezji. Robią one jednak wrażenia, jakby się błękały wokoło podstawy. Medaliony trzech cnót kardynalnych są klasyczne, ale postać poety jest jakby zaplątaną w odzieży i źle zrównoważoną. Ruch ręki ku piersi wyraża piękną myśl zupełnego poświęcenia Mickiewicza dla idei. Wogóle jednak pomnik ten zamało zaznacza charakter poety. Co do piedestału, to ten jest bez żadnej architektury i musi być gruntownie zmieniony. Przechodząc do Nru 6, przyznać trzeba, że architektura jest w nim znacznie lepsza, ale ten pomnik jest zimny, bez życia i poezji i pod względem narodowym nie dość sympatyczny. Piękna alegorya dzieci czerpiących ze źródła poezji ma charakter klasyczny,—a nagość ich jest zbyt gimnastyczna; pod tym względem zmiany są konieczne. Warunki konkursu nie powiadają wcale, że wykonanie pomnika musi być oddane artyście, który pierwszą nagrodę otrzyma. Proponuję więc, aby urządzić drugi konkurs pomiędzy tymi artystami, którym trzy pierwsze nagrody przyznane będą. Mogę tu podnieść z mego doświadczenia w konkursach francuzkich, że tam może otrzymać wykonanie tylko ten artysta, który przedłoży dokładny kosztorys swego pomnika. — Wymaganie to jest zupełnie słuszne. Pomnik stawia się na wieki, musi on więc być dostatecznie trwały,—a artysta prowadzący budowę, powinien dać gwarancję, że jego pomnik odpowie warunkom trwałości; możeby więc dobrze było decyzje wykonania ostatecznie zawiesić i rozstrzygnięcie w tej sprawie zostawić przyszłemu konkursowi.

Prof. Zumbusch sprzeciwia się powyższemu wnioskowi, który całą sprawę pomnika na dłuższy czas odkłada. Wracając do modeli omawianych, nie zapoznaje poważnego wrażenia, jakie robi projekt Nru 11, ale jest on w całości niemożliwy. Architektura i figury poboczno nie mają z sobą żadnego związku. Jestto raczej grobowiec, któryby można chyba w kościele lub na cmentarzu pomieścić. Zresztą figury poboczne robią wrażenie, jakby się przechadzały po pomniku. Prof. Zacharjowicz nawiązując do ostatnich słów dyrektora Guillaume, oświadcza, że w naszym kraju dokładny kosztorys pomnika jest niemożliwy. Hr. Lanckoroński nie godzi się z ostatnim wnioskiem dyr. Guillaume, aby rozpisywać nowy konkurs, widzi w tém od-

mianowicie téż dyrektor Guillaume, kilkakrotnie dawali do tego sposobność.

włokę ostatecznego spełnienia życzeń narodu, a czyni uwagę, że Sąd konkursowy jest powołany do wydania ostatecznego wyroku, a nieprzyznanie I-szej nagrody, byłoby niejako zniesieniem odpowiedzialności z siebie. Dlatego zaś poleca Nr. 6, że, oprócz wielu artystycznych zalet, ma on zaletę taniaści i daje rękojmię, że autor zdolny jest go wykonać.

W tém miejscu p. Pryliński postawił wniosek następujący:

Jury uchwała nagrodzić Nr. 6, nagrodą drugą: Nr. 11 nagrodą trzecią, jako względnie najlepsze. Wobec braku projektu dobrego bezwzględnie, nie przyznaje Jury nagrody I-jej żadnemu projektowi i żadnego do wykonania nie poleca. Nadto Sąd konkursowy uznaje potrzebę i zaleca rozpisanie nowego konkursu pomiędzy dwoma lub trzema nagrodzonymi artystami z żądaniem szczegółowego kosztorysu. Wreszcie Jury nie przesądza o decyzji, jaką komitet powziąść może wobec projektu Matejki.

W téj chwili nie dyskutowano nad wnioskiem pana Prylińskiego, odkładając go na później.

Prof. Zacharjewicz wnosi, aby przedewszystkiem oznaczyć trzy projekta najlepsze w takim szeregu, w jakim się ich wartość przedstawia. Hr. Sierakowski sądzi, że członkowie Sądu mają już opinię dostatecznie wyrobioną, można więc przystąpić odrazu do głosowania. Prof. Sokołowski podziela to zdanie. Dyr. Guillaume: nie chciałem bynajmniej zrzucić odpowiedzialności, jakby się zdawało, że mniemał hr. Lanckoroński, a proponując nowy konkurs, uczyniłem to ze względu, iż model Nr. 6 nie odpowiada w swéj obecnej formie wymaganiom pomnika dla Mickiewicza, który powinien być apoteozą i mieć cechy wspaniałości (*glorieux*) i świetności (*éclat*). Jeżeli udzielimy pierwszą nagrodę, w takim razie należy razem dać wskazówki, któreby model uczyniły podnioślejszym.

Pan Odrzywołski przypomina, że dotychczas toczyła się dyskusya nad dwoma jedynie modelami; radby więc usłyszeć zdania obecnych tu znakomitych mężów co do innych projektów i wnosi, aby nad nimi również przeprowadzono rozprawę. Podług jego zdania wymaga tego uczucie sprawiedliwości, aby ją przeprowadzić jeszcze nad dwoma projektami pozostawionemi do ściślejszego konkursu t. j. Nr. 24 i Nr. 22; dyskusya taka wydaje mu się tém więcej potrzebna, że może ona dostarczyć motywów do sprawozdania. Wniosek ten odrzucono 7 głosami przeciwko 4.

Przystąpiono do głosowania nad tém, który z sześciu modeli ma być postawiony na pierwszém miejscu, jako względnie najlepszy. — Głosowano kartkami, — a obliczenie głosów powierzono sekretarzowi i p. Prylińskiemu pod kierunkiem Przewodniczącego.

Wynik był następujący:

Model Nr. 6, — otrzymał 10 głosów;

„ Nr. 11, — „ 1 głos.

Przy głosowaniu nad drugim miejscem otrzymał model Nr. 11, — 6 głosów; Nr. 22, — 3 głosy; Nr. 8, — 1 głos; Nr. 24, — 1 głos.

Nie znalazłszy w wspomnianym protokóle wystarczających informacji co do oceny wartości premiiowanych modeli, spróbujmy sami

Przy głosowaniu nad trzecim miejscem, otrzymał model Nr. 22, — 8 głosów; Nr. 28, — 1 głos; Nr. 24, — 1 głos; Nr. 11, — 1 głos.

Na pierwszym więc miejscu postawiono model Nr. 6; — na drugim model Nr. 11; — na trzecim model N-ro. 22.

Po ukończonem głosowaniu rozpoczęto dyskusję nad wnioskiem p. Prylińskiego. Prof. Zacharjewicz sądzi, że modelowi postawionemu na pierwszym miejscu udzielić należy pierwszą nagrodę, — a zarazem polecić go do wykonania. Nieprzyznanie pierwszej nagrody, byłoby rodzajem targowania się z artystami, nie odpowiadającym godności kraju i ubliżającym poniekąd powadze i doniosłości zadania Jury. Hr. Sierakowski popiera tę część wniosku pana Prylińskiego, która się odnosi do projektu Matejki. Prof. Sokołowski nie uważa za stosowne polecać do wykonania modelu Nr. 6, gdyż takowy nie jest bezwzględnie dobry. Przyznać mu jednak trzeba bezwarunkowo pierwszą nagrodę.

P. Pryliński przypomina, że całą sprawę należy jasno i stanowczo określić. Jeżeli niema modelu bezwzględnie dobrego, w takim razie nie można żadnemu przyznać pierwszej nagrody; tylko drugą i trzecią; — nie chodzi tu o pieniądze, gdyż możnaby np. rozdać dwie trzecie nagrody. Prof. Sokołowski przyznaje, że model Nr. 6 nie odpowiada wszystkich wymaganiom i naszym uczuciom, ale pierwszą nagrodę przyznać potrzeba, gdyż konkurs obecny jest już drugim z rzędu i powinien się zakończyć rezultatem. Ostatecznie, jeżeli chodzi o wykonanie, to poprawki proponowane do N-ru 6 są stosunkowo nieznaczne i dotyczą szczegółów i dadzą się łatwo przeprowadzić. Nie należy jednak zalecać wykonania, gdyż Sąd konkursowy nie jest do tego powołany. P. Pryliński żąda powtórnie jasnego i wyraźnego sformułowania orzeczenia Jury; gdyż inaczej Komitet będzie w kłopotcie, nie wiedząc gdzie ma szukać rady. P. Odrzywolski cieszy się z dyskusji nad wnioskiem p. Prylińskiego, która wczoraj przerwana, pozwoliła sprawę przez niego poruszoną spokojnie rozpatrzyć. Jakkolwiek wczoraj N-rowi 6 przyznał tylko względne pierwszeństwo, po rozważeniu pro i contra — skłania się dzisiaj do uznania go po przeprowadzonych ulepszeniach za zdolny do wykonania. Prof. Sokołowski jest zdania, że dyskusya dotyczy właściwie strony formalnej. Przyznając pierwszą nagrodę, nie potrzeba dołączać dodatku polecającego wykonanie. Byłoby to w każdym razie prostem przestąpieniem odpowiedniego ustępu warunków konkursu. P. Pryliński przypomina, iż Komitet pragnie otrzymać praktyczną i stanowczą odpowiedź sądu; jeżeli więc jednemu z modeli przyznamy pierwszą nagrodę, należy szczerze i otwarcie powiedzieć, że ten sam projekt polecamy lub nie do wykonania. Dyr. Guillaume: Gdyśmy już uszeregowali modele pod względem ich wartości, nie stoi nic na przeszkodzie otwarciu kopert, zawierających nazwiska artystów; a wtedy będzie się można przekonać, czy autor modelu na pierwszym miejscu postawionego, daje gwarancję należytego wykonania. Prof. Sokołowski sądzi, że otwarcie kopert powinno nastąpić dopiero po przyznaniu

się w nich rozpatrzyć i zbadać, w jakiej mierze każdy z nich odpowiada wymaganiom, zarówno ze stanowiska warunków konkursowych, jak

nagród. Przewodniczący jest zdania, że do Komitetu należy wybrać model z trzech uznanych za najlepszy przez Jury—i stawia w tym duchu następujący wniosek: „Sędziowie konkursowi składają komitetowi wynik Sądu, uznawszy trzy modele za najlepsze, pozostawiają komitetowi, prawo wyboru tak modelu, jak artyści do wykonania.“ Wniosek ten upadł w głosowaniu 10 głosami przeciwko jednemu—wnioskodawcy. Następnie odrzucono pierwszą część wniosku p. Prylińskiego 10 głosami przeciwko jednemu wnioskodawcy; i tym samym stosunkiem głosów uchwalono, głosując kartkami, przyznać nagrody modełom uznanyim za najlepsze w porządku ustanowionym poprzedniem głosowaniem. Po otwarciu odpowiednich kopert, okazało się, że autorem modelu Nr. 6 jest p. Tomasz Dykas; autorem modelu Nr. 11 p. Sławomir Celiński; autorem modelu Nr. 22, p. Tadeusz Barącz.

Drugi ustęp wniosku p. Prylińskiego, odnoszący się do projektu p. Matejki, uchwalono jednomyślnie.

Prof. Sokołowski stawia następujący wniosek: „Jury przyznaje pierwszą nagrodę N-rowsi 6, z wyszczególnieniem zmian koniecznych w razie wykonania takowego, które to zmiany, osobna Komisya natychmiast wybrana, dokładnie oznaczy. Wniosek ten uchwalono; poczem Komisya złożona z pp. Dyr. Guillaume, prof. Zumbuscha, prof. Sokołowskiego, Hr. Lanckorońskiego i Hr. Przeddzieckiego, przedłożyła po krótkiej naradzie następujące zmiany modelu Nr. 6: „Postać główna ma być bardziej ożywiona i natchniona, — a poeta powinien być przedstawiony w sile wieku. Pióro i zwój papieru mają być usunięte, natomiast dodać należy lirę złożoną na odlamie skały, i ozdobioną wieńcem laurowym złożonym.“ „Obydwa baseny powinny być zastąpione przez odpowiednie motywa architektoniczne. Woda płynąć powinna nie z muszli, ale z szerokiej urny, czyli krateru i ma być złożona.— Orzeł ma być bardziej realistycznie wykonany nie heraldyczny i w postawie znamionującej zabieranie się do odlotu, ze wzrokiem skierowanym w przestrzeń.“ „Dwie postacie alegoryczne, tudzież dzieci, powinny być bardziej w duchu narodowym nacechowane.“

P. Odrzywołski sprzeciwia się złożeniu wody.

Następnie rozpoczęto obrady nad wnioskiem prof. Zacharjewicza popartym przez dyr. Guillaume, aby kilku artystom nienagrodzonym, udzielić listy pochwalne. Prof. Zacharjewicz wniosł zarazem, aby pochwały takie udzielić tym wszystkim projektom, które aż do ostatniego głosowania nad nagrodami się utrzymały. Przewodniczący jest zdania, że należy uwzględnić także projekta odrzucone w poprzednich głosowaniach; gdyż wiele z pomiędzy nich, zasługuje na takie odznaczenie. Prof. Zumbusch, popierając to zdanie, robi uwagę, że dotychczas chodziło głównie o wykonalność konkurujących modeli; listy zaś pochwalne mogą się dostać także takim, które zdradzają wiele talentu, choć zostały uznane za niewykonalne. Dyr. Guillaume zapytuje: Czy modele odznaczone pochwałami mają być szeregowane podług ich względnej wartości? W głosowaniu uchwalono uwzględnić

wogóle skulptury monumentalnej i wiążącej się z postacią Mickiewicza idei.

Projekt nr. 6 „Świtez.” Plan przedstawia kwadrat z półkolistymi do każdego z czterech boków przystawkami: autor przeprowadza go konsekwentnie przez trzy stopnie, prowadzące na platformę, na której wznosi się czworobok głównego cokułu, z odpowiadającymi organicznie przyjętemu planowi półokrągłymi wyskokami z lewej i prawej strony i małymi tejsze formy wzniesieniami z frontu i tyłu, służącymi za podstawę dla basenów. Z tego cokułu, poczonkowanego odpowiednio, wyrasta główny czworościan, ożywiony wnękami, gzemsem koronującym i opatrzony własną podstawą, do którego z lewej i prawej strony przypierają siedzenia dla dwóch figur niewieścich, wcale pięknych w układzie, z których jedna ma być uosobieniem przeszłości, druga przyszłości. Nad basenem od strony frontowej, w której spada wytryskująca z konchy woda, widzimy grupę dwojga obnażonych dzieciaków, czerpiących wodę. Wyobrażać ma ona młodzież,

przy rozdawaniu listów pochwalnych wszystkie modele i nieseregować oznaczonych. Następnie uchwalono udzielić listy pochwalne modelom oznaczonym numerami: 8, 10, 19, 24, 28 i 29.

Przewodniczący proponuje, aby Sąd konkursowy w całym swym składzie obejrzał plac, na którym pomnik ma być wzniesiony, gdyż może nasunąć się pod tym względem jakie uwagi. Stosownie do tej propozycji udali się Sędziwego na Rynek główny, gdzie przy pomocy 10-metrowego drąga, badano perspektywę przyszłego pomnika i stosunek jego wielkości do otoczenia.—Sędziowie obejrżeli również place przed Magistratem i kościołem Dominikańskim; przyczem prof. Zumbusch i dyr. Guillaume wyrazili zdanie, że Rynek i punkt na nim przez komitet wybrany, jest pod każdym względem miejscem najodpowiedzialniejszym na pomnik, którego front ma być zwrócony ku kościołowi Ś. Wojciecha. Powróciwszy do sali obrad, rozstrząsali Sędziowie konkursowi kwestyę ustanowienia Komisji, mającej dozorować wykonanie pomnika i przeprowadzenie w nim zmian i poprawek i poprzednio wskazanych. Uchwalono zaproponować Komitetowi centralnemu, aby do tej Komisji powołał: prof. Zumbuscha, hr. Lanckorońskiego, prof. Zacharjewicza, prof. Sokołowskiego i p. Alfreda Römera. Prof. Zumbusch zapytywany o najlepsze gisernie oświadczył, że można zażądać ofert od firm wiedeńskich, co do ceny odlania; wszystkie bowiem tamtejsze zakłady zasługują na uwzględnienie. Dyr. Guillaume zapytywany—zauważył, że koszta pomnika odpowiadającego warunkom monumentalności, nie powinny przenosić sumy 200,000 fr.

Na tém zakończono obrady Sądu o godzinie 5 $\frac{1}{2}$ popołudniu.

Karol hr. Lanckoroński, mp. Adam Siorakowski, K. Przeddziecki, Maryan Sokołowski, Alfred Römer, P. Pryliński, Zacharjewicz, Paweł Popiel, Sławomir Odrzywolski. Sekretarz: Antoni Beaupré, mp.

Panowie Guillaume i Zumbusch nie podpisali protokołu, z powodu śpiesznego odjazdu. Przemówienia tych Panów, będą na język francuzki i niemiecki przetłumaczone i do sprawdzenia posłano. *Przyp. Red.*

czerpiając ze źródła mądrości; katalog zaś objaśnia, że według intencji projektodawcy, ze źródła prawdziwa wytryskać ma woda. Na stronie tylniej umieszczony jest orzeł. Ów czworościan, stanowiący najwyższą kondygnacją pomnika, dźwiga posąg Mickiewicza. Pan Dykas wyobraził go w długim za kolana surducie, w płaszczu czy okryciu włożonem na jeden rękaw, z głową nieco pochyloną, ze zwitkiem papieru w lewej a ołówkiem w prawej ręce.

Katalog nie podaje wymiarów; sędzając na oko, całość obliczona jest mniej więcej na 9 metrów wysokości. Nie odpowiada to pierwszemu warunkowi konkursu, który na miejsce pomnika wyznacza rynek krakowski, a tém samém zobowiązuje do rachowania się z architektonicznym otoczeniem placu, na którym, wobec piętrzących się do przeszło 200 stóp wysokości surowych murów kościoła P. Maryi z jednej strony, a olbrzymich Sukiennic z drugiej, pomnik tych wymiarów zmałałby, zginął. Z powodu jego nizkości, a bardziej jeszcze niewłaściwego ustosunkowania wysokości do szerokości u podstawy, co zapewnia przewagę liniom i wymiarom poziomym nad pionowymi, jak niemniej z powodu wprowadzenia do planu linii krzywych—ogólna architektonika projektu pozbawioną została piętna powagi i monumentalności, co stawia go w przeciwieństwie z punktem 6 warunków konkursowych, którym układ monumentalny był wyraźnie zastrzeżony. Warunek drugi mieć chciał, żeby pomnik był „samoistnym, z dominującą postacią Mickiewicza jako narodowego wieszca.“ Projektodawca i tego wymagania nie uwzględnił. Połączenie bowiem z pomnikiem owego nieszczęśliwego „źródła mądrości“ z wodą naturalną, czyniące z niego rodzaj fontanny publicznej, jest naruszeniem jego samoistności; jak z drugiej strony postać samego wieszca, spartykularyzowana przez nowożytny ubiór, niezadawalająca w liniach, nie posągowa, bez ekspresji, mimo górującego swego stanowiska, nie dominuje w znaczeniu estetycznym nad figurami dekoracyjnymi, ustępuje im bowiem pod względem artystycznej wartości, a i materyjalną swoją wielkością nieznacznie je przerasta. Nie widzę też w postaci Mickiewicza nic, coby znamionowało wieszca narodu: zwitek papieru i ołówek, zadaniu temu nie odpowiadają; całe zaś pojęcie figury przypomina raczej uczonego, pisarza, niż wielkiego poetę.

Uwaga zawarta w punkcie 1-szym warunków konkursowych, pozostawiła pomysłowi artysty, w którą stronę obrócić zechce front pomnika. Mnieby się zdawało, że wobec potrzeby zapewnienia mu stosownego oświetlenia, nieodzownego do należytego uwydatnienia architektonicznych i plastycznych piękności, zwłaszcza też gdy chodzi o ciemny sam przez się szpiz i granit; pozostawiona w tym względzie projektodawcom swoboda wyboru jest wprost fikcyjną. Dla przykładu powołam się tu na pomnik Kopernika w Warszawie, który obrócony frontem na północ, od południa zostłony gmachem b. Tow. przyjaciół nauk, pozbawiony przez cały dzień właściwego oświetlenia, nie zwraca niczyjjej uwagi na swoje artystyczne zalety, które rzetelnie

posiada. Już-to pod naszą szerokością geograficzną nigdy nie można zanadto korzystać z oświetlenia tego rodzaju dzieł sztuki, i dlatego, o ile pozwalają na to warunki miejscowości, gmachy, pomniki i wszelkie dzieła dłuta powinny być zwracane frontem na południe. Wbrew temu racjonalnemu prawidłu, p. Dykas, bez żadnej głębszej po temu racyi, zaprojektował swój pomnik z frontem ku ulicy Szczepańskiej, t. j. na północ-zachód. Wprawdzie nie rozminął się w tém z warunkami konkursu, które, zamiast ustalić zgóry kierunek pomnika, jak to zauważyłem wyżej, pozostawiły artystom w tym względzie swobodę wyboru; ale że p. Dykas skorzystał z niej w sposób tak nieodpowiedni, nie dowiódł tém bynajmniej obeznania się z wymaganiami monumentu i warunkami miejsca.

Gdybyśmy jednak słuszne to prawidło zastosowali bezwzględnie do projektowanego pomnika Mickiewicza na rynku krakowskim, stanąłby on wówczas w kierunku ukośnym zarówno do wschodniego boku Sukiennic jak do północnej połaci domów (linii A-B), co zakłóciłoby harmonią głównych linii placu. Wzgląd ten musi być koniecznie wzięty w rachubę. Pozostaje zatem, albo obrócić front pomnika nieco ku zachodowi, w stronę kościoła św. Wojciecha, albo na południow-schód, ku kościołowi P. Maryi, tak, aby boki podstawy pomnika znalazły się w położeniu równoległym do boków placu. Konkursowi rzeczoznawcy nie myśleli téż uwzględniać niedorzecznego życzenia projektodawcy co do strony, w którą pomnik ma być frontem zwrócony i, obejrawszy sami plac, oświadczyli się za kierunkiem ku kościołowi św. Wojciecha. Przedstawia on jednak tę wielką niedogodność, że pomnik od ulicy Floryańskiej, będącej główną w tym punkcie arterią wiodącą na rynek, byłby widziany z tyłu, a zatem na pierwszy rzut oka nie w najkorzystniejszych przedstawiałby się warunkach. Niedogodność tę usunęłoby zwrócenie pomnika frontem ku fasadzie P. Maryi, i dla tego, mojem zdaniem, byłby to najwłaściwszy dla niego kierunek.

Tyle miałem do zauważenia ze stanowiska warunków konkursu.

Zobaczymy teraz, jak się projekt p. Dykasa przedstawia ze stanowiska estetycznego, mianowicie z punktu widzenia skulptury monumentalnej. Podnieść tu najprzód muszę jego sylwetę ogólną z frontu i tyłu, niezaprzeczenie piękną w liniach, chociaż nie monumentalną w tém znaczeniu, w jakim to pojęcie w pomniku Mickiewicza powinno znaleźć zastosowanie. Jużem wyżej napomknął o przewodze w jego architektonice linii poziomych i krzywych. Nie będę tu powtarzał, com kilka lat temu, w artykule poświęconym sprawie pomnika, pisał o estetycznych własnościach linii ¹⁾. Powiem tylko, że piękno, niedościgłe na swój idealnej wyznicy, jak z jednej strony przechodzi stopniowo w wspaniałość, wielkość, majestatyczność, wzniosłość i tak dalej, aż do tragicznej grozy; tak z drugiej strony pochyła się ku uro-

¹⁾ Zob. Bibl. Warsz. zesz. za m. maj, 1883, t. II, str. 252—271.

czości, wdziękowi, powabności, miękkości i t. d. aż do płaskości. Nie potrzebuję chyba dodawać, że piękno w zastosowaniu do pomnika Mickiewicza, powinno wkraczać raczej w obręb wzniosłej majestatyczności niż powabnej miękkości. Tymczasem skutkiem przywiązanych do różnego rodzaju linii własności wyrazowych, symbolicznych, projekt p. Dykasa, w ogólności zbyt rozłożysty u podstawy, względnie niski, z braku zdecydowanego zaakcentowania linii prostych a zwłaszcza też z powodu stłumienia ich pionowego dążenia, sprawia wrażenie wprawdzie miłe, przyjemne, ale bynajmniej nie wzniosłe, poważne, monumentalne; i gdyby go istotnie postawiono na rynku krakowskim, zmieniłyby się na wspaniałym tle architektonicznym, jakieby otrzymał, na ckliwą, bezwyrazową piramidkę. Pozostaje mi jeszcze zwrócić uwagę na umieszczenie figur dekoracyjnych (2 metry nad poziom) bezwarunkowo zanizkie, jakoteż na złe ustosunkowanie posągu wieszczą do ogólnej wysokości pomnika, której niemal połowę zabiera: jedno z dwojga byłoby tu koniecznym: albo pomniejszenie posągu Mickiewicza, albo wyższe spiętrzenie części architektonicznej, a w jednym jak drugim razie wypadłoby rzecz całą z gruntu przerobić. Uwagi te świadczą najlepiej, jak mało projektodawca rachował się z własnościami estetycznymi linii i najkonieczniejszymi wymaganiami architektoniki monumentu, względnie do otoczenia i warunków perspektywy.

Nie można dosyć odżałować, że redaktorowie warunków konkursowych okazali się tak skąpymi w udzielaniu artystom praktycznych wskazówek. Jakże trafniej w tym względem postąpili sobie autorowie programu konkursowego na projekt pomnika Wiktora Emanuela! Istotnie, skoro miejsce dla pomnika Mickiewicza było już wybrane; architektoniczne otoczenie, jakie miał otrzymać, dobrze znane: cóż tedy naturalniejszego, jak na podstawie tych danych oznaczyć kierunek frontu pomnika, ustalić główne jego stosunki i wymiary, i uczynić je dla wszystkich obowiązującymi. Narzucenie ich z góry naszym rzeźbiarzom, którzy nigdy nie mieli do czynienia z pomnikami tego rodzaju, musiałyby się okazać dobroczynnym w skutkach. Jasne a praktyczne postawienie zadania, ustalenie obowiązujących wymiarów zasadniczych i t. p., nie tylko nie kępowałyby swobodnego polotu fantazyi artystów—jakby ktoś mógł mniemać, lecz przeciwnie, sprzyjałyby raczej ich twórczej pracy, odrazu bowiem wprowadziłyby ich z mnóstwa technicznych trudności, z którymi, jak tego dowiodły modele pomnika, nie każdy umiał dojść do ładu. P. Dykas nie dałby powodu wówczas do zarzutów, które jego modelowi uczynić byłem zmuszony, i wogóle nie mielibyśmy wówczas z pewnością owych niedowarzonych projektów, jak te np., w których figury dekoracyjne, mieszczące się o kilka metrów niżej od posągu wieszczą, przerastają go znacznie wymiarami.

Jeszcze słówko o idei pomnika, o jego stronie wewnętrznej, jego duszy. Pod tym względem projekt p. Dykasa nie ma nam zgoła nic do powiedzenia. Owe dwie figury dekoracyjne: Przeszłości i Przy-

szłości, potrzebne były artyście do zakreślenia pięknej sylwety, co mu się istotnie osiągnąć udało; to jedyna ich racya bytu w pomniku. Właściwie nie bowiem one nie wyrażają, żadnym ogniwem myśli nie wiążą się z pojęciem Mickiewicza i doniosłej roli, jaką w dziejach duchowego odrodzenia się społeczeństwa odegrał. Między temi figurami a postacią wielkiego wieszczą jest tu tyle logicznego związku, co między nim a ową fontanną mądrości i orłem! Projektodawca nie wznosił się ponad traktowanie zadania z czysto dekoracyjnego stanowiska.

Zsumowawszy to wszystko, łatwo zrozumieć uczucie zawodu, jakiego doznała publiczność wobec wyróżnienia projektu p. Dykasa pierwszą nagrodą. Trudno wistocie było w pierwszej chwili zdać sobie sprawę ze stanowiska, jakie zajęli konkursowi eksperci, orzekając swój wyrok. Témbardziej, że wspomniany projekt miał za sobą aż dziesięć głosów! Jeden tylko przewodniczący, p. Paweł Popiel, dał swój głos za projektem nr. 11. A i dziś, gdy już motywa wyroku mamy pod ręką, bynajmniej stanowisko to się nie wyjaśniło.

Nastęcza się tu jedna ciemna dla mnie okoliczność. Na wystawie modeli znajdował się i drugi projekt p. Dykasa, nr. 13, oznaczony godłem „Razem młodzi przyjaciele,“ będący co do części architektonicznej wiernym powtórzeniem projektu nagrodzonego, mający tę jednak nad tamtym wyższość, że zatrzymując ze wszystkich czterech stron cokół wysoki półokrągły, równej wysokości, przedstawiał więcęć organicznej jedności, i że zdobiące go cztery figury alegoryczne: Wiary, Jutrzenki, Miłości i Niewoli, miały niezaprzeczony sens, budząc w duchu widza uczucia i myśli, nie pozbawione związku z osobą wieszczą i jego znaczeniem w narodzie. Wobec tego faktu nasuwa się pytanie: dla czego jego właśnie nie zakwalifikowano do pierwszej nagrody, dla czego nie zaliczono go wogóle nawet do premiiowanych? Motywa wyroku nie dają w tej materji ani jednego słowa wyjaśnienia. Czyżby dla tego, że był także dziełem p. Dykasa, któremu dwóch nagród przyznać nie chciano? Ależ przecie nazwiska autorów projektów nie były znane sędziom przed otwarciem kopert — przynajmniej nie powinny być znane.

Model nr. 11 „Odrodzenie“ Na kwadratowej o wykrojonych prostokątnie rogach platformie, wysokiej na jakie dwa metry, w której bokach mieszczą się wgłębione stopnie, wznosi się pierwsza, masywna, czworoboczna kondygnacya z podobnie wykrojonymi narożnikami, bardzo powściągliwie członkowana i stanowiąca właściwy cokół. Z niej wyrasta znacznie szczuplejszy, główny trzon pomnika, zwieńczony dosyć skromnym chociaż poważnym gzemsem i mający z czterech stron wysoki, które w zestawieniu z nim tworzą znowu prostokątne wykroje, wynikające z przeprowadzonej konsekwentnie figury planu. Na cokule, przed każdym z wspomnianych wysoków, mieszczą się figury stojące swobodnie, lub zlekka się na nich wspierające: z frontu skrzydlata postać Wiary, która podniesioną w górę ręką

wskazuje stojącemu obok pacholećciu, uosabiającemu młode pokolenie, niebieską ojczyznę ideałów; z tyłu podobnie skrzydlata figura Wiary, pełna prostoty w układzie i bardzo pięknie pojęta; z lewej strony personifikacya Nadziei, z prawej Miłości w postaci strzegącej wiecznego ognia Westalki. Na szczycie czworoboku, na podniesieniu dwóch stopni, stoi posąg Mickiewicza, imponujący zarówno wymiarami jak monumentalnym pojęciem postaci. Projektodawca, którym jest p. Celiński, przedstawił go w latach mniej więcej trzydziestu wieku, okrył fałdami sutego płaszcza, osłaniającemi całą figurę i układającemi się w poważne linie, przez co uniknął niesmacznych, w wysokim stopniu nie posągowych szczegółów nowożytnego ubioru, i przepasał mu skroń wawrzynem. Figura w akcji spokojna, poważna, wolna od wszelkich atrybutów w rodzaju książek, ołówków, zwitków papieru i t. p., z którymi tak trudno było rozstać się autorom innych modeli, sprawia wrażenie szlachetne, uroczyste. Na trzech ścianach głównego cokółu, w okrągłych wygłębieniach, widzimy płaskorzeźby, wyobrażające w grupach dzieciaków trzy kardynalne cnoty; zadaniem ich jest uzupełniać czyli dopowiadać znaczenie figur alegorycznych, pod którymi się znajdują. Ścianę frontową, odpowiadającą grupie Poezyi i Młodego wieku, zajmuje napis.

Architektoniczna część surowa, pełna powagi, imponuje masami i samemi nawet wymiarami, całość bowiem obliczona jest na piętnaście metrów wysokości, przy dziewięciu metrach szerokości u podstawy. Panują tu wyłącznie linie proste, przyczem linie i wymiary prostopadłe dominują nad poziomymi, co w połączeniu z masami, wywiera na pomniku znamię dążenia pionowego, sprawiające wrażenie majestatyczne, wzniosłe. Postać Mickiewicza, zajmująca trzecią część ogólnej wysokości pomnika, a mierząca pięć metrów, dominuje już materialnie nad figurami dekoracyjnymi, obliczonymi tylko na trzy metry; ale, co ważniejsze nierównie, dominuje ona nad niemi i poważnymi, posągowemi liniami swój sylwety, odpowiadającemi pojęciu wielkiego wieszczka narodu. Pomnik pojęty został jako apoteoza.

Charakter Mickiewicza, jako poety, znalazł bardzo stosowny wyraz w wieńcu wawrzynowym — rzecz dziwna zaiste, nie zastosowanym przez żadnego zresztą z projektodawców do posągu wieszczka, a tak znakomicie podnoszącym posągową godność figury. Widzimy z tego, że p. Celiński nieco inaczej niż p. Dykas pojął punkt 3-ci warunków konkursowych i lepiej potrafił uczynić zadość wyrażonym w nim wymaganiom. Ze względu na ogólne wymiary i prostopadłą strzelistość pomnika, lepiej się też on stosuje do wymagań punktu 1-go, wyznaczającego główny rynek krakowski na postawienie pomnika. Zapewne, i pomnik według projektu p. Celińskiego, postawiony na tle wspaniałego architektonicznego otoczenia rynku, straci wiele ze swój uroczystej powagi; zawsze jednak zachowa jęj dosyć, żeby swoim monumentalnym charakterem na placu zapanować. Prostota profilów, surowość konturów i powaga mas, sprawić muszą, że będzie się wyda-

wał o wiele wyższym pozornie, niż jest rzetelnie. Projekt pod godłem „Odrodzenie” odpowiada więc w zupełności „warunkom monumentalnym tak w części architektonicznej jak figurálnej,” zastrzeżonym w punkcie 6-y programu konkursowego.

Ze stanowiska estetycznego, projekt p. Celińskiego przedstawia się również korzystnie. Architektoniczna jego część przeprowadzona konsekwentnie, organicznie; surowe a powtarzające się profile, wytwarzają poważny, dosadnie akcentowany rytm linii, którego estetyczny skutek nie może być chybiony. Autor nie bardzo się kępował warunkiem, zastrzegającym dla pomnika charakter stylu odrodzenia — powodując się w tym względzie raczej własnym instynktem artystycznym i natchnieniem. I nie potrzebuje tego żałować. Postać wieszczą, wymagałaby wytworniejszego opracowania w szczegółach, ale pod względem pojęcia, pomysłu, nic jęj zarzucić nie można — jest ona bez zaprzeczenia najlepsza, najmajestatyczniejsza ze wszystkich, i posiada tęż najwięcej z nich estetycznej wartości. Grupa frontowa zanadto się ku przodowi podaje — to jedno co mam jęj do zarzucenia. W ogóle w figurach cokułowych pożądanęm byłoby nieco powściągliwsze zastosowanie draperyi, ile że odsłonięcie częściowe nagiego ciała pozwoliłoby podnieść ich plastyczną piękność. Wzięte razem z architekturą pomnika, tworzą one sylwetę bardzo wspaniałą. To co w motywach wyroku zamieszczono, jakoby się nie trzymały organicznie całości, jakoby sprawiały wrażenie figur spacerujących — to ot sobie frazes, równie płytko sięgający jak wiele innych „motyów,” mających osłonić pomyłkę.

Idea w projekcie „Odrodzenie“ nie poszła tęż na plan ostatni i wypowiada się dobrze w owęj grupie frontowej: poezya bowiem — ta mianowicie poezya, której sztandar Mickiewicz tak wysoko podniósł, istotnie otwarła młodzieży sferę piękna i ideałów, budząc w sercach podniosłe uczucia. Idea ta wypowiada się niemniej w owych personifikacyach Wiary, Nadziei i Miłości, — tych trzech istotnych źródeł natchnienia genialnego poety, który potęgą swego słowa budził zapal do wiary, uczył kochać to, co człowiek posiadać może najdroższego i ożywił nadzieję w ziszczenie ideałów, w które sam gorąco wierzył i które w tak porywających barwach malował w swych poetyckich utworach. Artysta, jak widzimy, zamknął swoją myśl w figurach alegorycznych. Nie przedstawił ani jednęj postaci z dzieł Mickiewicza, nie wziął na się roli ilustratora jego tekstów, i, zważywszy wszystko, trzeba przyznać, że obrał najtrafniejszą drogę. Idea Mickiewicza, idea pomnika, na podobnych ilustracyach plastycznych nicby nie zyskała; a że straciłyby dużo ze swego poetycznego uroku i same postacie Mickiewicza ilustrowane dłutem, tego nie potrzebują chyba dowodzić. Praktycznie dowiedli tego sami rzeźbiarze, autorowie modeli — niejednen z nich bowiem w podobny sposób przedmiot traktował.

Z wszystkich wyłuszczonej powyżej racyi, projekt p. Celińskiego swoją wartością przewyższa pod każdym względem projekt p. Dy-

kasa, i najwięcej ze wszystkich odpowiada warunkom monumentalności. Zrozumiał te jego zalety przydujący p. Paweł Popiel; ale światła jego opinia, dowodząca że nie tracił z uwagi idei z imieniem wielkiego naszego wieszczki związanej, nie znalazła echa w zgromadzeniu rzeczoznawców konkursowych. Dyskusya jaką z tego powodu przeprowadzono, biorąc miarę z drukowanego protokołu, podobniejszą była do pobieżnej, poufnej gawędki, rwaniej beładnie i znów jakby odniechcenia zawiązywaniej; nie brane tam były na seryo w rachubę ani warunki konkursu, ani względy estetyczne, ani idea wieszczki. Poruszano kwestye ogólnikowo, nie sięgając dna przedmiotu.

Pan Celiński utrzymał się przy drugiej nagrodzie, mając za sobą tylko sześć głosów przeciwko pięciu!

Trzeci premjowany projekt, nr. 22, z godłem „Wieszczowi naród,“ którego autorem jest p. Barącz, pojęty jest przeważnie w sposób dekoracyjny. Model zaczyna się od spodu kwadratową platformą o ścietych ukośnie rogach, do których przystają czworoboczne wysoki, dość wymyślnie profilowane, zdobne w wieńce i służące za podstawę dla czterech orłów. Z tej platformy wiodą dwa stopnie, mające w planie kwadrat, do właściwego cokółu o ścietych ukośnie narożnikach; ściany jego pokryte są napisami, zaś narożniki płaskorzeźbionymi tarczami. Na cokule wznosi się filar, zbyt może szczupły, o podobnie ścietych kantach, zwieńczony gzemsem i służący za piedestał dla posągu Mickiewicza. Dokoła zaś otaczają go u spodu cztery figury dekoracyjne, piękne w układzie, chociaż dość szkicowo traktowane, poprzedzielane emblematami i godłami. Poeta przedstawiony jest w długim surducie i wierzchniém okryciu włożoném na jeden rękaw, z książką w lewej opuszczonej dłoni. Całość zdaje się być obliczona nie więcej jak na 12 metrów wysokości.

Zle trochę uprzedza do tego projektu mnogość napisów, któremi artysta pokrył nietylko główne ściany pierwszej kondygnacyi (cokółu), lecz i boki spodniej platformy i owe nawet wysoki narożne z orłami; jakby nie polegając na środkach ekspresyi właściwych rzeźbie i architekturze, szukał ich jeszcze w napisach... W części architektonicznej model jest rozwinięty mniej konsekwentnie od dwóch poprzednich, w powiązaniu motywów mniej wykazuje organicznego ładu. Zaś owe wysoki narożne z wieńcami i orłami, tarcze w rogach cokółu i t. p. dodatki, kładą zanadto nacisk na dekoracyjną jego stronę, działając w sposób zakłócający harmonię mas i linii.

Ta obfitość pomysłów dekoracyjnych niezupełnie odpowiada słusznym wymaganiom warunków konkursowych co do monumentalności pomnika (punkt 6-y), jak z drugiej strony i postać Mickiewicza niczem nie przypomina wieszczki narodu (punkt 2-gi); pojęta raczej rodzajowo niż posągowo, nie posiada ona dość godności potrzebnej do zapewnienia jej dominującego stanowiska nad figurami dekoracyjnymi, bardziej interesującymi estetycznie i o niewiele mniejszymi od posągu wieszczki.

Pominąwszy zresztą szeroką platformę podstawową wraz z jej dodatkami, główna część pomnika posiada dość dobrze obmyślaną sylwetkę i z powodu zdecydowanego i wyraźnie zamarkowanego dążenia prostopadłego, sprawia wrażenie dosyć poważne.

Wyjaśnienia idei i myśli, które autor uwięził w figurach dekoracyjnych, podjąć się nie mogę, ponieważ nie są dla mnie dość zrozumiałymi, sam zaś artysta żadnych w tym względzie objaśnień nie dostarczył.

Poprzestaję na rozbiórce tych trzech modeli; w obec bowiem rozstrzygniętego konkursu, ocena innych, zasługujących na wyróżnienie projektów, nie miałaby już interesu. Pozwolę sobie zato kilku uwag ogólnej natury, które mi się ze względu na ostatnią fazę, w jaką weszła sprawa budowy pomnika w Krakowie, nastroczają.

Podjęta przez krakowską młodzież uniwersytecką myśl uczczenia pomnikiem największego wieszczą narodu i najgenialniejszego przedstawiciela naszego duchowego odrodzenia, spotkała się z powszechną sympatją i znalazła materialne poparcie w napływających zewsząd składek publicznych. Jój urzeczywistnienie stało się przedmiotem najgorętszych pragnień ogółu. Prosta rzecz, że nie mogło tu być mowy o pierwszym lepszym pomniku konwencyonalnym, jakich tysiące po świecie widzieć się daje, lecz o dziele wartości monumentalnej, któreby godnie odpowiedziało zarówno wielkim zasługom twórcy „Pana Tadeusza,” jak żywionym dlań uczuciom czci i uwielbienia. Miała to być, słowem, jego apoteoza.

Tymczasem szereg faktów, wplecionych w dzieje tej sprawy mógłby nieraz naprowadzić na przypuszczenie, że podjęta myśl nie cieszyła się popularnością wpływowych kół stariej Jagiellonów stolicy, że przynajmniej niezupełnie trafiała im do przekonania. Owe spory zaciekle o wybór miejsca na postawienie pomnika; oglądanie się po całym Krakowie za odpowiednim placykiem, któryby zgóry ograniczył wymiary monumentu do najzwyczajniejszego pomniczka, w rodzaju tych, jakie wznoszone bywają mężom problematycznej wielkości; tworzenie najdziwaczniejszych w tym względzie kombinacji, byle tylko nie puścić Mickiewicza na rynek krakowski ¹⁾; długa następnie zwłoka w ogłoszeniu warunków konkursu stanowczego i pozostawiająca wiele do życzenia ich redakcyą; krótki, bo zaledwie dziesięciomiesięczny termin wyznaczony artystom, co w żadnym razie nie mogło leżeć w interesie powodzenia konkursu; wyznaczenie zbyt małych nagród, względnie do kosztów i trudów, połączonych z wygotowaniem modeli gipsowych, co mogło być łatwo dać pozór, że tym, co je ustanowili, chodziło raczej o odstręczenie artystów od konkursu, niż o zachęcenie ich do wzięcia w nim udziału — i wiele tym podobnych szczegółów, towarzyszących przebiegowi tej sprawy, wszystko to mogło dawać wiele do myślenia.

¹⁾ Sz. autor podzielał sam w r. 1883 ten pogląd. Zob. Bibl. Warsz., 1883, t. II, str. 265. *Red.*

Czuć w tém było jakby jakieś paraliżujące wpływy. Zalatywały z Krakowa jakieś chłodne powiewy, sprawiające przykre wrażenie, budzące obawy opinii, żeby idea pomnika nie została zwichniętą i podniecające ją do czujności, która przy zdarzonej okazji przeobrażała się w gorączkową drażliwość. Pamiętamy wszyscy objawy téj drażliwości przed kilku laty, spowodowane przyznaniem na wstępnym konkursie pierwszej nagrody p. Tomaszowi Dykasowi za jego „Spłoszoną kraskę,” a świeżo byliśmy świadkami jeszcze gwałtowniejszych jej wybuchów, gdy z ostatniego konkursu znowu to samo nazwisko na wierzch wypłynęło.

Podzielając uczucie zawodu, spowodowane wynikiem sądu konkursowego, nie mogę jednak zgodzić się na sposoby sformułowania przeciwko niemu zarzutów. Nieuzasadnionemi wydają mi się pociski miotane na sędziów za to, że nie zastosowali się do pragnień powszechnych, że wyróżniając przyznaniem pierwszej nagrody model „Świtez,” postąpili wbrew opinii publicznej, której sympatyą i uznaniem wspomniany model wcale się nie cieszył. Pojmuję niezadowolenie, wiem, że płynie ono z pobudek znacznych; wszakże trudno byłoby usprawiedliwić formę, w jakiej się ono wyraziło, i podłożone mu naprędce motywy.

Od sędziów konkursowych mamy prawo wymagać fachowej znajomości rzeczy, bezstronności i uwzględnienia idei, której pomnik ma być wcieleniem. Jeżeli zaufaniu nie odpowiedzieli, należało przedewszystkiem tego dowieść. Mieć im za złe, że orzeczeń swych nie normowali do życzeń i gustów publiczności — byłoby niedorzecznością. Bo i do czegoż w takim razie ograniczałaby się rola sędziów konkursowych? Myślę, że nie zastanowili się chyba nad tém ci, co w sprawie wartości artystycznej tak pochopnie do opinii publicznej apelują. Jeśli w ich mniemaniu polegać na niej można, to dlaczego nie oponowali przeciwko zwołaniu ekspertów, dlaczego nie przemawiali za rozstrzygnięciem konkursu przez plebiscyt? Opinii publicznej żadną miarą nie można przyznawać kompetentności w sprawie tak specjalnej natury. Nie powinna téż była stanowić punktu wyjścia do zarzutów i protestów, które koniecznie na głębszej, racjonalniejszej należało oprzeć podstawie.

Co do protestów w mianowicie, to one w żadnym razie do rozjaśnienia sprawy przyczynić się nie mogą. Właściwa na nie pora dawno minęła. Protestować można było np. przeciwko redakcyi warunków konkursu, pozostawiających bardzo wiele do życzenia pod względem jasnego postawienia zadania; przeciwko temu, że komitet nie dopełnił przyjętego na się zobowiązania: ogłoszenia listy sędziów na trzy miesiące przed ustanowionym terminem konkursu; protestować wreszcie można było przeciwko powołanym sędziom, gdyby ich nazwiska nie dawały rękojmi znawstwa i bezstronności. Dziś, po zapadnięciu wyroku, są one spóźnione.

Wprawdzie, uchwaleniem budowy pomnika według nagro-

dzanego projektu p. Dykasa i zamianowaniem komisji, mającej czuwać nad powierzonymi p. Dykasowi robotami; sędziowie konkursowi, wychodząc poza granice swych obowiązków, zaostrzyli istotnie sprawę, podniecili jeszcze bardziej namiętności. W gruncie rzeczy jednak niebezpieczeństwo ztąd żadne nie groziło. Warunkami konkursowymi komitet zastrzegł, że nagrodzone projekta stają się jego własnością; ale się bynajmniej nie zobowiązał do wykonania projektu wyróżnionego pierwszą nagrodą. Sąd miał prawo jedynie do przyznania nagród i te komitet bezwarunkowo wypłacić powinien. Zresztą zachowuje on zupełną swobodę co do dalszych w tej sprawie postanowień.

Dobrze byłoby może, gdyby komitet odświeżył swój skład nowymi a kompetentnymi żywiołami; źle jednak byłoby, żeby miał uleść wywieranej na niego presji protestów, których autorowie przedziwne jednomyślni w tém, czego nie chcą, różnią się jednak bardzo w tém, czego sobie życzą i nie zawsze mają jasną tego świadomość. Dość powołać się na sens jednego z takich protestów (Koła artyst.-liter. w Krakowie), który życzy sobie mieć pomnik pojęty monumentalnie, z wybitnymi cechami narodowego charakteru. Tego rodzaju zespolenie pojęć przyczynia się tylko do szerzenia zamętu. „Komu zaś należałoby w komitecie przewodniczyć — są słowa tegoż protestu — kto powinien mieć zawsze ostatnie słowo w sprawach artystyczno-narodowych, o tém głos opinii oddawna już rozstrzygnął.“ I tu więc zawadzono o tę Bogu ducha winną opinię publiczną! Jaki w tém wszystkim maluje się brak głębszego pojęcia rzeczy! I takie to są rezultaty owych „wyczerpujących dyskusji“ w Kole?

Te gorączkowe objawy opinii, do których dało powód rozstrzygnięcie konkursu, budzą uczucia niewesołe. Widok to wcale niebudujący. Nie można jednak czynić za nie odpowiedzialnym ogółu, zaniepokojonego istotnie obrotem sprawy. Może być, że dowodzą one niedojrzałości społeczeństwa, braku karności... Jaby jednak sądził, że zawinili tu bardziej ci, którzy powinni byli dać przykład obywatelskiego taktu ¹⁾, a którzy zbyt mocno naciągając strunę, doprowadzili do jej pęknięcia.

Niezrozumiałem jest też dla mnie zachowanie się Matejki wobec konkursu. Odmówił udziału w sędziach z powodów zgoła błahych; potem, w ostatniej chwili, złożył przez swego sekretarza, p. Gorkowskiego, własny projekt pomnika w rysunku—trudno wyrozumieć w jakim celu, skoro, wobec warunków konkursu, obowiązujących wszystkich zaró-

¹⁾ W powołanym przez szan. autora materiale nie znajdujemy dowodu, któryby zarzut ten dostatecznie usprawiedliwiał. Wina tego rozgoryczenia umysłów w danej chwili nie leży wyłącznie po jednej stronie; ale jest może więcej owocem ambitnej agitacji, szukającej na tej drodze zaspokojenia zawiadzionych nadziei i pragnień osobistych, dla których można być do pewnego stopnia wyrozumiałym.

wno, rysunkowy projekt musiał poza konkursem pozostać. Projektowi towarzyszył list w stylizacji zawiłej, niejasnej, z której trudno dojść, o co szanownemu mistrzowi chodzi. Niezadowolony wyrokiem ekspertów, zażądał następnie zwrotu swego projektu.

Słyszając dolatujące nas echa z Krakowa, możnaby nieraz myśleć, że ową wszechmocną „opinią“ niekoniecznie chodzi o artystyczną wartość tego lub owego modelu; zdawałoby się, że nie chce ona projektu „Świtez“ nie dlatego, że nie odpowiada warunkom sztuki monumentalnej, ale... że jest utworem p. Dykasa. Różne możnaby z tego snuć wnioski i domysły....

Komitet, jak widzimy, nie łatwo wybrnie z trudnego położenia. W każdym razie, z krokiem stanowczym wypadałoby wstrzymać się do czasu, aż osiadą wzburzone żywioły i oczyści się nieco atmosfera!

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Pan Tadeusz,” Adama Mickiewicza. — Studium estetyczno-literackie, przez d-ra Henryka Biegeleisena. — Warszawa, r. 1884.

Książkę młodego literata, p. Biegeleisena, napisaną o „Panu Tadeuszu,” możnaby nazwać próbą pracowitości. Zawiera ona 360 stronnic ścisłego druku, oprócz bardzo obszernego wstępu. Kreśląc te stronnice, autor ciągle ma przed oczyma cały poemat, bo tak wymaga jego metoda rozbiorcza. Doszukuje się w nim rozmaitych cech, zarówno społecznych jak literackich i według pewnej z nich porządkuje swój rozbiór. Ile to trzeba było robić notatek, ile czasu poświęcić na ich uporządkowanie! Ale też i opłaciła się ta praca mrówcza. Rozbiór tak wyczerpującego utwór poetycki, pod względem materyalnym, nie posiadało dotąd piśmiennictwo nasze.

Już same tytuły rozdziałów wskazują, czego autor wyszukiwał i co usiłował przedstawić. Zbiera on w nich kolejno rysy życia szlacheckiego, tłómaczy plan kompozycji, przedmiotowość poety, malowniczość w poemacie; osobne miejsce wyznacza epizodom; porównywa powinowactwo techniki poematu z homeryczną, nareszcie określa sposób dyalogu i styl. W każdym z tych rozdziałów nie pomija niczego co posłużyć może do wypełnienia ram zadania, nie cofa się nawet przed objaśnieniem drobiazgów podrzędnych i objaśnienia mało potrzebujących, chyba dla ostatecznych nieuków.

Przy tak szczegółowym rozbiorze, oczywiście, powychylały się rzeczy, na które nikt dotąd nie zwrócił uwagi, a może byłby i nigdy bez niego nie zwrócił, ukazała się jakaś usterka, jakaś niejasność lub wątpliwość; a wszystko, co autor uważał za ważniejsze, poddane zo-

stało szerokim określeniom, które przy całej szerokości bodajby były równie wyczerpującymi.

Któż nie zna osnowy Pana Tadeusza, kto się nie zachwycą każdym szczegółem, ba, każdą strofką tego poematu? Ale zachwycić się, nie jest jeszcze rozumieć. Tylko krytyka, oswojenie się z przedmiotem, poddawanie go przed oczy z rozmaitych stron, zapuszczenie się w wewnętrzną jego naturę przy pomocy dobrych wskazówek, może wydać rozumienie, usprawiedliwienie zachwyty.

Studyujący literaturę jako przedmiot nauki, ma prawo i powinien zapytać się, czém jest Pan Tadeusz sam w sobie, czém w stosunku do poezji powszechniej, do literatury polskiej, nareszcie do innych dzieł samego Mickiewicza? Na takie pytanie stara się właśnie odpowiedzieć p. Biegeleisen.

Dotąd Mickiewicz, w swych dwóch obszerniejszych utworach charakteru epickiego, był poetą przeszłości. Litwin zabity, dbały o wielkość, chwałę, piękność swojej ziemi, do niej prawie wyłącznie kierował swe natchnienia. Grażyna i Wallenrod odnoszą się do epok zamierzchłych, historycznie mało zbadanych: są to czyste fantazje, podmiotowe myśli i ideały twórcy, które tak samo odnieśćby można do każdej epoki, posunąć nawet w głąb' zgoła mityczną, jak to uczynił Słowacki w dwóch swych wielkich dramatach, a znaczenie ideału niczy na tém nie straciło. Litwa dawna jest tam tylko okazją, oprawą powierzchowną; treść leży w samej przewodniej myśli indywidualnej, i nikt też nie ma prawa pytać poety o rzeczywistość i historyczność wszystkich szczegółów, składających organizm całości.

Inną jest Litwa Pana Tadeusza. To ta chrzestna córka Polski zlaną z nią razem w jedno ciało, ukazaną w przeobrażeniu kilkowiekowym, współczesną samemu poecie, której ludzie i wypadki mają też świadków współczesnych, a przesuwają się niemal przed oczyma wielu pierwszych czytelników poematu. Zobowiązuje to poetę do trzymania się tła realnego, do téj prawdy rzeczywistój, nadającej swą cechę nawet wszelkim poetyckim zmyśleniom (inwencya), prawdy, bez której poemat straciłby całą społeczną wartość: ta zaś jest prawda, czyli ta rzeczywistość, wywołuje pewne formy odrębne, jako swe naturalne uzmysłowienie.

W takich poematach jak Grażyna lub Wallenrod poeta tworzy wszystko na obraz i podobieństwo swoje. Własnych myśli piastunami, własnych ideałów przedstawicielami, czyni swych bohaterów; wynajduje im odpowiednie naturze swój antytezy, własnym każe im przemawiać językiem, tłómaczącym pojęcia własne: wciela siebie z całą swoją istotą w poemat lub w jedną jego osobę, jak to uczynił Mickiewicz z Halbanem, najcudniejszém zjawiskiem gorącego, choć może nieco dzikiego patriotyzmu, zjawiskiem, jakiego w téj sile i w tym uroku poezji żadna literatura świata pokazać nie może. Cały wreszcie świat, całe otoczenie poeta układa dogodnie dla siebie. Tak czynił w epoce Mickiewicza Bajron, siebie tłómacząc w szeregu poematów

epickich, z mocnym nastrojem lirycznym. Natura rozkapryszona i egoistyczna nie potrzebowała szukać tematów poza sobą; człowiek w ogólności, człowiek karmiony owocami z drzewa wiadomości dobrogo i złego, był u niej na pierwszym względzie, dlatego to bohaterowie jego są tak mocno kosmopolityczni. Mickiewicz dał się wciągnąć w ten krąg wielkiej twórczości magnetyzującej, tylko inne mając powody zainteresowania duszy, do tego wielkiego interesu stosuje tematy i ludzi, tak różnych od bajronowskich.

Z tą wszakże różnicą forma jego pierwszych dwóch utworów epickich ma wszelkie powinowactwo z bajronowską. Liryka egotyyczna przepływa po ich arteriach, ożywia je, nadaje im barwę; bohaterowie oddaleni, zasłonięci mgłą czasu, ustawieni na piedestałach, a przede wszystkim skrajani na miarę ideałów wielkiego poetyckiego geniuszu, wydają się półbogami i całe otoczenie stosować się musi do tego rozmiaru.—Wszystko to rozprasza się przy zmianie perspektywy, przy nieubłaganiej kontroli oka, rozpatrującego się w aktualności.

Ale czyż to życie powszednie, codzienne, z którego niewiadomo ile terażniejszość zostawi w spadku przyszłości, nie posiada także swojej poezyi? Są jego objawy stałe, poza sferą rachunku, wagi i miary; są przypadki niespodziane, które zawsze zwracały uwagę poetów. W wyjątkach z listów, cytowanych przez p. Biegeleisena, Mickiewicz powiada, iż pisze „Poema wiejskie,” w którym ma przedstawić obraz naszego życia sielskiego, łowów, zabaw, bitew, najazdów; mają się tam mieścić nawet koncepty palestranckie i t. p. Jest to więc zakres bardzo skromny, zapowiedź jakoby sielanki, która w rzeczywistości przeszła miarę tej spokojnej formy. P. Biegeleisen szuka zewnątrz poety pobudki do tego rodzaju poematu i jakkolwiek przypuszcza, że wynikała ona bezpośrednio z miejscowych okoliczności, twierdzi wszakże, iż „jak przed „Luizą” Vossa nie daje się pomyśleć „Herman i Doro-ta,” tak przed tém genialnem dziełem Goethego nie mógłby mieć miejsca w historii literatury „Pan Tadeusz.” Zkąd pewność tej zależności? Czy Goethe nie mógł sam przez się wpaść na pomysł szukania żywiołów poetycznych w zaciszu domowém, lecz musiał się tego uczyć u miernego wierszopisa? Czy Mickiewicz, jeżeliby potrzebował pobudki faktycznej, zamiast chodzić tak daleko, nie znalazłby jej raczej w „Wiesławie?”

Wreszcie, zkądkolwiek wziętyby się ten pomysł, to tylko pewna, że w samém wykonaniu poeta nie trzyma się żadnego wzoru, nie stosuje się do żadnej szkoły; a jeżeli przy dyskusji o tym poemacie bardzo często przychodzą na język to Homer, to Goethe — więcej sam przedmiot sprowadza te zbliżenia niż jakiegokolwiek podobieństwo rzeczywiste. Odmienność też ta doskonale wydatnieje w dwóch mianowicie rozdziałach p. Biegeleisena, to jest w rozbiórce planu kompozycji oraz stylu poematu.—„Poemat rozpada się na części — powiada autor — niedość ściśle z sobą powiązane organiczną jednością akcyi i głównego bohatera; ztąd całość poematu działa więcej jak mozaika

z przecudnych epizodów ułożona, nie zaś jak jednolita architektoniczna budowa.” — Określenie wyborne tego, co autor oględnie nazywa niedość ściśłym powiązaniem, a co rzeczywiście wydaje się jakby umyślnie poszarpane, w sposób malowniczy zapewne, lecz nader chaotyczny. — Dalej jeszcze autor z równą słusnością powiada: — „Cała kompozycja w tych pieśniach (od ks. 1 do 5 i od 10 do 12) jest powieściową.” — Rzeczywiście, w poemacie nie ma nietylko jedności bohatera, jedności akcji, ale nawet jedności poetyckiego kolorytu. Gdyby poeta chciał stosować się do jakichś typów epickich dalszych lub bliższych, przedewszystkiem uniknąłby tych braków, zachowałby to, co stanowi charakterystyczną cechę eposu.

Mickiewicz, głosząc, że przedsięwzięcie pisać poemat społeczny na tle obyczajów miejscowych osnuty, nie dopowiedział wszystkiego. Ze względu na epokę, do której odniósł pomysł swego obrazu, nie mógł nie zawadzić o żywiół polityczny, bo obraz nie byłby zupełnym. Ażeby zaprowadzić równowagę pomiędzy tym żywiółem a innymi z zakresu nierównie mniejszego, poeta przycina go do nich, daje zaledwie tyle, ażeby istniał, nie przerastając innych: ale wprowadza zarazem nowy kolor do tła. Ztąd też istotnie utworzyła się ta barwna różnaitość kolorów, zachwycająca blaskiem poezji, ale osiągnięta kosztem jedności. W tém nawet, powiedziałbym, leży oryginalność polskiego poety. Kiedy inni epicy za jedno z głównych zadań biorą sobie epicki ton i tylko w formie, jaką ten ton znieść może, przedstawiają wypadki, wprost nie dopuszczając takich, któreby przyzwocie pod ten ton podejść nie mogły, — Mickiewicz bynajmniej o to nie pyta. Bierze przedmiot przydatny do zamierzonego obrazu, a ton, w jakim ma się przedstawić, stosuje nie do zasadniczej modły epickiej, ale do natury przedmiotu. Tu wystarcza obiektywna opisowość, owdzie niezbędnym jest dla lepszego oświetlenia jakiś oddźwięk liryczny, indziej nie zawadzi rozwinąć rzecz w dramatycznym zastroju, gdzieś znowu dorzucić wprost od siebie jakieś słówko przejmujące dreszczem, gorące, czasami sarkastyczne. Są wreszcie przedmioty śmieszne, a więc i humor znajdzie dla siebie miejsce. Przy głównie więc panującej prostocie i naiwności w opowiadaniu, iście przypominającej ton Homera, u którego jednak ona nigdy się nie zrywa, nie popadając ani w patos z jednej, ani w krotochwilę z drugiej strony, „Pan Tadeusz“ przedstawia próbki wszystkich niejako form literackich, miesza je z sobą, a łamiąc jedność techniczną, w niczem nie uchybia jedności życiowej. Pod takim tylko warunkiem mogła się w jednym utworze pomieścić wzniosła muzyka cymbałów z pocieszną kłótnią o kusego charta.

Ta różnaitość tonu w poemacie przeniknionym nawskroś duchem narodowym, podoba się nawet czytelnikowi, który uniesiony pięknościami poezji, nie pyta ażali ona odpowiada ściśle warunkom jakiejś formy. Ponieważ opisowość jednak w poemacie przeważa, razem z tą dykcją lekką, do potocznego opowiadania zbliżoną, przeto nie słusniejszego że „Pan Tadeusz,“ jako utwór przeważnie opisowy,

uchodzi za pewien rodzaj eposu. Jest to jednak w tój krainie nowy obywatel, mniej sforny, mniej się do reguł towarzystwa stosujący, lecz dla osobistych przymiotów tolerowany, dla nieporównanego dowcipu wielbiony. Na tę jego oryginalną cechę, która wreszcie tak łatwo podsuwa się pod oczy, krytyk powinien był większą zwrócić uwagę, a raczej rzecz tę osobno wykazać i estetycznie rozjaśnić. P. Biegeleisen w rozmaitych rozdziałach potraça zaledwie o ten przedmiot; nieraz przy rozbiorze szczegółów i szczegółków, któremi głównie jest zajęty i z których, jak z drobnych kamyczków składa się jego obraz krytyczny, zdarzy mu się powiedzieć: tu przeważa nastrój liryczny, tu refleksya, tam znowu rzecz poczyna się dramatycznie, ale nikt z jego wykładu nie poweźmie wyobrażenia, jak dalece zapuszczanie się w te formy, obce eposowi, wyróżniły utwór Mickiewicza od innych poematów rodzajowych i nadały mu osobne znamię. Przy tylu rozdziałach brakuje więc jednego, któryby miał przypuszczalny tytuł, różnaitość form poetyckich w „Panu Tadeuszu.“ Gdyby taki rozdział istniał, pomiędzy innémi zajęłoby w nim zapewne sporo miejsca wykazanie ogromnych skarbów humoru i dowcipu, ujawnionych przez umiejętne zestawienie odpowiednich miejsc i pokazałoby się może iż, oprócz innych poważnych cech swego geniuszu, Mickiewicz jest naszym najprzedniejszym humorystą, który nietylko w ustępach, ale niekiedy i w jednym szczęśliwie pomyślanym a zręcznie postawionym wyrazie mieści głęboką treść humorystyczną.

Oczywiście, że ta różnaitość form wynika z różnaitój wagi, znaczenia i usposobień ludzi kierujących wypadkami lub od różnaitój treści wypadków, jakie tych ludzi zaskoczyły. I tutaj tóż następuje wyraźny rozdział, łamiący nawet architektoniczną utworu jedność, której brak zaświadczył wprawdzie autor, mianowicie w rozdziale wyjaśniającym plan poematu, ale bez dostatecznego wskazania przyczyn głównych. Rodzaj wendety rodzinnej pomiędzy domem Horeszków i Sopliców, której tajemnice posiada Klucznik, to żywioł dramatyczny, udzielający się osobom, wcale na seryo wyzyskiwany, który nawet rozwiązuje się ekspiacyą Jacka Soplicy. Wszystko co sprawiają między sobą Hrabia, Telimena, Tadeusz i Zosia, przybrało zupełnie charakter powieściowy, nie wychodzący poza zakres powszechnych typów romansowych epoki, w której odbywa się akcyja poematu. Co zaś dotyczy samego zajazdu, będącego, jeśli nam się tak wyrazić wolno, właściwym bohaterem poematu, wszystko to przedstawia się w formie eposu; a gdy do tego dołączymy opisy uczt, polowań, zabaw, bitew, życia dworskiego i zaściankowego, przekonamy się że żywioł ten głównie wyrabia fizyognomię organizmowi poematu.

Jakkolwiek zatem cenne są objaśnienia szczegółów tak pracowicie udzielane przez autora, nie możemy zamilezeć iż nie dotyczą one przedmiotu najgłówniejszego, to jest ludzi wprowadzonych do poematu i nadających mu ton. Jest to nawet luka, z uwagi na warunki krytyki estetycznej, dość osobiwa. Jako! żeby napisać całą książkę,

objętością może nawet przechodzącą sam utwór rozbierany, a nie zastanowić się nad tem co stanowi przeciwieństwo duszę utworu, nad charakterami osób działających. Autor poświęcił wprawdzie jeden rozdział „obrazowi życia szlacheckiego“ w poemacie, gdzie naturalnie ukazał kilka osób, ale jest to opis powierzchowny, kalkowany wprost na pierwowzorce, bez żadnego zagłębienia się w rysy, bez rozświetlenia tego co każda postać oznacza, jaka jest wartość jej społeczna i artystyczna. A ileżto tam tych postaci! Kto jest, na przykład, ten pan sędzia Soplica, typowy kontuszowiec już przy zgonie kontusza, w przeciwstawieniu do młodego hrabi o zakroju cudzoziemskim, jak rozumieć dwie jedyne kobiety w stosunku do ogólnego charakteru niewiasty polskiej z tej epoki; z kąd się mógł wziąć w poemacie taki żyd jak Jankiel, i tak w kolęj. Każda z tego mnóstwa osób uwijających się po arenie Mickiewiczowskiego obrazu ma przeciwieństwo jakieś znamię indywidualne, które należy w krytyce uwydatnić, ma właściwość psychiczną w którą należy spojrzeć, charakter społeczny który należy zdeterminować, ażeby to co poematowi nadaje właściwe życie było dokładnie objaśnionem. Nie stosujemy tego wreszcie do wszystkich figur, ale mamy prawo wymagać opinii autora przynajmniej względem postaci pierwszego planu, które sam poeta zajmuje się najwięcej i najwięcej też dostarcza wskazówek; każda z postaci ważniejszych, na dobrą sprawę, jeśli już rozbiór miał przyjąć tak szerokie rozmiary, powinna być przedmiotem osobnego opracowania.

Tymczasem u p. Biegeleisena figury poematu zapchane gdzieś są w kącie, a jeżeli występują to tylko mimochodem, z okazji z jakiegoś kwestyi ubocznej. Postępuje on w tem jak sprawozdawca malarski, któryby mając przed oczyma obraz o licznem ugrupowaniu, szeroko wykładał koloryt, światłocienie, oznaczał plany, wykazywał zalety i wady kompozycji w ukształtowaniu samych figur, tylko nie o ich wyrazie i znaczeniu duchowem nie wspominał. A jednak uczynić to należało zwłaszcza ze względu na szczególną przedmiotowość poety w kreśleniu tych postaci. Trudno wyrozumieć przez niego samego co trzyma o tych swoich bohaterach, z których część duchem i formą należy do dawniej postaci Polski, część zaś inna zaczyna nową nabierać fizyognomii. Czytelnik dzisiejszy często nie jest pewnym czy poeta podziela rozumowania lub chwali czyny niektórych osób, czy też je nieznacznie szykanuje lub potępia; czy w poglądzie na sprawy społeczne i etyczne stoi na stanowisku własnem, albo na stanowisku zasad epoki do której opowiadanie swe odnosi. Tylko rozbiór ścisły i bezwzględny mógłby tę rzecz rozjaśnić.

Zamiast tego p. Biegeleisen oddaje się przeważnie rzeczy zgoła innej. Oto na „Panu Tadeuszu“ z uczniem klas wyższych odbywa on obszerny i porządny kurs poetyki, godny znawcy i sumiennego profesora. Z tekstem w rękę objaśnia wszystkie jakie napotka figury poetyckie, tłumaczy piękności poszczególnych ustępów, porównywa niektóre z ustępami innych poetów, wykłada styl i formy litera-

kie. Zadanie pożyteczne niezaprzeczenie, a byłoby skuteczniejsze, gdyby autor rozmiar wykładu więcej ustosunkował do ważności szczegółów, ustrzegł się gadatliwości wyradzającej niepomierną rozciągłość. Wszak przypuścić się godzi, że ktoś chcący korzystać z jego wykładu, przedewszystkiem ma w pamięci lub, co lepić, przed oczyma sam poemat. W takim razie dość zaznaczyć ustęp o którym mowa, by określić jego charakter poetycki lub stylowy. P. Biegeleisen nie poprzestaje na tém, ale nie darowuje tekstowi jednego wyrażenia, jednego wyrazu, by uzupełnić swój topicki komentarz. Żeby naprzykład wykazać charakter naiwności w umieszczeniu przez poetę Zosi w otoczeniu drobiu domowego, wśród zagonów warzywnego ogródka, autorowi potrzeba całych czterech stronnic, na których za poetą powtórza dosłownie to co stanowi wdzięk ogórków lub zalety kury, pieszcząc się każdym zwrotem i dowodząc że wszystko to, pomimo barwy tak ściśle realistycznej, piękne jest i poetyczne. I tak czyni z każdym niemal szczegółem. Jest to niewątpliwie wykład wyczerpujący, doskonął zwłaszcza jako ustny w klasie; w książce jednak rozciągłością swą nuży, przez przerzucanie się do coraz innych szczegółów rozrywa zajęcie, w drobiazgach topi wyobrażenie całości. Biegly i skrupulatny aż do pedantyzmu w analizie szczegółów, p. Biegeleisen nigdzie nie wznosi się do estetycznej syntezy w tym szczegółowym wykładzie poematu, niczego wielkimi rysami nie określa.

Całą myśl syntetyczną i ściśle oryginalną włożył autor we wstęp, w którym na zasadzie dobrych dokumentów zajmuje się historią powstawania „Pana Tadeusza.“ Dzieje się to na emigracyi, kiedy w umyśle poety wspomnienia domowe łączą się ze świeżemi wrażeniami odnoszonymi w tej społeczności rozbitej, niepewnej, niezgodnej, a krzykliwej. Tutaj-to p. Biegeleisen występuje z zebranemi dowodami w rękę, jako badacz literacko-społeczny, rozpatruje się w duszy poety, i tam odkrywa źródła kierunku, jaki pod jego ręką przybrał „Pan Tadeusz.“ Z tego tylko „wstępu“ dowiedzieć się możemy znaczenia niektórych figur poematu, niektórych scen, a kto wie, gdyby p. Biegeleisen badanie posunął dalej, możeby się okazało że i myśl wprowadzenia do poematu „zajazdu“ powziętą była wśród tych gorszących nieporozumień jakie dzieliły Emigracyę. Cóżkolwiekby, p. Biegeleisen pierwszy wykazał jak na dłoni, że część tego warcholstwa zaścianków, tak żywo, energicznie i kosztownie przedstawionego w „Panu Tadeuszu,“ stanowi odbicie wrażeń, jakie poeta odbierał w Paryżu od rozmaitych grup wśród spółtowarzyszów dobrowolnego wygnania, różniących się zasadami politycznemi. Tutaj to, w tej obszernej rozprawie, autor ciągle śledzi poetę, podsłuchuje go i, z okiem zwróconém na „Pana Tadeusza,“ z powodzeniem stara się ukazać co, kiedy i dlaczego, z jego własnej istoty lub z pobudek zewnętrznych weszło do poematu. Ten tedy „wstęp“ jest nie tylko częścią integralną późniejszego wykładu, ale zdaniem naszym, stanowi niepospolitą wartość kartę w historii literatury polskiej, za którą autorowi należy się szczególne uznanie.

Wogóle, jak we wszystkich pracach dotychczasowych, tak i w niniejszej która jest najobszerniejszą, młody pisarz przedstawia się nam nietyle jako krytyk estetyczny, ile jako badacz a zwłaszcza jako gorliwy i sumienny szperacz. Nie mówi on nigdy na domysł, lubi gromadzić wskazówki, porównywać, sprawdzać, nie żałuje czasu i trudu. Przez takie postępowanie dorzuca on nowe fakta i spostrzeżenia do dawnych; przygotowuje grunt pozytywny dla dalszych badań. Tém téż odznacza się i jego pożyteczna monografia o „Panu Tadeuszu,” która nie wyczerpała wprawdzie wszystkiego, ale to co przyniosła, stanowi nabytek trwały ¹⁾.

Kazimierz Kaszewski.

Teodor Jeske-Choiński. „Z Miłości,” opowieść jakich wiele. Kraków, r. 1884. Edward Lubowski. „Krok dalej,” powieść. Warszawa, 1885 r.

Z p. Jeske-Choińskim przybyła od kilku lat nowa siła literacka. Młody pisarz z ukształceniem wyższém łączy energią i malowniczością stylową, a zdolności jego zarysowują się coraz wszechstronniej. Począł od korespondencyi, próbował felietonu i sprawozdań teatralnych, wydał kilka rozpraw naukowo-literackich dotyczących eposu i dramatu niemieckiego, książkę o stanowisku żydów na tułactwie, w przerwach napisał kilka powieści, między innymi p. t. „Z Miłości.”

Jest to powieść nawskroś tendencyjna, przedstawiająca jeden z wypadków bardzo powszechnych, stanowiących przedmiot nieustannych dysput wpośród rodzin, a mający niezaprzeczoną doniosłość społeczną. Rzeczą dotyczy losów młodego inżyniera, pełnego zapału do życia, do pracy, niepozobawionego widoków na przyszłość, który jednak w ciągu kilku lat od wejścia na pole pracy publicznej łamie sobie życie i kończy samobójstwem. Skutkiem czego? Skutkiem miłości i to nie miłości nieszczęśliwej, ale przeciwnie najszcześniejszej, odpłacanej wzajemnością i uwieńczonej małżeństwem.

Bogdankę swoją spotyka on przypadkiem w podróży, razem z nią przepędza kilka tygodni u wód, poi się jój dziewiczymi wdziękami, zachwyca naiwnością i wykwintném ułożeniem. Bez względu na chłodne i trzeźwe uwagi starszego przyjaciela, czynione mu na te-

¹⁾ O téj pracy p. Biegeleisena ukazało się już kilka bardzo poważnych rozbiórów, jako to: St. Tarnowskiego w „Przeglądzie Polskim“ i „Echu;“ Jeza w „Przeg. Tyg;“ Bema w „Kraju;“ Bruchnałskiego w „Museum“ lwowskiém.
Przyp. Red.

mat iż „życie nie jest poematem,“ w zbliżeniu tém młodzieńiec chce widzieć tylko stronę poetyczną, wszelką oględność rachunkową uważałby za zniewagę świętego uczucia, które jak łaska niebios, w tej czystości i zapale zstępuje do duszy. Pod takimi wrażeniami, które ziemię zamieniają człowiekowi na chwilowy raj, inżynier Śliwiński, w chwili niepowstrzymanego zachwyty oświadcza się, przekonywa o wzajemności i pozyskuje cel swoich zapałów.

Na nieszczęście, okoliczności zewnętrzne głucho są i zgoła obojętne na to wszystko co się wewnątrz nas dzieje. Świat, czy się nim człowiek raduje jako dobrem, czy go przeklina jako zło, wygląda zawsze jednakowo: tém gorzej dla człowieka jeżeli łądzi się, patrząc nań przez szkła zabarwione kolorem swych wrażeń osobistych i przemijających. Świat nie chciał się stosować do położenia rozkochanego. Skromny pracownik, posiadający środki ograniczone, zapożycza się ażeby usłać przyzwoite gniazdko swojej pieszczotce, wysila się, popada w kłopoty, pozbywa się wszelkich przyjemności życia, znosi przy-cinki i brutalstwa, a z tém wszystkiem nie może uczynić zadość aspiracyom swój ukochanej Jadwini. Ona, wprawdzie była dziewczcą ubogą, bezposazną, ale skutkiem pobytu w domu zamożnej rodziny obywateli ziemskich, nawykła do życia beztroskliwego, do komfortu i rozrywek wesołych a kosztownych, które stały się nieuniknioną ozdobą chwil młodości. Nienawykła do pracy powszedniej i dziś nie jest do niej zdolną, w niczém przyjść w pomoc mężowi nie może, nic własną pracą i myślą zaoszczędzić. Ona umie tylko kochać, być zawsze miłą i pożądaną, rozkosznym kwiatkiem w domu, wymagającym starannego pielęgnowania, lecz nie przynoszącym owocu.

Zapóźno spostrzega mąż, że proza życia podważa jego poezję i widzi położenie bez wyjścia. Żona jego lubo nic nie mówi, ale widocznie cierpi z powodu warunków w jakich pozostaje, zdala od swoich, oderwana od poezji świata, zmuszona żyć w cichym i nieprzyjemnym zakątku, w otoczeniu na jakie ją skazuje inżynierskie stanowisko męża, zajętego przy budowie kolei żelaznej, wśród zimnej, pustej, straconej okolicy Prus Wschodnich. Coraz częściej myśl ją przenosi tam, w Kaliskie, gdzie życie upływało jak pogodny dzień majowy, a w miarę tych wspomnień serce jej oddała się od terażniejszości. Przybyła pod ten czas matka, podtrzymuje w niej ten rozstrój; brak zajęcia i szczerzej, obowiązkowej pracy, która jest chlebem powszednim duszy, dopełnia miary niezadowoleń.

Mąż czyni siebie odpowiedzialnym za ten stan nieszczęśliwy. To on nie rozważył, nie zastanowił się nad przyszłością. Porównywa on żonę swoją z żonami kolegów swych, niemkami, i spóźnione refleksje streszcza mniej więcej w tych słowach: — „O czemże ona mówić może z niemi? O kuchni, o przypalonej polewce, o stłuczonym garnku, o pończochach dzieci? Samo już obcowanie z kobietami bez wykwiutnego wychowania domowego, musi ją męczyć. Niemki kształciły się na dobre gosposie, a moją Jadwinę wypieściła matka na da-

mę wielkiego świata... Gdyby mi to ktoś w Warbrunu, na górze Kynast przepowiedział, kiedy mi się wydało że góry rozgorzały moją miłością, byłbym go był nazwał bluźniercą, świętokradcą.“

Kiedy nareszcie udaremniły się wszelkie wysiłki dla polepszenia doli, wobec żelaznej konieczności związku przyczynowego, kiedy lichwa ogołociła go z mienia i dom stał się pustką, nieszczęśliwy mąż zgadza się na rozłączenie z ukochaną, i ażeby jej nie tamować urzędzenia sobie życia według raz przybranego kierunku upodobań, dobrowolnie usuwa się ze świata.

Tendencya utworu leży jak na dłoni, może nawet zbyt znacznie wyciera z poza osłon fikcyi: przy najpomyślniejszych warunkach moralnych i uczuciowych, nieszczęście wybuchło skutkiem niewłaściwego wychowania kobiety, przez nieogłędne i zgoła bezmyślne nałożenie panny ubogiej, córki bankrutów szlacheckich, do trybu próżniaczego i wielkopańskiego. Jadwinia, ażeby nie sprowadzić rozstroju w życiu rodzinném, powinna była wyjść zamąż tylko za bogacza, któryby jej bez żadnej ze swój strony ofiary dalszy ciąg dziewiczego poematu dotworzył; wprowadzenie jej na drogę, w której najczęściej zachodzi frymarka serca i ręki, albo jak w obecnym razie, niedola, — było nonsensem. Obserwacya uzasadniona, i dopóki trwają takie nonsensa, (dziś już przynac trzeba znacznie rzadziej), pożytecznóm jest w jakiejbądź formie stawiać je przed zwierciadłem społeczném.

Lecz, czy jaka z naszych kobiet przyzna się do podobieństwa z Jadwinią, wyjąwszy ze strony powierzchownej, którą autor wysoko podnosi? Jest ona lalką, czego wreszcie autor chce; ale to niedosyć, ona jest lalką bez serca, czego już autor nie chce, ileśmy po pewnych tylko wskazówkach i wyrażeniach poznać mogli jego intencye. Boć gdyby rzeczywiście kochała, to nie pozbawiłaby się tego jasnowidzenia jakie daje miłość, tego rozumu serca, który posiadają nawet zwierzęta w okresie kochania. To światło, wtedy zwłaszcza gdy została matką, dałoby jej poznać rolę nikczemnej wyzyskiwaczki jaką odegrywała wobec męża ginącego z pracy, poczułaby się do potrzeby udziału; nieodłączna próbowałaby przynajmniej, pragnęła, przez niemoc ginęłaby razem z mężem, nie porzuciłaby go w ostatecznej niedoli, a wtedy byłaby sympatyczną; przez co i cel autora byłby skuteczniej osiągniętym. Jadwinia niema, ślepa, nieczuła, tak nienaturalnie i bałwanowo bierna, jest tylko wstrętą. Rozumiemy lalkę Ybsena (Nora), która źle robi, hańbi siebie i męża przez ciemnotę ale i przez miłość; nie rozumiemy lalki, któraby przez miłość umiała spoglądać tyko wzrokiem wyrzutu na brak osobistych dogodności. Jadwinia wygląda tu na zupełną egoistkę, a więc i tło tendencyi zmienia się zupełnie: egoistka nie będąc nawet lalką, przeciwnie, w każdym razie potrafiłaby zaburzyć związek małżeński i doprowadzić do jakiej większej lub mniejszej katastrofy. Lecz tu, jakaś istota mieszana, jest figurą psychicznie chybioną lub tak niewyraźną, że z niej zdać sobie sprawy nie można. Zato postać męża wydatnieje dostatecznie; w działaniu

jest konsekwentną, dlatego też niedobre wrażenie sprawia na nas samo zakończenie powieści, w którym ów poważny inżynier swemu samobójstwu nadaje znamię jakiegoś *coup de théâtre*, zgoła przeciwne i stanowi jego duszy i zwłaszcza powadze charakteru, jaką się w ciągu powieści odznaczał. Nienaturalnym również motywem jest zupełne oddalenie się jego przyjaciela, zapomnienie o nim w czasie największej potrzeby; nie zgadza się to z całym stosunkiem poprzednim i kilku banalnemi słowami na odjeźdźnym usprawiedliwić się nie może.

W ogóle cała powieść, pro *venia* nazwana opowieścią, cierpi na brak fantazy i pomysłów powieściowych czerpanych z gruntu psychicznego. Wyborne są atoli opisy realnych szczegółów życia, obserwacye trzeźwe, co w połączeniu z jedynym i obrazowym stylem nada-je utworowi zajęcie.

* * *

Rozmaite grupy społeczne, w rozmaitych perspektywach uporządkowane przedstawia powieść dawno znanego pisarza, tendencyjna, równie jak poprzednia, tylko nierównie rozleglejsza myślą, znaczeniem, rozmiarem. Bieg jej interesów opiera się na gruncie podkarpackim, kędy okoliczności od dwóch dziesiątków lat więcej niż gdziekolwiek u nas sprzyjają rozwojowi indywidualnemu, zaprodukowaniu sił, wartości i dążeń samodzielnych. Przy zachowaniu tożsamości charakteru plemiennego i gatunkowych cech narodowości, powieściopisarz tam chętniej się odnosi, jeżeli, oprócz spraw charakteru czysto psychicznego i rodzinnego, ma zamiar wyprowadzić swych bohaterów poza to ograniczone kółko domowe i kazać im odegrać role na szerszej widowni interesów publicznych.

Nieobojętnem jest zapewne dla sztuki to, co utwór przedstawia; ale prawdziwą miarę jego wartości artystycznej daje sposób w jaki przedstawia; a sposób ten nabiera większej doniosłości w stosunku większej komplikacyi i urozmaicenia treści. Im więcej gromadzi się w utworze żywiołów, im te żywioły są różnorodniejsze, tém trudniej o utrzymanie pomiędzy nimi artystycznej proporcji i o ściągnięcie ich do jakiejś jedności architektonicznej. Nad tą harmonią i tą jednością pracuje p. Lubowski we trzech tomach, dopomaga mu w tych usiłowaniach poprzednio nabyta wprawa, i w końcu usiłowania te wienący powodzenie, jeśli nie zupełne, to przynajmniej w pewnej części osiągnięte.

Ale wśród tej różnaitości żywiołów, w jaką wprowadza nas powieść, w tym ruchu sprężyn kierujących biegiem wypadków, jaki jest główny motor, jaka idea przewodnia utworu? Wszak-to punkt wielce interesujący, jeżeli zwłaszcza powieść przybrała charakter wydatnie społeczny i spółczesny. Nie możemy tego lepiej zdefiniować, jak oświadczając, że powieść przedstawia pewną formę społecznej walki o byt, toczącej się na naszym gruncie wśród żywiołów, które głośna broszura oznaczyła mianem: „żydzi, niemcy i ny.“ Rozumie się, że walka ta,

stosownie do gruntu, na którym się odbywa, przybiera i pewien miejscowy charakter. Autor czyni obrachunek sił i środków każdej ze stron walczących, ale bilansu jeszcze nie zamyka; powiada tylko: „Krok dalej.“

Na szachownicy interesów wydatnieją głównie dwie figury męskie, i na nich-to, niby na filarach, spoczywa, jak zobaczymy, myśl przewodnia powieści. Jedną jest młody książę Adam, ostatni dziedzic wielkiego imienia a średniego majątku; drugą niezmiernie bogaty baron Farmer, wiekiem nieco odeń starszy, z pochodzenia żyd, neofita w drugim stopniu. Autorowi snadź bardzo chodzi o to ażeby te figury były nakreślone z najdoskonalszą precyzją, bo jak anatom każdą z nich, mianowicie Farmera, rozbiera do możliwych granic, i trzeba z góry przyznać że analiza jest bardzo szczegółową.

Lecz w jakim celu zadaje on sobie taki trud, i dlaczego czyni to zestawienie dwóch odmiennych typów społecznych? To właśnie rzecz najciekawsza. Prawie od pierwszych stronnic widzimy tych ludzi zaprzyjaźnionych, i to nie w banalnym ale w rzeczywistym i najidealniejszym znaczeniu słowa. Trzecim w tej przyjaźni jest młody szlachcic Młodecki, przedstawiający nowy żywioł pośród powyższych; figura mniej ważna, ale służąca do wypełnienia idei. Autor nie powiada w jakiej okazji zawiązała się ta przyjaźń, zastajemy ją gotową, lecz sami możemy ją sobie z ciągu rzeczy łatwo wymotywować. Materyalne zbliżenie nastąpić mogło z blizkiego sąsiedztwa majątków ziemskich; moralne nastąpiło skutkiem podobieństwa uczuć i charakterów. Są to, prócz różnic indywidualnych, charaktery najczystszej wody, gentlemani skończeni, spotykają się—arystokrata, szlachcic i neofita,—w jednym wielkim uczuciu miłości dla kraju, prześcigają się w popędach obywatelskich, wytwornym wychowaniem i ukształceniem mniej więcej równi.

Czy jednak równość ta do wszystkich daje się zastosować okoliczności? Nie. Na jednym z nich, na Farmerze, ciąży grzech pierworodny, zamazany siłą mistyczną w przybytku Bożym, ale podtrzymywany siłą przesądu w przybytku społecznym. Pomimo sympatyj osobistych, pomimo przyjaźni wyjątkowych, czuje się on na pewnym gruncie obcym, ograniczonym, wśród społeczeństwa które ukochał bez ograniczenia. Nie tai się z tém przekonaniem przed zaufanymi, i ci nie śmia mu przeczyć. Ale Farmer, człowiek wyższy, rozumie wszystko; a rozumiejąc, przebacza. To człowiek, który odbył już ciężką walkę z życiem, z własnym sercem, z przewrotnością ludzką; stał na tym punkcie przesilenia, gdzie duch albo się łamie bezpowrotnie, albo przebywszy zwycięzko groźne przesilenie, nabiera nowego, niezłomnego hartu. Przyczyną tej walki była kobieta, a właściwie dwie kobiety. Jedna, czysta dziewica z wysokich sfer arystokracji angielskiej, w przeddzień ślubu depecze go dowiedziawszy się o jego żydowskim pochodzeniu; druga, skalana, ale gwałtowną przejęta dlań miłością, która dla pocieszenia po katastrofie, prawie gwałtem wyrывa go świa-

tu, a po zadośćuczynieniu kaprynowi rzuca go i wraca do dawnego kochanka, jego śmiertelnego wroga, lorda Sydneja, który go publicznie zelżył wobec narzeczonej.

Farmer wyszedłszy z tych kłesk ocalony wrodzoną siłą charakteru, zapisał je tylko ku wiecznej pamięci w czarnej księdze swego życia, i odtąd cały oddał się w kraju pracy obywatelskiej na roli i na wszystkich polach ekonomicznych, by potężną bystrością umysłu i wolą niezłomną zdobywać zasługę i skarbić serca ziomków. Nauka jaką otrzymał w pierwszej młodości dała mu uczuć, że ze względu na wyjątkowe położenie, o bliższym szczęściu osobistém myśleć nie może. Jego niewyczerpana zamożność, dystynkcyja charakteru i wychowania, otwierają mu progi najpierwszych domów, zbliżają go do najświetniejszych kobiet w obywatelstwie: on czuje że to jest właściwe i naturze jego odpowiednie otoczenie, ale widzi zarazem i granicę zbliżeń. Później przekona się, że i na surowszém polu powołań do służby publicznej, pomimo widocznych zasług obywatelskich, weźmie nad nim górę pierwszy lepszy warchoł o sympatyczném nazwisku. Tak więc i w rodzinie i w ojczyźnie, dawne żydostwo stanowić ma Farmerowi zapórę do szczęścia. Ale on rezygnuje się i kocha to co go odpycha.

W przeciwstawieniu do Farmera stoi młody książę Adam. Jest on głową domu, którego dopełnienie stanowią matka i siostra. Dom przedstawia ognisko szczęścia, które niebawem ma się zamącić. Książę Adam poznaje w sąsiedztwie niebezpieczną syrenę, awanturnicę zpod najciemniejszej gwiazdy, panią Regensborg. Jest to polka, prosta dziewczucha dworska z téj samej okolicy, której dzieje stanowią najciekawszą przyprawę opowiadania. W dzieciennych latach poszturgiwana, lekceważona, wychodzi zamąż za Mikołajka, lokaja starego księcia, stryja Adama, i niebawem staje się tegoż ulubienicą. Nie mogąc znieść zazdrości i niestawy, Mikołajek ginie gdzieś bez wieści, ze śladami utopienia się w rzece. Stary książę umiera, majątek w spadku pozostawiając rodzinie. Wyposażona przezeń Marysia wychodzi powtórnie zamąż za Niemca Regensborga, który przybywszy do Galicyi dla spełniania misyi germanizacyjnej, zakupił dobra w tamecznej okolicy. Zobaczywszy Marysię, zaszalał się i ożenił. Nadał jęj więc stanowisko; odpowiednią edukacją popieraną niepospolitemi zdolnościami uczennicy, wykształcił ją na kobietę światową, godną najlepszych towarzyszy. Ale już to natura, już téż okoliczności, rozwinęły w Marysi instynkta demoniczne; z potulnej niegdyś dziewczyny powstało wcielenie szataństwa. Zbrojna we wszystkie środki zalotności, nie kochając męża, a znając jego ku sobie nieuleczoną słabość, tyranizuje go, wyzyskuje na każdy sposób, dla użycia i dogodzenia wszelkim zachceniom. W każdym mężczyźnie widzi ona tylko ofiarę swęj nieasyconęj żądzy pastwienia się, zawsze gotowa zapuścić mordercze szpony ukrywane pod aksamitnóm dotknięciem.

Taką to kobietę spotyka na swęj drodze Adam. Odurza go ona, tumani, zachwyca, wpija się w jego istotę, rozmaitemi sztukami ko-

keteryi pozbawia siły, woli, rozumu; wymaga na nim zgubny majątkowo krok pewnego finansowego współnictwa z Regensburgiem, rujnuje niemal; a z tem wszystkiem, frenetycznie roznamiętowanego trzymawia w oddaleniu doprowadzającym do szaleństwa, aż nareszcie obezwładnionego moralnie i fizycznie porzuca z cynicznem urąganiem, by utonąć w wirze zabaw wiedeńskich, poprzedzających ów pamiętny w dziejach ekonomii krach.

Czy Adam się podniesie kiedy z tego upadku; czy ożywcze technienie miłości rodzinnej i przyjaźni pomoże mu do podźwignienia się na nogi? Niestety! Nie tak to łatwo oderwać mężczyznę od piersi kobiecę jak niemowlę. Adam widział jasno; nie szanował, nie kochał nawet,—ale namiętnie pragnął. Znając wartość swych uczuć, przeklinał siebie, pogardzał sobą, ale niemniej przeto cierpiał. Czy zastępuje na współczucie głupiec tego rodzaju? zapyta człowiek rozsądny o praktycznych nerwach. Inaczej zapatruje się na to psycholog studiujący teoryę żądź na podstawie danych organizmu. On widzi tam chorobę straszłą, podsycaną wrażeniami reprezentacyi, i lituje się.

Kobieta, dotąd gromiąca wszystkich, znajduje nareszcie i swego pogromcę. To nie żaden świetny Donzuan, wykwintny postrach kochanków i mężów, to prosty chłop niegdyś, zjawiający się naraz w Wiedniu w metamorfozie Montechrista, wódz gierylasów Meksykańskich w sprawie nieszczęsnej pamięci cesarza Maxymiliana, szorstki, nieprzyjemny, bogaty i wpływowy major Figarrero, — słowem zaginiony i niepoznawany pierwszy mąż Marysi. Jego tajemne z nią schadzki, odkryte przez Regensburga, przyprawiają tegoż o śmierć, po której świetna pani staje się niewolnicą gburą, mszczącego się na niej z wyrafinowaniem szatana. Jeżeli książę Adam cierpi szalenie dzięki urokowi rzuconemu nań przez Marysię Regensburg, niemniej i ona, oderwana od swobody światowej i panowania, szaleje z bólu w złocistém więzieniu urządzoném jęj przez nienawistnego a niemiłosiernego Mikołajka-Figarrero. Dwa samobójstwa kończą te dwa życia stopniowo gasnące i niemożliwe.

Śmierć Marysi, z której trupem przypadkowo spotyka się Adam, już nieco wzmocniony, a skutkiem tego widoku znowu ostatecznie pognębiony, nie wzruszyła wreszcie nikogo. Ale śmierć Adama sprowadziła ruinę szczęścia rodziny i zamknięcie rodu. Nad pozostałą siostrą, śliczną gwiazdą rodziny, czuwa opiekuńcze serce Farmera.

Cóż wynika z takiego zestawienia dwóch ludzi, w którym jeden z kolizyi życia wychodzi zwycięzki, silniejszy niż przedtém, a drugi upada? Oto pierwszy był człowiekiem silniejszego organizmu, reprezentantem rasy niezużytej, hartownej; gdy drugi, pomimo pozorów dzielności posiadał organizm wątki, skoro pierwsza burza skruszyła go jak spróchniałe drzewo. Niedosyć na tém. We wszystkich działaniach Farmera widoczniejsze ta siła, zwrócona nietylko ku samozachowaniu, ale i ku obronie innych. Nie mógł on nic poradzić przeciw moralnej słabości Adama, lecz silném ramieniem podźwignął stan ma-

teryalny domu, przez nieszczęsnego maniaka postawionego nad przepaścią. Przyjaciel Młodecki stara się o rękę bardzo zajmującej siostry Farmera, ale jego zachody z kapryśną panną spełzłyby na niczym. Młodecki, szlachcic pełen rycerskiego animuszu i naiwnej szczerości, nie znajduje w mało inwencyjnym umyśle środków poradzenia sobie z fantazyami dziewicy rozpieszczonej i dumnej: więc przyjaciel Farmer kieruje nim jak dzieckiem i upragniony cel doprowadza do skutku. Inny szlachcic dawnego autoramentu łamie się z trudnościami gospodarskimi i już na stare lata ma wyjść z majątku, jak Edyp prowadzony przez córkę. Farmer bierze pod swój zarząd jego majątek i wyprowadza z kłopotów na tor najpożądańszy. Gdziekolwiek pokaże się ucisk chciwości niemieckiej albo żydowskiego lichwiarstwa, wszędzie Farmer staje po stronie ucisku, biegleścią w sprawach ekonomicznych i finansowych ratuje zagrożonych, do nędzy doprowadza przybyszów znad Sprei, do rozpaczki miejscowe pijawki. Wielki również sercem jak rozumem i siłą charakteru, spełnia wśród ziomków, choć tylko w otoczeniu najbliższém, misję opatrnościową, usuwa albo łagodzi złe, wynikające z osłabienia energii, z niezaradności plemienia autochtonicznego, uzupełnia jego przymioty, nadstarcza braki. A braki te spotykamy na każdym kroku, wśród każdej warstwy. To staczenie się społeczeństwa stojącego „na pochyłości“, zaznaczone w jednej z poprzednich powieści, autor posunął tu „krok dalej“.

Czy ta ryczałtowa i wielce pesymistyczna obserwacja jest pod każdym względem słuszną? Fakta zdają się dawać odpowiedź przeciwną. Złe jest, nie ulega to wątpliwości, ale czy gorzej? Wszak jak świat światem, nigdy jeszcze, nawet podczas wyprawy wiedeńskiej, nie pisano o nas zagranicą tyle co teraz. Wszak wielcy mężowie stanu i ich doradcy upewniają, że krzyżujemy zamiary i działania wielkopanstwowe, wszak jeden melancholik filozofii, cierpiący na polityczne delirium tremens, radzi nas, jako niebezpiecznych, czémprędzej wytepić; co, pominąwszy stronę komiczną tych rekrymiacyi, daje na seryo świadectwo o naszej sile odpornej, doprowadzającej do rozpaczki i głupoty czcigodnych mistrzów destrukcyi. Z drugiej strony, jeżeli jest źle i jeżeli mamy wiele do zrobienia ażeby się zrównać z położeniem, to czyż istotnie takeśmy już zwyrodniali, że tylko obca rasa, asymilowana, zdolną jest wygrać przed nami rolę mistrzyni i opiekunki, jakby to wydawało się tu ze stosunku Farmera do całego, bez wyjątku, miejscowego żywiołu? Znamy dostatecznie złe, jakie społeczeństwu wyrządziła jedyna klasa przodująca i działająca, ale któż to narzeczcie przoduje w naprawie społecznej, jeśli nie ten sam żywioł, reformujący się pod wpływem czasu; kto ponosi ofiary i zaszczytne obelgi? Za zasługę poczytujemy autorowi, że śmiało, bez względu na wrzawę antysemitką, dobitnie wykazał w Farmerze tę istotną siłę, jaka przybywa społeczeństwu przez wolny przepływ jednostek, dotychczas razem ze swemi korzystnymi przymiotami trzymających się odeń zdaleka. Zawiele mamy żyjących przykładów pożytku z tego zespolenia,

aby ktoś mógł mu zarzucić fantastyczność lub stronność: przeciwnie, za obowiązek obywatelski poczytywać winniśmy otwarte pod tym względem oddawanie sprawiedliwości. Zaznaczamy tylko, iż przejęcie się tą myślą uniosło go zadaleko, bo aż do porównań nie sprawdzających się realnie. Rzeczywista pomoc, jaką społeczeństwu udzielają tacy Farmerzy, dotyczy jednej tylko strony, czysto materialnej; we wszystkich kierunkach moralno-społecznych, wytkniętych przez historję, owo Galileuszowe *e pur si mu ove* narodu, dokonywa się przez inne ręce, a więc te ręce nie muszą być tak bezwładne, za jakie je podaje autor, w porównaniu z innymi.

Farmer, przesadzony jako idea, nie jest też tu postacią najlepszą jako czynnik artystyczny. Jego natura ludzka, podatna dla sztuki, przedstawia się najlepiej w tej części, gdzie bohater ten opowiada swoje dzieje przedpowieściowe, gdzie się wyrabia, waha, kształci, walczy, zwycięża. Później jest to już duch tak doskonały, taką zachowującą równowagę, że bez żadnego wysiłku działa tylko skinieniem woli. Można by go porównać do słońca, którego tarcza zbyt jest jednostajną, ażeby mogła być malowniczą; a zasługa jego w tém, że ogrzewa i oświeca te drobne zjawiska, odbywające się w jego promieniach, a właściwie stanowiące całą malowniczość. Farmer, zwrócony ciągle ku innym, istotnie nakształt słońca, raz tylko ściąga uwagę ku sobie samemu. Autor dość zręcznie powiązał jego opowiadanie pierwotne z zakończeniem powieści, kiedy wróg jego młodości, lord Sidney, przybywa oświadczać się o rękę księżniczki, siostry Adama, która widocznie jest ostatnią, cichą aspiracją Farmera, w powieści nierozwiązaną. To spotkanie się niespodziewane po tylu latach, odprawa dana nikczemnikowi, sprawia dobry efekt powieściowy.

Najcelniejszym charakterem pod względem artystycznym jest tu bez zaprzeczenia Marysia-Regensberg. Nie widzimy ję jako Marysi, ale jako pani Regensberg od pierwszego wystąpienia przedstawia się świetnie. Pełność życia zawdzięcza ona temu, że nie wypadła z głowy, ale powstała z żywych wzorów, które autor widocznie badał pilnie i umiejętnie, jak malarz studyjący naturę. Wszystko tam w tej postaci podpatrzone, podsłuchane: każde odezwanie się kobiety, każdy ję krok, tłómaczy dostatecznie te wrażenia jakie na otoczeniu sprawia ję osoba; konsekwentną jest w czasie panowania, jak i w chwili upadku, a cały też przebieg ję życia, ujęty w tło artystyczne, znajduje sprawdzenie swe zarówno w psychologii, jak w etyce.

Postać ta może mimo chęci i założeń autora, wystąpiwszy na pierwszy plan obrazu, tak pod względem treści psychicznej jako i zajęcia, zasłania też wszystkie inne. Obok nię są to już raczej tylko sylwetki, mniej lub więcej wyraźne i ożywione. A jest ich taka ilość, że trudno je nam wyliczać, témbardziej iż miejsce ich na tle obrazu nie zawsze odpowiada znaczeniu.

Autor wprowadza tłum, ale układ tego tłumy dalekim jest od przedstawienia porządnęj jedności. Dla poparcia naszego zarzutu

przycoczmy tylko jeden epizod, przedstawiający bankiera polaka. Jest to historia człowieka, który będąc nawet dostatecznie biegłym w swoim fachu, ginie skutkiem bezmyślnego zaślepienia i zaufania do zdrajcy prokurenta. Cała ta historia nie łączy się zgoła niczém z grupą bohaterów głównych; jest to obraz wstawiony luźnie w obraz i figuruje tylko jako jeden z dokumentów sławnego krachu wiedeńskiego, dokument bezwątpienia interesujący; ale czy godzi się powieściopisarzowi, który bądź co bądź jest także malarzem, rzucać szczegóły bez związku z całością kompozycji?

Z takiego wprowadzenia tłumu wynikają rozliczne sceny, tragiczne, poważne, wesołe; wypadki często wpadające w naciąganą melodramatyczność, na przykład, szczegóły śmierci Regensborga; ale są téż i opisy uderzająco charakterystyczne, stwierdzające, że autor patrzył na przedmiot własnymi oczyma i odszedł z pełnym wrażenia umysłem. Do takich należy bal u Regensborgów, a zwłaszcza téż charakterystyka wiedeńskiej prasy rewolwerowej wraz z portretami jej redaktorów. Autor umie zainteresować do swych bohaterów, jakimi bądź są; nadaje im zawsze jakieś znamię charakterystyczne, dialog żywy zaciekawia do ich spraw i losów, tak że trzy tomy tego chaosu czytelnik przebiega z rzetelném zajęciem.

Kazimierz Kaszewski.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Marzec 1885. — W dniu 2-go marca ogłosili wyrok swój sędziowie, powołani przez komitet w Krakowie do ocenienia modeli mającego się postawić w tém mieście pomnika Mickiewiczowi, nadesłanych przez rzeźbiarzy polskich w myśl ogłoszonego konkursu. Czytelnicy Biblioteki Warsz. znajdują w zeszycie niniejszym (str. 120) obszerniejsze studjum o nagrodzonych modelach konkursowych, wypracowane przez p. K. Matuszewskiego, który przedmiot ten rozbiera ze stanowiska estetyki z uwzględnieniem warunków dzieła monumentalnego, charakteryzując równocześnie gwałtowny szum atmosfery dziennikarskiej, wśród której huczało przez cały miesiąc zanadto wiele rokoszowych prawie gromów! Modele rzeźbiarzy naszych dowiodły, że autorowie czuli ważność zadania, jakie im przeszłość i przyszłość naszych idei narodowych wskazywała, że przystępowali do dzieł swoich z myślą poważną, że sięgali nawet na wyżyny poezyi, że wykonali wiele pięknych figur alegorycznych i dodatkowych postaci; ale — nie potrafili zdobyć się na dzieło prawdziwie monumentalne, któreby przy swój budowie architektonicznej odpowiadało warunkom dzieła monumentalnego, któreby mogło być z g o d n i e uznane za monument, odpowiadający tak wielkiej postaci, jaką w literaturze polskiej stanowi Mickiewicz — ten król poetów naszych! — Rzeźbiarze nasi, zajęci dotychczas przeważnie pomnikami cmentarnymi, nie znachodzili sposobności ćwiczenia się w sztuce monumentalnej w najwyższém tego słowa znaczeniu. Fakt ten nie mógł pozostać bez wpływu; lecz gdy się przy tak wielkiej sprawie uwydatnił, wywołał nadzwyczaj przykre wrażenie, które rozdmuchane tendencyjnie przez zawiedziona ambicje, wybuchnęło protestami pożałowania godnego zgorzsenia. Sprawa pomnika Mickiewicza, poruszona przez młodzież akademicką, a z jej rąk podjęta przez radę m.

Krakowa, około której pod przewodnictwem sz. prezydenta tego miasta zorganizował się szeroki nader „Komitet,” sprawa ta—zajmuje już od paru lat w sposób niezwykły wszystkie umysły społeczeństwa polskiego. Nietylko wyrok sędziów konkursowych, powołanych przez komitet i zaakceptowanych *tacite* (bo jakież organ mógłby to w naszym położeniu inaczej uczynić?) przez rzeźbiarzy, którzy modele swoje rozpoznaniu ich przedstawili, nietylko wyrok, mówię, budził wielką ciekawość kół jaknajszerszych; ale już nawet obrady nad nim, zanim znane były, nastęrczały powód do niezwykłego ruchu umysłów. Dziś możemy się zapytać: byłyżto pocieszające objawy życia prawdziwego, byłyżto dowody energii życia zdrowego, organicznie się rozwijającego, czy też symptomata podrażnienia chorobliwego? Wszechstronna dyagnoza tego wzburzenia powszechnego dowiodła, że ruch ten miał wszelkie znamiona, i to nieraz nawet jaknajgorsze, agitacyi niezdrowej, namiętnej, że był smutnym dowodem rozerwania naszego, świadczącym o braku karności i solidarności naszych sfer artystycznych i publicystycznych, które zamiast jednoczyć i godzić opinie, przy poszanowaniu różnicy zdań i poglądów, namiętném wystąpieniem podlegały wzajemne zawiści, siejąc niezgodę w chwili, gdy nam jaknajwiększego potrzeba zjednoczenia dla zdobycia prawdy i dla krzepienia się miłością dobra ogólnego. W téj myśli przyklaskujemy jaknajchętniej obywatelskim słowom „Kłósów” (nr. z d. 19 marca r. b.), które zważnionych zreflektować, pokrzywdzonych podejrzliwością—pocieszyć, a zaciekłych w namiętności swojej—uśmierzyć nieco powinny, przekonani, że gruntowny i wszechstronny rozbiór téj kwestyi ze stanowiska naukowego, z którego na całą tę sprawę patrzemy, nie pozostanie także bez wpływu na ogół społeczeństwa polskiego. Cel ten możnaby z większą łatwością było osiągnąć, gdyby protokół posiedzeń sędziów konkursowych, przedstawiający dokładny obraz głosowania obecnych, był nam zarazem podał równie dokładny obraz dyskusyi, zawierającej szczegółowo wszystkie motywa, które taką tylko a nie inną decyzją spowodować musiały. Pewna chwiejność pod tym względem protokołu, z wyjątkiem wyraźnie wskazanych potrzebnych zmian w nagrodzonym pomniku, utrudni dalsze kroki komitetowi, a co gorsza, dostarczyć może krewkości poważnionych obozów krzyżowej broni, która ran nie goi, ale je bardziej jeszcze rozdziera! — Pożałowania godzien jest przytém także autor zaszczyconego pierwszą nagrodą modelu, p. Tomasz Dykas, rzeźbiarz ze Stanisławowa, któremu za jego cichą i sumienną pracę nie szczędzono zółci wzburzonej zawiści i niegodnych uragań, na co nie powinno być wystawione nawet zupełnie chybione dzieło konkursowe, bo jakaż wina autora w tém, że według opinii sędziów model jego zasługiwał na pierwsze między innymi dziełami odznaczenie? Mamy jednak nadzieję, że ta wyrządzona mu przez zbyt pohopnie protestujących krzywda, nie zniechęci go do dalszej pracy na polu, na którym ku chlubie narodu w sztuce monumentalnej ćwiczy

czyć i doskonalić się powinien, chociaż cała ta sprawa pozostanie wymownem *signum temporis*

— Pod napisem „Ruski artysta“ ogłosiło czasopismo wiedeńskie dla sztuki i przemysłu (*Blätter für Kunstgewerbe*), redagowane przez J. Storcka, cenny artykuł niez mordowanego orędownika przemysłu domowego w Galicyi, p. Ludwika Wierzbickiego, drukowany w VII zeszytce znanej czytelnikom Biblioteki i powszechnie cenionej publikacji Muzeum przemysłowego lwowskiego p. n. „Wzory przemysłu domowego“ a traktujący wyłącznie o artystycznej działalności artysty-samouka, Jurka Szkryblaka, z Jaworowa na Pokuciu. Powtórzywszy z artykułu p. Wierzbickiego obszerny życiorys Szkryblaka, podziela autor zdanie, wypowiedziane przez p. Wierzbickiego, „że błędzą ci, którzy przy ocenianiu artystycznej wartości przemysłu domowego czynią to według tej samej miary, jaką zwykliśmy przykładać przy ocenianiu kosmopolitycznych utworów dzieł sztuki i którzy sądzą, że dopiero przemysł domowy, nagięty do tych ram, odpowiednio rozwinąć się potrafi. Zwolennicy takiego zapatrywania nie są powołani do kierownictwa i opiekowania się tym przemysłem.“ Bardzo pochlebnie wyraża się autor artykułu drukowanego w wiedeńskiej publikacji, o utworach artystycznych Szkryblaka, zaznacza, że samorodny ten talent jest niewyczerpany w pomysłach oryginalnych i nowych kombinacjach i że dekoracyjna część jego utworów zdradza wiele poczucia piękna. Zgodnie z p. Wierzbickim i na podstawie jego wywodów, opartych na sumiennych studyach, zbija autor artykułu twierdzenia niektórych pisarzy niemieckich „jakoby ornamentyka ludu małopruskiego w swym charakterze miała wspólne cechy z ornamentyką rosyjską. Twierdzenie takie, świadczące o nieznanomości indywidualizmu ludów, świadczy również o niedostatecznym badaniu, a wynikało w części z mylnych zapatrywań, które identyfikują granice polityczno-terytoryalne z granicami, oznaczonymi przez żywioły narodowościowe i właściwości etnograficzne. Zestawienie całego szeregu wzorów ornamentalnych wskazuje, że motywa ornamentalne włościan małopruskich od Karpat, przez Podgórze, Podole, Wołyń i Ukrainę aż po Dniepr, dadzą się zawsze sprowadzić do pewnych wspólnych mianowników, gdy natomiast wzory wielkorosyjskie mają zupełnie odrębną piętno i tak jak język rosyjski nie są zrozumiałe dla hucuła naszego“

— Konkurs na premia dla literatów polskich. Wydział krajowy Królestwa Galicyi i Lodomeryi łącznie z W. Ks. Krakowskim, podaje do wiadomości, że Franciszek Kochman, urzędnik rządowej Izby obrachunkowej we Lwowie, zmarły dnia 8-go marca 1866 roku, przeznaczył rozporządzeniem ostatniej woli z d. 1-go stycznia 1864 i 23 grudnia 1865 r. część swego ruchomego i nieruchomego mienia na utworzenie fundacyi, mającej po wieczne czasy nosić nazwę: „Fundacya Franciszka Kochmana dla premiowania literatów

polskich.⁶ Majątek téj fundacyi ulokowany w 4% i 5% listach zastawnych galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wynosi obecnie w nominalnej wartości 24,000 złotych wal. austr. Wydział krajowy jest władzą, w której rękach spoczywa kontrola nad należytem wykonaniem woli zapisodawcy. Celem wprowadzenia w życie fundacyi ogłasza tedy wydział krajowy konkurs z terminem 31 grudnia 1888 roku, a to na 1-szy raz na dwa premia, jedno w kwocie tysiąca (1000) złotych, drugie pięciuset (500) złotych austr. wal. dla dwóch dzieł za najlepsze uznanych, i wzywa wszystkich literatów polskich ażeby w ciągu tego trzeciecia dzieła swoje przesyłali do Lwowa pod adresem wydziału krajowego. Na mocy listu fundacyjnego, mogą być dopuszczone do konkursu wszelkiego rodzaju płody autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej. Mogą to być utwory równie autorów żyjących jak i już zmarłych, w tym drugim razie jednak z zastrzeżeniem, że jeżeli to są dzieła już drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy, jeżeli przeciwnie są to prace jeszcze nieogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiemi na wydrukowanie dzieła użytą być powinna. Z prac zaś autorów żyjących jedynie książki drukiem już ogłoszone mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak publikacje niż z roku 1878, jako roku o 10 lat wyprzedzającego prekluzją niniejszego konkursu, bez różnicy, czy ich autorowie żyją lub nie, nie będą mogły być przyjmowane, a to w myśl § 18 listu fundacyjnego. Własność dzieła wynagrodzonego służy autorowi i nadal. Nagroda przyznana dziełu drukowanemu autora już zmarłego, przypada na rzecz jego spadkobierców; gdyby zaś takich nie było, wtedy komisya konkursowa orzecze, na jaki cel ma być obrócone to premium. Do zbadania dzieł i przyznania nagrody, Wydział krajowy utworzył konkursową komisją fundacyjną, w której skład wchodzi obecnie następujący panowie: Oktaw Pietruski, jako członek wydziału krajowego i przewodniczący; dr. Zygmunt Samolewicz dyrektor gimnazjum i dr. Gustaw Roszkowski profesor uniwersytetu, jako dwaj kuratorowie fundacyi; z pomiędzy zaś przedstawicieli zawodu naukowo-literackiego: dr. Alfred Biesiadecki, radca namiestnictwa, członek Akademii Umiejętności; dr. Ludwik Kubala, profesor gimnazjalny; Władysław Łoziński, poseł na sejm i do rady państwa, dr. Antoni Małcecki, członek Akademii Umiejętności, poseł na sejm i członek dożywotni Izby panów; Zygmunt Sawczyński, dyrektor seminarjum nauczycielskiego. Jakkolwiek komisji téj służy prawo wynagradzania dzieł i takich, które na konkurs nie zostały nadesłane, wzywa się jednak wszystkich autorów polskich, którzy prawo i widoki do osiągnięcia nagrody mieć są, aby nieomieszkali wziąć udziału w konkursie; komisya bowiem nie bierze na się odpowiedzialności za możliwe przoczenie dzieła godnego nagrody, a nie nadesłanego do ocenienia.

— Staraniem Towarzystwa historyczno-literack. wyszła w Pa-

ryżu w r. 1859, wielka Karta dawniej Polski, z przyległemi okolicami krajów sąsiednich (na stopę $\frac{1}{300,000}$); znakomite to dzieło kartografii polskiej, uskutecznione wedle planu i dyrekcyi generała Chrzanowskiego, rysowane przez słynnego topografa A. H. Dufour, składa się z 45 sekcyi, ośmiu dodatków i jednej karty zbiorowej. Wszystko to mieści się na 49 arkuszach, których wykonanie przecięciowo po 2,000 fr. kosztowało. Atlas ten sprzedawał się dotąd po fr. 120 za egzemplarz nie naklejony. Celem jak najszerszego rozpowszechnienia go wśród naszej publiczności, rada Towarzystwa historyczno-literackiego uchwaliła znaczne zniżenie téj ceny, która na pewien przeciąg czasu ustanawia się w sposób następujący: egzemplarz z opłaconą przesyłką w Poznańskie, do Galicyi, Austrii i Niemiec oraz Francyi 36 fr.; egzemplarz z opakowaniem i wysyłką do Królestwa i Cesarstwa, oraz innych krajów (transport na koszt odbierającego) 35 fr. Egzemplarz wzięty na miejscu w Bibliotece Polskiej w Paryżu 34 fr. Pojedyncze arkusze karty: na miejscu po 1 fr., z przesyłką pod opaską rekomendowaną 1 fr. 50 c. Zamówienia, z załączeniem odpowiedniej kwoty w przekazie pocztowym, należy adresować: M. le Directeur de la Bibliothèque Polonaise, 6, Quai d'Orléans, Paris.

— Ostateczne uporządkowanie archiwum watykańskiego, postępuje szybko, jak zawiadamia Przegląd Katolicki. Akta w archiwum watykańskim rozpoczynają się dopiero po Grzegorzu VII. Przy żywém zainteresowaniu się tą sprawą Ojca Św., komitet kardynałów został zwiększony, mianowano téż pewną liczbę konsulentów, a mają jeszcze nastąpić nowe nominacye, ażeby téj akademii historycznej nadać charakter międzynarodowy. Wszystkie narody mają być w niej reprezentowane. Tymczasem praca w archiwum idzie zwawo: przybywają historycy ze wszystkich krajów. Benedyktyni przysłały swoich najznakomitszych uczonych do opracowania regestów Klemensa V, o. Tosti i o. Chapelle z klasztoru Monte Cassino, jako téż wielu Ojców z prowincyi morawskiej, zamieszkałych w konwencie Św. Kaliksta w Rzymie. Kardynał Hergenröther, wespół ze swoim bratem i przyjaciółmi, pracuje dalej nad regestami Leona X. Francuzi: Langlois, Paweł Fabre i ks. Foricault opracowują akta Mikołaja IV i Juliusza II, jako téż nuncyatury francuzkiej. O. Ligier, dominikanin zajął się pontyfikatem Benedykta XIII. Podarchiwista o. Denifle wykończył swoje wielkie dzieło o uniwersytetach w wiekach średnich. Wychowski studjuje historią Kościoła w Polsce, ks. Unkel historią nuncyatury kolońskiej. O. Ehle S. J. opracowuje historią filozofii średniowiecznej, Bliss (konwertyta angielski) historią kościoła anglikańskiego, ks. Schwartz historią Grzegorza XIII i Niemiec, dr. Ehses historią Klemensa VII, i odpadnięcia Anglii od Kościoła, prof. dr. Schmid historią Papieża Jana XXII, dr. Haberl przygotowuje kompletne wydanie dzieł Palestriny. Nauki historyczne niezawodnie ogromny z tych prac osiągną pożytek. Pewien historyk protestancki

wyraził się, iż Papież terazniejszy otwarciem i uprzystępnieniem archiwum watykańskiego odnowi nauki historyczne.

— Nakładem Encyklopedyi kościelnej, wyszło z druku dzieło pod tyt.: „Św. Norbert i jego zakon“ Przez ks. Władysława Knapieńskiego. Warszawa 1885. Św. Norbert, urodzony na schyłku w. XI we Francyi, zmarł w r. 1134, arcybiskupem magdeburskim. W r. 1133 mianowany przez Innocentego II na arcybiskupa Polski i Pomorza, był założycielem zakonu Norbertanów i Norbertanek. Zwłoki jego spoczywają w opactwie Strachowskiem w Pradze; Czechy czczą go jako swego patrona. Żywot tego świętego dostojnika Kościoła, historia jego zakonu i badanie początków Norbertanów w Polsce są przedmiotem pracy księdza Knapieńskiego, która rozpada się na trzy działy, odznaczające się sumiennością i erudycją. Życiorys Świętego Norberta najdawniejszy, oparty na kronikach i dokumentach współczesnych, pisany około roku 1155-go, ogłoszony dopiero w roku 1856-ym pierwszy spożytkował ksiądz Knapieński. W części pierwszej poruszył autor kwestyą stosunku Św. Norberta do Słowian i do Ottona bamberskiego. W drugiej many obraz urzędzenia wewnętrznego, organizacyi hierarchicznej i życia domowego zakonników Św. Norberta, oparty głównie na nadzwyczaj rzadkich statutach zakonnych, dotąd przez naukę niespożytkowanych. Historia Norbertanów mówi przeważnie o opactwach francuzkich, a szczególnie o opactwie w Premontre, którego opat był generałem reszty klasztorów. Ztąd nazywano téż inaczej zakonników Św. Norberta Premonstrantensami. Skreślenie historyi opactw pojedynczych nastęrcza obecnie nieprzewyciężone trudności z powodu braku materyałów, ponieważ z rozluźnieniem się węzłów zakonnych, klasztory usuwały się z pod opieki opata w Prémontre i miały dzieje osobne. Trzecia część o Norbertanach w Polsce jest oparta na Kodeksach Dyplomatycznych i Długoszu; jedyny bowiem historyk tego zakonu u nas, ks. A. Kraszewski, nie badał tego przedmiotu krytycznie. Z tego powodu jest dla nas ta część pracy ks. Knapieńskiego najcenniejsza. W prowincyi polskiej były klasztory Premonstrantensów pod Kaliszem (założony w r. 1126), pod Brzeskiem (1141), w Strzelnie (1148), w Zwierzyńcu (1149) w Witowie (1160), pod Płockiem (1160), w Busku (1179), pod Wrocławiem (1180), w Czarnowasie (1210), w Żukowie (1210), w Imbramowicach (1223), w Krzyżanowicach (1227), w Nowym Sączu (1410), w Łęczycy (1609), w Krakowie (1636) i w Bolesławcu (1647). Z tych jeden tylko pozostał dotąd klasztor panien Norbertanek w Zwierzyńcu, dawniej ludnej wsi, będącej dziś przedmieściem Krakowa. Taki jest szkielec pracy ks. Knapieńskiego stanowiącej cenny nabytek dla historyi kościelnej w Polsce.

— Na jednem z ostatnich posiedzeń wydz. hist.-liter. Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu; wzięto pod rozwagę wydanie zeszytowego, urzędowego sprawozdania, które się dawniej mieściło w Rocznikach. Wydawnictwo Roczników, z finansowych powodów,

zawieszono na czas nieograniczony. Wychodzą więc od kilku lat same sprawozdania. Aby jednakże nie zrywać zupełnie z dawną tradycją, zarząd dotychczas do każdego sprawozdania rocznego dołączał choć jedną rozprawę naukową. Zatem i w tym roku pragnął zarząd, aby tak samo się stało. Z kilku obiecanych prac jednakże żadna nie dopisała na czas, a że wydanie sprawozdania odłożoném być na później nie może, jeden z członków zarządu ofiarował się podać do druku swoją pracę, mianowicie p. dr. W. Łebiński. Pracę tę pragnie zatytułować: „Materiały do słownika średniowiecznej łaciny polskiej.“ Słowniczek, obejmujący kilka tysięcy wokabuł, nie tworzy jeszcze bynajmniej wyczerpującej całości, ale jest raczej zbiorem surowego, do późniejszego obrobienia przeznaczonego materiału słownikowego. Materiał żywcem wyjęty jest ze źródeł. Autor miał zamiar spróbować, jak daleko się zajdzie w ułożeniu słownika, ograniczając się na zebraniu gotowego materiału, już w wydanych źródłach zawartego. Rozłożył więc na wokabuły „Statuta staropolskie i mazowieckie,“ tłómaczone przez Świętosława z Wojcieszyna i Macieja z Rożana, zebrał starą polszczyznę tłómaczone wyrażenia, zawarte w księgach sądowych, kodeksach, kronikach, zużył zbiorki Lelewela i Bielowskiego (słowniczek do Kadłubka) i t. d., z czego się urobił słowniczek kilku tysięcy wyrazów. Żadna rubryka słownika takiego nie może się jednak jeszcze uważać za zamkniętą, dla tego wokabuły nie są systematycznie opracowane. Podaje się pod niemi tylko ile możności najobficiej zestawiony materiał, z cytatami i z rokiem, pod którym wyraz polski się w źródłach znajduje, żeby oznaczenie to służyć mogło ewentualnie i do historycznych badań nad językiem. Pod niejednym względem słowniczek może służyć także jako słownik realny, gdyż autor przy sposobności zapisał z łacińskich tekstów objaśniające definicje i kategorie rzeczy i osób.—Objaśniwszy w ten sposób zakres pracy, podał autor niektóre co ciekawsze przykłady. Po dłuższej dyskusyi postanowiono pracę tę wydrukować.

— Bliżniński Józef, znany komedyopisarz, zamieszkały w Galicyi, ukończył w tych czasach, jak donoszą tamtejsze pisma, poważną pracę, która mu kilkanaście lat czasu zabrała. Jest nią dopełnienie „Słownika Lindego,“ obejmujące dziesięć tysięcy wyrazów tam pominiętych, opracowanych na sposób i w rozmiarach takich samych jak u Lindego. Cała praca stanowić będzie trzy grube tomy, których wydrukowanie byłoby bardzo pożądaném.

— Czasopisma lingwistycznego *Technera* p. t. „Internationale Zeitschrift für allgemeine Sprachwissenschaft,“ o którym uczyniliśmy w zeszycie lutowym (str. 320) wyszedł zeszyt drugi, tworzący z poprzednim tom I. wydawnictwa za rok 1884. Na czele znajdujemy zajmującą rzecz prof. O. Donnera (z Helsingforsu) „Ueber den Einfluss der lithauischen auf die finnischen Sprachen,“ dalej G. v. der Gabelentza „Zur grammatischen Beurtheilung des Chinesischen; K. Himly'ego: „Ueber die einsilbigen Sprachen des südöstlichen Asiens;“

N. Kruszewskiego (z Kazania): „Prinzipien der Sprachentwicklung“ Cz. 1. J. A. Lundell'a (z Upsali) „Sur l'étude des patois“ (O badaniu gwar ludowych), A. F. Potta „Zur Litteratur der Sprachenkunde im Allgemeinen;“ W. Radloff'a (z Kazania) „Lesen u. Lesenlernen“ i tego samego „Zur Sprache der Komanen“ (cz. 1). Następuje przedruk ustępu z dzieła W. Humboldta „Grundzüge des allgemeinen Sprachtypus“ p. t. „Wörtervorrath.“ Potém „Besprechungen“ (rodzaj recenzyj), zamyka zaś cały tom bardzo skrętnie zebrana przez redaktora bibliografia za rok 1883, alfabetycznie podług autorów ułożona i często dłuższymi uwagami krytycznymi zaopatrzona. Nie potrzeba dodawać, że na końcu znajduje się dokładny rejestr nazwisk i rzeczy.

R. Z.

— Zeszyt 63 „Słownika geograficznego“ wyszedł z druku i zawiera z większych artykułów: Masłówka, Materna, Mazepińce, Mazew, Mazowsze, Mazowsze pruskie, Medenice, Meducha, Medwedówka, Medyka i Medynia.

— Ważność i znaczenie pedagogiczne historii jako nauki szkolnej nie podlega, zdaje się, nigdzie wątpliwości; ale zachodzą nie małe różnice poglądów na metodę, na sposób, w jaki przedmiot ten w szkole wykładać należy, aby spodziewany przyniósł pożytek. Czy ma to być opowieść dla obudzenia ciekawości w celu kształcenia pod względem moralnym pokolenia młodszego przez wystawienie charakterów, pobudzających do naśladowania lub odstręczających grozą swoją od złego? Czy ma to być zbiór do pewnego stopnia pragmatyczny najważniejszych faktów cywilizacyjnych ludzkości, z zaznaczeniem organicznego związku między przyczyną a skutkiem? Czy też krytyczny sąd—niemal rozbiór inkwizytorski czynów ojców naszych? Nie tu miejsce rozbiierać te kwestye wielkiej nadzwyczaj doniosłości, ponieważ przy całym postępie badań naukowych na polu dziejopisarstwa, pod względem metodologii pedagogicznej w programie szkolnym, mało jeszcze co do tego przedmiotu zrobiono, a w literaturze naszej mniej aniżeli gdziekolwiek indziej. I niema w tém nic dziwnego, bo przy nader utrudnioném położeniu stanu nauczycielskiego u nas, brakowało ludzi, którzyby obranemu zawodowi wyłącznie i jedynie przez całe życie poświęcać się mogli. W ostatnich czasach ukazały się jednak dwie książki, różnej wprawdzie miary co do samodzielności badań; ale pragnące służyć pożytecznie szkole, mianowicie (jak już wzmiankowaliśmy w zesz. za m. październik r. z. (str. 161) — 1) „Historya wieków średnich,“ wyłożona sposobem elementarnym przez Tadeusza Korzona. Z dołączeniem 4 map kolorowanych, 46 rysunków i tablic genealogicznych. Warsz. 1884. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 424. 2) „Zarys historyi Polski i krajów ruskich“ p. prof. Anatola Lewickiego. Kraków 1884. Obydwie te książki pragną być praktycznymi podręcznikami przy nauce dziejów, w pierwszym razie powszechnych, w drugim polskich. P. T. Korzon, znany zaszczytnie w piśmiennictwie badacz historyczny, przeznaczył pracę swoją dla nauki elemen-

tarnęj, p. Lewicki dla nauki szkół średnich. Gdybyśmy elementarności p. K. wzięli w szerszym nawet znaczeniu, mianowicie jako przeciwstawienie do wykładu uniwersyteckiego, to książka jego przekracza granice podręcznika szkolnego, nie tylko dlatego, że jest w tém miejscu zupełnie bez potrzeby poprzedzona wiadomościami bibliograficzno-krytycznymi, sięgającymi aż do broszur drobnych i szczegółowych monografii, ale że w tekście samym otwiera za wiele pola krytycyzmowi, którego wartości pedagogicznej na stanowisku nauki elementarnej nie dowiódł jeszcze żaden pedagog, dbający o pożyteczną pracę wychowawczą. Sz. autor nie zechce w uwadze téj dopatrywać rady zaniedbywania ćwiczenia władz umysłowych, a mianowicie myślenia, bo sam rozumie doskonale różnicę, jaka zachodzi między procesem kształcenia organicznego władzy myślenia, a drażnieniem tylko téj władzy przez wskazywane wątpliwości lub apodyktyczne sądy, absolutne wyroki i tym podobne środki, których nauka poważna nie znosi. Nauczyciele młodzi unikają z trudnością tego skopułu, który leży na ich drodze w tém, że snujące się w danéj chwili doktryny równie polityczne jak i religijne i społeczne cisną się gwałtownie i do ust pedagoga; ale metoda nauki szkolnej na stanowisku elementarnym stanowczo to potępia. Dla potrzeby nauki elementarnej możeby korzystniej było porzucić to akademizowanie wykładu elementarnej historii. Metodę elementarną przypominają tutaj tylko liczne rysunki, które wyszły znowu w odbiciu nie zawsze szczęśliwie, bo odbijano je, zdaje się, z kliszów już startych i dla innych społeczeństw przysposobianych (np. str. 324: Rudolf von Habsburg zam. Rudolf habsburski). Rozbiór szczegółowy powinienby ułatwić ujednostajnienie nomenklatury historycznej i geograficznej, co jest rzeczą równie ważną dla szkoły jak styl i język poprawny, prostota i naturalnością się odznaczający.—Podręcznik p. Lewickiego przeznaczony jest dla szkół średnich, nie zapuszcza się w dygresje i dyskusje krytyczne; ale jest obiektywną relacją o faktach zdobytych na polu badań historycznych: zarys prof. Lewickiego jest treściwy, jasny, bez sporu i zarzutu na polu kwestyi religijnych i kościelnych, i jakkolwiek w niektórych razach możnaby w książce szkolnej wymagać poprawniejszego okresu i zwrotu co do języka, to podręcznik napisany jest dobrą polszczyzną, którą bez słownika niemieckiego zrozumieć można. Pod względem metodologicznym zastanowiło nas rozpoczęcie przeglądu geograficznego powierzchni krajów, będących przedmiotem książki, od opisów kształtów pionowych, co bez podstawy konfiguracji poziomej dokładnie wystawić się nie da. Jakkolwiek uznajemy zalety tego najnowszego podręcznika, to żałujemy że się za prędko z rękopisu do książki dostał. Obowiązkiem krytyki będzie przyczynić się do tego, żeby następne wydania były coraz dokładniejsze.

— Z pomiędzy dzieł historycznych, jakie w ostatnich czasach wyszły z druku zastępują na pilniejszą uwagę badaczy polskich, następujące:

1) Monumenta saeculi XVI historiam illustrantia. Edidit Petrus Balan, Ord. Franc. Jos. Vol. I. Clementi VII epistolae per Gadoletum scriptae, quibus accedunt variorum ad Papam et ad alios epistolae. Oeniponte, 1885. Znajdujemy tu ciekawe wiadomości co do sprawy sekularyzacji Prus, kwestyi księstwa Baru oraz stosunków Wasila Iwanowicza III. w. ks. Moskwy, do Rzymu.—

2) Uchańsciana czyli Zbiór dokumentów, wyjaśniających życie i działalność Jakóba Uchańskiego, arcyb. gniezn. († 1581), Warsz., 1884—1885. Tom I korespondencya Uchańskiego z lat 1549—1581 i wyjątki z „Acta decretorum“ kapituły gnieźnieńskiej z lat 1562 do 1581. Wydał Wierzbowski Teodor, str. VIII, XIV, XLIV, str. 441. Tom II. Różne dokumenty z lat 1557—1681 i Uchańsciana Vladislaviaensia ab anno 1557—1562 zebrane przez Zenona Chodyńskiego prał. kust. katedry kujawskiej, str. IV, XVII, 476. O prymasie „Uchańskim“ czytał także rozprawę bardzo ciekawą ks. kanonik Korytkowski z Gniezna na jednym z ostatnich posiedzeń Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, w której wyjaśniwszy raz śmiało, inny raz znowu chwiejne i niepewne siebie dążności Uchańskiego około utworzenia osobnego kościoła polskiego, rozebrał krytycznie osobisty charakter prymasa, który okazuje się jako okrutny ciemiecza ludu roboczego w dobrach prymasowskich, nadto jako człowiek luźnych pojęć i praktyki moralnej w stosunkach z podwładnym mu duchowieństwem.

3) Krysztofa Warszewickiego nie wydane pisma etc. wraz ze spisem dzieł tegoż autora wyd. T. Wierzbowski Warsz. 1883., str. 276.

4) Następca tronu pruskiego zaopiekował się wydawnictwem źródeł do dziejów Fryderyka Wilhelma brandenburskiego, znanego pod nazwą Elektora W., p. t.: „Urkunden und Aktenstücke zur Geshichte des Kurfürsten Friedrich Wilhelm von Braundebourg,” którego t. 8 (a 5-y dokumentów dyplomatycznych, wydany przez d-ra B. Erdmannsdoerffer'a) wyszły w Berlinie nakładem G. Reimera w r. 1884 (VIII str. 751), zawiera materyał źródłowy nadzwyczaj ciekawy a autentyczny do dziejów Jana Kazimierza, mianowicie do dziejów przebiegłej polityki elektora w czasie wojny szwedzkiej, zrzucenia z elektora więzów lennictwa względem Polski, stosunku elektora bardzo zaufanego do Maryi Ludwiki w sprawie elekcyi następcy za życia króla i t. p. Myśl przecignięcia elektora na stronę Polski za cenę wątpliwój wartości zależności lenniczój, poruszoną przez Gosiewskiego a podjętą w celach familijnych przez Maryą Ludwikę, w widokach wprowadzenia na tron polski księcia francuzkiego, któryby pojął za żonę jój siostrzenicę; myśl daleką od jakiegokolwiek idei wzmocnienia w sposób praktyczny, trwałą, racjonalną władzy monarchicznój w Polsce, mamy tu stwierdzoną niezbitemi dowodami.

— „Encyklopedyi wychowawczej“ wyszedł z druku zeszyt 6-ty t. III-go (całego dzieła zeszyt 22-gi) i zawiera artykuły następujące: „Dziekoński“ (dok.) p. P. Chmielowskiego; „Dziennik szkolny;“ „Dziennik ucznia;“ „Edgeworth“ p. L.; „Egoizm“ p. E. St.; „Egza-

mina“ p. St. G. i R. Zawilińskiego, przedmiot nadzwyczaj ważny, wyczerpująco pod względem naukowym oraz informacyjnym opracowany; „Egzaminina akademickie“ p. R. Zawilińskiego; wreszcie początek nader ciekawego studyum bibliograficzno-pedagogicznego „Elementarz“ p. F. Nowakowskiego i L.

— Na polu literatury pedagogicznej pojawiło się dziełko, nie wielkie rozmiarami, ale bardzo pożądane i cenne swoją treścią p. t. „Wskazówki (do) nauki języka polskiego“ p. Fr. Próchnickiego. Lwów 1885, które zasługuje na rozpowszechnienie jak najszerze, ponieważ może się przyczynić do ujednostajnienia programu i metody wykładu języka i literatury, w czém szerzy się coraz większe zamieszanie pojęć. Wskazówki tu podane są rezultatem narad komisji, złożonej z 11-tu profesorów i nauczycieli gimnazjalnych. Szkic ten, którybyśmy nieomal szczegółową instrukcją nazwać mogli, opiera się na doświadczeniu nauczycieli i zdaniu pedagogów polskich i niemieckich co do sposobu wykładu języka ojczystego, i zastosowany jest do przepisów szkolnych. Rzecz składa się z wstępu historycznego i 2-ch części, dotyczących ustnej i piśmiennj nauki języka.

— P. Eug. Babiński, redaktor „Przeglądu pedagogicznego“ powołał do redakcyi komitet, złożony z nauczycieli znanych w piśmiennictwie pedagogiczném, dla skuteczniejszego poparcia trudnego w dzisiejszych warunkach zadania pisma pedagogicznego. Mamy nadzieję, że wzmocnione siły redakcyi podniosą pismo pożyteczne, że dalekie od szerzenia abstrakcyjnych teoryi filozoficznych i doktryn jednostronnych uczynią „Przegląd pedagogiczny“ pismem popularném i pożyteczném w ręku każdego, komu rozwój edukacyi młodszych pokoleń oraz czystość języka szkolnego nie jest obojętną.

— W Bibl. Warsz. za m. luty r. b. (str. 315) podaliśmy z „Gaz. lwowskiéj“ wiadomość do życiorysu A. Malcze(w)skiego, jako pochodzącą od prof. A. Małeckiego; tymczasem odbieramy sprostowanie, że autorem owéj ciekawéj notatki jest Mikołaj Mazanowski, były student uniw. lwowskiego, zajmujący się specjalnie studjami nad literaturą polską, który przygotował obszerną monografią o Antonim Malczeskim.

— Dr. C. Grünhagen, zasłużony badacz historii śląskiej, wydał we Wrocławiu w języku niemieckim pierwszy tom „Historji Ślązka,” który doprowadza dzieje téj dzielnicy piastowskiej do r. 1527, tj. do początku rządów habsburskich na Ślązku. Dołączony osobny dodatek, zawiera cały aparat źródłowy i krytyczny. Żałować trzeba, że p. Grünhagen, korzystając tak sumiennie ze wszystkich monografi uczonych niemieckich, nigdzie nie uwzględnił badań uczonych polskich, wskutek czego nie mamy dokładnego obrazu dziejów wewnętrznych téj dzielnicy piastowskiej. Oprócz tego wydaje p. Grünhagen zeszytami w drugiem wydaniu ważne nader nietylko dla badaczów, ale dla szerszych kół, interesujących się historją prowincjonalną, dzieło p. t.: „Regesten zur schlesischen Geschichte.“—Wyszedł już zeszyt 4-ty, się-

gający do r. 1250. Autor pragnie przedstawić tu w treściwym porządku chronologicznym wszystkie wiadomości, jakie się znajdują w kronikach i autentycznych dokumentach do historii śląskiej.

— Oczekiwanego z taką niecierpliwością przez historyków i badaczy prawa rzymskiego dalszego ciągu „Historji rzymskiej“ Teodora Mommsena, rozpoczętej w r. 1854-ym wyszedł w m. bieżącym z druku nakładem Weidemana w Berlinie tom 5-ty i obejmuje peryod od Jul. Cezara do Dyoklecjana. Dzieło to odznacza się równie jak i poprzednie tomy szerokim na dzieje ludzkości poglądem, samodzielnością i bystrością gruntownych badań, które rzucają wiele nowego światła nie tylko na momenta i warunki rozwoju historycznego faktów dziejowych; ale i na pojęcia i wyobrażenia polityczne epoki Cezarów, która wywarła stanowczy wpływ na postęp cywilizacji i kultury zachodniej.

N e k r o l o g i a.

— † W pierwszych dniach marca r. b. zmarł w Wilnie **Jan Kazimierz Wilczyński**, doktor medycyny, znawca sztuk pięknych, wydawca—1) wspaniałego „Album Wileńskiego,“ 2) „Ołtarzyka Ostrobramskiego,“ 3) „Podróży po Egipcie Michała Tyszkiewicza;“ 4) „Tablic numizmatycznych M. Tyszkiewicza“ 5) Herby starodawnej szlachty i t. d. Zwłoki zasłużonego wydawcy spoczęły na cmentarzu Rosa pod Wilnem. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 19-go marca r. b. umarł w Poznaniu **Niegolewski Władysław Maurycy**, dr. obojga praw, zasłużony poseł Ks. Poznańskiego do sejmu pruskiego — Ś. p. Władysław urodził się r. 1819 we Włoskiejewkach pod Śremem: był synem Andrzeja, znanego oficera z epoki wojen napoleońskich i wytrwałego obrońcy praw narodowości polskiej przed gwałtami biurokracji pruskiej. Po ukończeniu szkół gimnazjalnych w Poznaniu, poświęcił się ś. p. Władysław studjom prawa, i otrzymał po obronie dySSERTacji pod tytułem: „de jure superficiario“—która wyszła w Bonn 1845-go roku tytuł doktora obojga praw. Karyera urzędnicza nie odpowiadała atoli umysłowi ś. p. Władysława i przy systemie panującym przedstawiała nieprzełamaną zaporę. Powołanie adwokata również utrudnione; jakkolwiek ś. p. Władysław próbował i na tém polu sił swoich (Obrona w sprawie J. Krotowskiego, d. 18 grudnia 1849 r.). Największe zasługi położył jako poseł pleszewski do sejmu pruskiego, gdy w dwóch swoich interpelacjach r. 1860 zdemaskował podstępne agitacje naczelnika policji w Poznaniu p. Baerensprunga, podżegającego

ludność mieszczańską polską do spisków i nieporządków, aby mieć powód do karcenia polskich rewolucjonistów. Rząd pruski oceniał w gruncie rzeczy sprawiedliwie obywatelskie wystąpienie pośta polskiego; ale zawsze był mu nieco krzyw, że tak bez ceremonii odkrył nieprawidłowe albo może raczej nie dosyć przezorne postępowanie agentów policyjnych. Równocześnie zajmował się ś. p. Władysław gospodarstwem, które pragnął modelowo urządzić; próby atoli jego okazały się niepraktyczne. Oprócz tego należał jako czynny członek do wszystkich obywatelskich i naukowych instytucji prowincjonalnych. Ś. p. Władysław nie był stworzony na człowieka cichój, wytrwałej pracy; ale rwał się do czynów głośnych; dlatego też przy zmienionych stosunkach malał na nowój arenie,—a wciągnięty nieraz przez zaciekłość fakcyi do gorszących agitacyi służył za chorągiew ideom, których w gruncie duszy podzielać nie mógł. Nie płynęło to atoli z jego intencyi, które zawsze miały dobro ogólne na celu, — i dla tego społeczność polska zachowa dla imienia jego cześć, jaka się należy obywatelowi kraj swój miłującemu i praw jego broniącemu.—Cześć jego pamięci!

SPROSTOWANIE

do artykułu „Walka z socjalizmem”

drukowanym w zeszytach za luty i marzec.

<i>str.</i>	<i>wiersz</i>		<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
168	23	od góry	wyraz „mało” należy opuścić	
180	9	„	jedynie	jędrnie
„	16	„	politycznych ogłoszeń	politycznym ogłoszeni
182	15	„	badając	badającą
185	11	od dołu	wyglądały	wyglądałyby
188	22	od góry	naciąganiem	naciąganiu
364	1	od dołu	wywołali	wywołał
367	1	„	droga wolności	druga wolność
368	13	„	publiczne	polityczne
375	1	„	zaczęły	zaczął
379	23	„	takowe	takie
382	11	od góry	z innymi	innym
387	8	„	indeks	środek
„	11	„	harmonią krzewiącą	harmonią krzewiąc
„	6	od dołu	zostawiono	zastawiano
„	5	„	szczególne niedocieczone	umysły niedouczone.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

- (163). — Archiwum watykańskie (163). — Ks. Knap'ński: Św. Norbert i jego zakony (164). — „Materyały do słownika średniowiecznej łaciny polskiej” d-ra W. Łebńskiego (165). — J. Blizińskiego dopełnienie „Słownika Lindego.” — Zeitschrift f. allg. Sprachwissenschaft, zes. 2. „Słownik geograficzny” zes. 63. — Podręczniki nauki historii (T. Korzona: Hist. w. średnich; Anat. Lewickiego: Zarys hist. Polski) (166). — P. Balan: Listy Klemensa VII papieża. — „Uchańsciana;” — Krysztofa Warszewickiego pisma. — „Dokumenta do dziejów Elektora W.” — „Encyklopedia wychowawcza” zes. 6, t. III (168). — Fr. Próchnicki: Wskazówki nauki języka polskiego; Lwów, 1885. — „Przegląd pedagogiczny” Eug. Babińskiego. — Mikołaj Mazanowski: Ant. Malczewski. — Dr. C. Grünhagen: Historia Ślązka (169). — T. 5 Historii rzymskiej Teodora Mommsena (170). 159—170
 XII. Nekrologia. — Ś. p. Jan Kazimierz Wilczyński. — Ś. p. Wł. Maurycy Niegolewski. 170—171

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.



**Od 8-go lipca r. z. Redakcyja Biblio-
teki Warszawskiej przeniesioną została na
ulicę Nowy-Świat Nr. 39.**